tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 29 (1384)
13-19.07.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. STANISŁAW OBIREK
TAJEMNICE JANA PAWŁA II

NACZELNA IZBA LEKARSKA
NA WOJNIE Z RZĄDEM

MOBBING W WARSZAWSKICH
BIBLIOTEKACH

DRAMATY I SENSACJE
MUNDIALU

Wasale Ameryki na własną prośbę

PO CO NAM TA BAZA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
29
9 771509 311607

EKRANIZACJA GŁOŚNEJ POWIEŚCI **DELII EPHRON** „SIRACUSA"

GABRIELE MUCCINO

(„W POGONI ZA SZCZĘŚCIEM", „SIEDEM DUSZ", „OJCOWIE I CÓRKI")

O CZYM SOBIE NIE MÓWIMY

TAJEMNICE, TŁUMIONE EMOCJE, NIEBEZPIECZNE PRAGNIENIA...

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD 17 LIPCA

eprasa.pl 73be861abb

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Wasalna polityka w patriotycznym opakowaniu

Amok. Nie mam lepszego słowa, by opisać gorączkę, jaka dopadła większość polityków. Wyścig o to, kto da Amerykanom więcej, przekroczył granice absurdu. W budżecie państwa coraz większy deficyt, a większości Polaków nie zapaliło się nawet pomarańczowe światełko. Prawie wszyscy domagają się większych pieniędzy. I trudno ich nie rozumieć, kiedy w powietrzu fruwają miliardy na zbrojenia. Skala tych wydatków nie ma już bezpośredniego kontaktu z rozumem. Po cichu mówi o tym wielu ekspertów i intelektualistów.

Głośno o tym mówi i konsekwentnie pokazuje tę paranoję prof. Grzegorz W. Kołodko. Wie, o czym mówi, bo ma kapitał intelektualny i ogromną wiedzę praktyczną z czasów pełnienia funkcji wicepremiera i ministra finansów. Jeśli mówi o lekkomyślnym marnowaniu publicznych pieniędzy na zbrojenia, to ma na to liczne dowody. Pokazuje też, kto najwięcej zarabia na nakręcaniu spirali zbrojeń. Polski nie ma na tej liście. Odwrotnie, nas to kosztuje coraz więcej. W tym „więcej" są również obszary, na które brakuje pieniędzy. A brakuje na badania i rozwój. Przecież o rozwoju społeczno-gospodarczym państwa decydują nie wydatki na armię i zbrojenia, ale właśnie na badania i innowacje. Taka jest logika rozwoju. Wydatki na zbrojenia powyżej 3% PKB wysysają środki, których brakuje na zdrowie, oświatę i naukę.

Bezpieczeństwo państwa jest wartością fundamentalną. Niestety, w Polsce nie ma poważnej debaty o tym, jak ma je sobie zapewnić kraj o takim położeniu geograficznym. Konflikty mamy praktycznie z każdym. Dwa tygodnie temu pisał o tym Robert Walenciak w tekście „Jak się skłócić ze wszystkimi". Taki jest obraz naszej polityki wschodniej.

O gigantycznych wydatkach na zbrojenia decydują politycy, którzy nie mają do tego żadnego przygotowania. I generałowie, którzy gwiazdki zawdzięczają Antoniemu Macierewiczowi i Andrzejowi Dudzie. A wiemy, jakimi kryteriami ci dwaj się kierowali i kogo awansowali.

I wreszcie najnowsza obsesja polityków: stała baza amerykańska w Polsce. Szaleństwo bez granic. Z jednej strony, wyścig o to, kto jest większym patriotą, kto mocniej broni suwerenności Polski. Z drugiej – wyścig o miano najlepszego wasala Trumpa. Bo wtedy Polska będzie pod jakąś cudowną opieką Amerykanów. Wielu Polaków wierzy w taki scenariusz. Niech więc zobaczą, jaki mamy wpływ na te bazy. Płacić miliardy złotych za wszystko, dowozić żywność i wywozić śmieci. Może jeszcze coś pominąłem. Warto też dodać, że dla Unii Europejskiej już jesteśmy koniem trojańskim Trumpa. Wasalem, którego nikt nie będzie traktował serio.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 73be861abb

W NUMERZE

KRAJ

8 **Po co nam amerykańska baza?**
Strategicznym sojusznikiem nie będziemy

11 **Naczelna Izba Lekarska na wojnie z rządem**
Choroby systemu ochrony zdrowia

15 **Pytania o rolę mediów**
„Swoich" krytykować nie wolno?

18 **Normalne złodziejstwo**
Skok na kasę z KPRM i od Glińskiego

20 **Mobbing między regałami**
Co się dzieje w stołecznych bibliotekach

23 **Mocarze znad Wisły**
Zagraniczna ekspansja polskich firm

26 **Warmińskie aleje trzymają się mocno**
Ministerstwo o wycince drzew

ZAGRANICA

28 **Osadniczy terror**
Nasila się przemoc na Zachodnim Brzegu

30 **Jak długo wytrzymamy?**
Ceny energii biją w Europę

33 **Nadchodzi Król Północy**
Andy Burnham nadzieją laburzystów

36 **Wbrew polityce**
Korespondencja z Litwy

48 **Francuskie media skręcają w prawo**
Korespondencja z Francji

KULTURA

40 **Przełomy i samotna aktorka**
Po Warszawskich Spotkaniach Teatralnych

43 **Qulturalia**

66 **Ogień w ogrodzie**
Malarstwo Andrei Wrzeszczyńskiej

KOŚCIÓŁ

44 **Papieskie tajemnice**
– rozmowa z prof. Stanisławem Obirkiem

OBSERWACJE

51 **Miliard euro w kokainie**
Nowa mapa przemytu narkotyków

ZDROWIE

53 **Doktor robot?**
Zyski z operacji robotycznych

TECHNOLOGIE

55 **Halucynacje Chata GPT**
Przyczyny i skutki ograniczeń AI

ZWIERZĘTA

57 **Twierdza pełna intruzów**
Domowe kieckogryzy i mąkopsuje

SPORT

60 **Francja coraz lepsza**
A chytrzenie Trumpa nic nie dało

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Wasalna polityka w patriotycznym opakowaniu

27 **Roman Kurkiewicz**
O Francesce, która Izraelowi się nie kłania

39 **Tomasz Jastrun**
Wróblowe wzgórza

47 **Wojciech Kuczok**
Jest lato, muszę spływać

23 KRAJ

MOCARZE ZNAD WISŁY
Zagraniczna ekspansja polskich firm

33 ZAGRANICA

NADCHODZI KRÓL PÓŁNOCY
Andy Burnham nadzieją laburzystów

60 SPORT

FRANCJA CORAZ LEPSZA
A chytrzenie Trumpa nic nie dało

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73be861abb

Bolesna historia. Dwa spojrzenia

Dwa spojrzenia, ale jedna prawda, czyli komu w Europie jest potrzebna zbanderyzowana (faszyzująca) i przesiąknięta korupcją Ukraina. Lepiej dla Ukrainy i jej obywateli, aby poszukali sobie innych narodowych bohaterów, ponieważ obecna historyczna narracja władz w Kijowie i lokalnych (Tarnopol, Lwów, Sambor, Jaworów) jest nieakceptowalna z polskiego, jak również z europejskiego punktu widzenia. Aktualna polityka historyczna tego kraju jest słusznie krytykowana z różnych kierunków – także z Rosji. Prezydent Zełenski strzelił Ukrainie gola (do własnej bramki), a Moskwa słusznie się cieszy. Słusznie, bo w Polsce czy w Czechach nastąpiło podgrzanie nastrojów społecznych. Straci na tym głównie Ukraina.

Damian Paweł Strączyk

•

W tygodniku dwa różne punkty widzenia na temat Ukrainy, ale tekst Bohdana Piętki odnosi się do aktualnej rzeczywistości. Prof. Andrzej Romanowski raczej przedstawia własny punkt widzenia. Wielu ludzi w naszym kraju nie zna nikogo z Ukrainy, więc punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Nacjonalizm ukraiński jest faktem, a jego przyśpieszenie nastąpiło z chwilą dokonania zamachu stanu w 2014 roku. Wojna z Rosją dała jeszcze silniejsze podłoże. Nacjonalizm ukraiński obecnie testuje nasz kraj oraz Europę. Powoli podrzucają opał do pieca i czekają, jakie będą efekty. Jeżeli Polska nie zareaguje zdecydowanie, tak jak i inne kraje, to jego skala będzie jeszcze większa. To może być sygnałem dla innych krajów, że skoro można na Ukrainie, to dlaczego nie u nas. Wówczas powstaną problemy, ale obecnie jakoś nikt z polityków poważnie na te tematy się nie wypowiada. Odebranie odznaczenia Zełenskiemu to tylko pogrożenie paluszkiem.

Andrzej Kościański

Finansowa samowola w ochronie zdrowia

Rozwiązanie przedstawionego problemu jest bardzo proste. Skoro wykształcenie lekarza na państwowej uczelni kosztuje pół miliona, to niech każdy lekarz po uzyskaniu dyplomu odpracuje przez kilka czy kilkanaście lat te studia w państwowym szpitalu czy przychodni. Pod rygorem zwrotu całkowitego kosztu studiów. Wpadli już na to Jankesi kilkadziesiąt lat temu, jeszcze zanim ich służba zdrowia została zaorana na poczet prywatnych lecznic. Dzięki temu rozwiązaniu zatrzymamy lekarzy w kraju, co w oczywisty sposób zwiększy ich liczbę, a i sytuacja w szpitalach się zmieni. Więcej lekarzy to więcej obsłużonych pacjentów, co zmniejszy kolejki. Wystarczy tylko chcieć.

Finansowa samowola w ochronie zdrowia

Michał Czarnowski

•

To nie jest problem wykształcenia. Państwo odpowiada konstytucyjnie za zdrowie obywateli tak samo jak za bezpieczeństwo. Nie tworzymy prywatnych armii w celu optymalizacji obrony RP ani prywatnej policji, ani prywatnych sądów itd.

Łukaszko Walczuk

•

Źródłem problemu nie jest PRL. Wtedy opieka zdrowotna była ogólnie dostępna i o wiele łatwiej było się leczyć niż dziś. PRL istniała 45 lat, a państwo polskie ponad 1000 lat. To efekt degeneracji kulturowej Polaków, która trwa od wieków. Załatwianie po znajomości trwa od wieków i było powszechne także przed wojną.

Grzegorz Wilk

•

Od lat, bez względu na ekipę rządzącą, ta sama melodia. Będzie trochę szumu, „propozycji", a problem zostanie!

Barbara Targosz

ZDJĘCIE TYGODNIA

Morze upomniało się o plażę. Sztormowe fale w Krynicy Morskiej, 8 lipca 2026 r.

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

eprasa.pl 73be861abb

Parlament Europejski przyjął rezolucję, w której ubolewa nad „niepotrzebną i niesprowokowaną eskalacją spowodowaną przez prezydenta Zełenskiego polegającą na nadaniu elitarnej jednostce imienia »bohaterów UPA«". Wnioskowała o to Europejska Partia Ludowa, do której należą KO i PSL.

•

10 lipca minęła **85. rocznica pogromu ludności żydowskiej w Jedwabnem.** Zamordowano wówczas od 340 (ustalenia IPN) do 1 tys. osób. Do pogromów w lipcu 1941 r. doszło również w Radziłowie, Szczuczynie, Wąsoszu. W uroczystościach rocznicowych w Jedwabnem wziął udział **marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty.**

•

W 2024 r. wartość świadczeń i leków Narodowego Funduszu Zdrowia wyniosła prawie 169 mld zł, z czego ok. 20% pochłonęło leczenie najbardziej potrzebujących pacjentów. 100 najdroższych pacjentów kosztowało 357 mln zł (**„Nie"**).

•

Są wyniki matur. Zdało 81,1% uczniów, a 12,3% będzie miało poprawkę. Najgorzej poszło uczniom szkół branżowych. Matury nie zdało tam 56,2% uczniów.

•

W ostatniej dekadzie w 79% gmin wiejskich i miejsko-wiejskich ubywa mieszkańców, a w dwóch trzecich gmin jednocześnie więcej osób umiera, niż się rodzi, i więcej wyjeżdża, niż przybywa.

•

Od października w ramach systemu kaucyjnego w 62 tys. punktów odbioru **zwrócono już ponad 1 mld pustych opakowań**. Większość, ok. 81%, zwrócono w automatach.

•

Rośnie frekwencja na meczach piłkarskich. W minionym sezonie na stadionach kibicowało 4,15 mln widzów. Daje nam to ósme-dziewiąte miejsce w Europie.

•

Z górniczych odpraw za dobrowolne odejście z pracy w Jastrzębskiej Spółce Węglowej do końca roku ma skorzystać 1156 osób. Otrzymają po 170 tys. zł netto. Budżet państwa będzie to kosztowało ok. 500 mln zł.

•

Najbogatszym regionem w Polsce jest woj. mazowieckie, które znacznie wyprzedza wielkopolskie i dolnośląskie. Najbiedniejsze to woj. warmińsko-mazurskie, lubelskie i podkarpackie.

•

Andrzej Bargiel jako pierwszy zjechał na nartach z Nanga Parbat (8126 m). Szczyt zdobył bez wspomagania tlenem.

•

W 2025 r. **wyeksportowaliśmy jaja za 456 mln euro**, co daje nam drugie miejsce w Unii, po Holandii.

•

Patrycja Kotecka, żona Zbigniewa Ziobry, za rządów PiS zarobiła w Link4, które jest częścią grupy PZU, ponad 4,5 mln zł.

•

Szpital w Kaliszu ma 40 mln zł długu i nie płaci m.in. pielęgniarkom. A lekarzy, którzy zarobili ponad 1 mln zł, jest tam 12.

•

Badania, które objęły 14 krajów, w tym Polskę, pokazały, że co druga osoba ma problem z wchodzeniem w długoterminowe związki. A prawie 40% ma trudności z utrzymaniem istniejących.

PRZEBŁYSKI

Deweloper Gliński

Czy maszerująca do tyłu samozwańcza grupa rekonstrukcyjna Pałacu Saskiego wymusi wywalenie na to badziewie wielu miliardów złotych?

Historia niewiele zna przykładów tak głupiego marnowania publicznych pieniędzy. Ileż kasy można przepuścić na konkursy, projekty, płace zarządów! I posady dla swoich. Czy pisowscy pomysłodawcy tego skoku na kasę mogli przegapić taki łup? Wystarczyło opakować go patriotycznymi sloganami, by sparaliżować nawet racjonalne rozumy. Pora się obudzić. Warszawa ma ze sto ważniejszych wydatków. A szantaże Piotra Glińskiego, premiera technicznego PiS, są oparte na fałszywkach. Gliński, choć mówi o odbudowie, wie doskonale, że to całkowicie nowa budowa. Chce być partyjnym deweloperem i zbudować to ponure gmaszysko od zera. Przyzwyczaił się w rządzie PiS do takich absurdalnych decyzji.

Kogo PiS wysłało do Kijowa

Jan Piekło. Nie znacie. A szkoda, bo gdyby szukać modela do figurki typowego urzędnika PiS, byłby nim Piekło. Gość o nienachalnej inteligencji, ale na tyle sprytny, że partia Morawieckiego wysłała go w 2016 r. do Kijowa. Na ambasadora. PiS wystarczyło, że w życiorysie miał epizod współpracy z prasą Solidarności. Umiejętność pisania nie jest tam powszechna. A że Piekło pisać umie, bo pracował dla mediów polskich i zagranicznych, to go wysłali. I szybko pożałowali. Bo nieszczęsny nowiutki dyplomata plótł rozmaite androny. Ludobójstwo wołyńskie określał jako „epizod bratobójczej walki między Ukraińcami a Polakami". Trudno więc powiedzieć, czyje interesy w Kijowie reprezentował.

PiS jest znane z amnezji. Wymazali z pamięci epizod z ambasadorem Piekłą. Podobnie zapomnieli o eksperymencie Kaczyńskiego, czyli eksministrze Czaputowiczu. Piekło w Kijowie był, ale niczego złego tam nie zauważył. Wszyscy widzieli. Poza takimi dyplomatami jak Piekło i Cichocki.

Diabeł jedzie na Hel

Autobus linii 666 wyjeżdża z Krakowa o godz. 6.00, a w Helu melduje się o godz. 19.25. Niby nic dziwnego. Ot, jeszcze jedna linia wakacyjna. Ale zwróćcie uwagę na ten numer – 666. Biblijny „numer bestii", do tego miejsce docelowe – HEL (ang. hell – piekło). Katolicki serwis Fronda.pl nie odpuścił. Protesty trwały od 2018 r. I dały efekt. PKS Gdynia uległ presji i w 2023 r. zmienił numer na 669.

Do trzech szóstek wrócił nowy przewoźnik, FlixBus. O sprawie pisały „Fakty po Mitach". A wcześniej diabła pokazały BBC i CNN. Księża więc nie kapitulują. Rzecznik archidiecezji gdańskiej ks. Maciej Kwiecień ogłosił, że jest to prowokacja.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, YOUTUBE, WIKIPEDIA

eprasa.pl 73be861abb

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

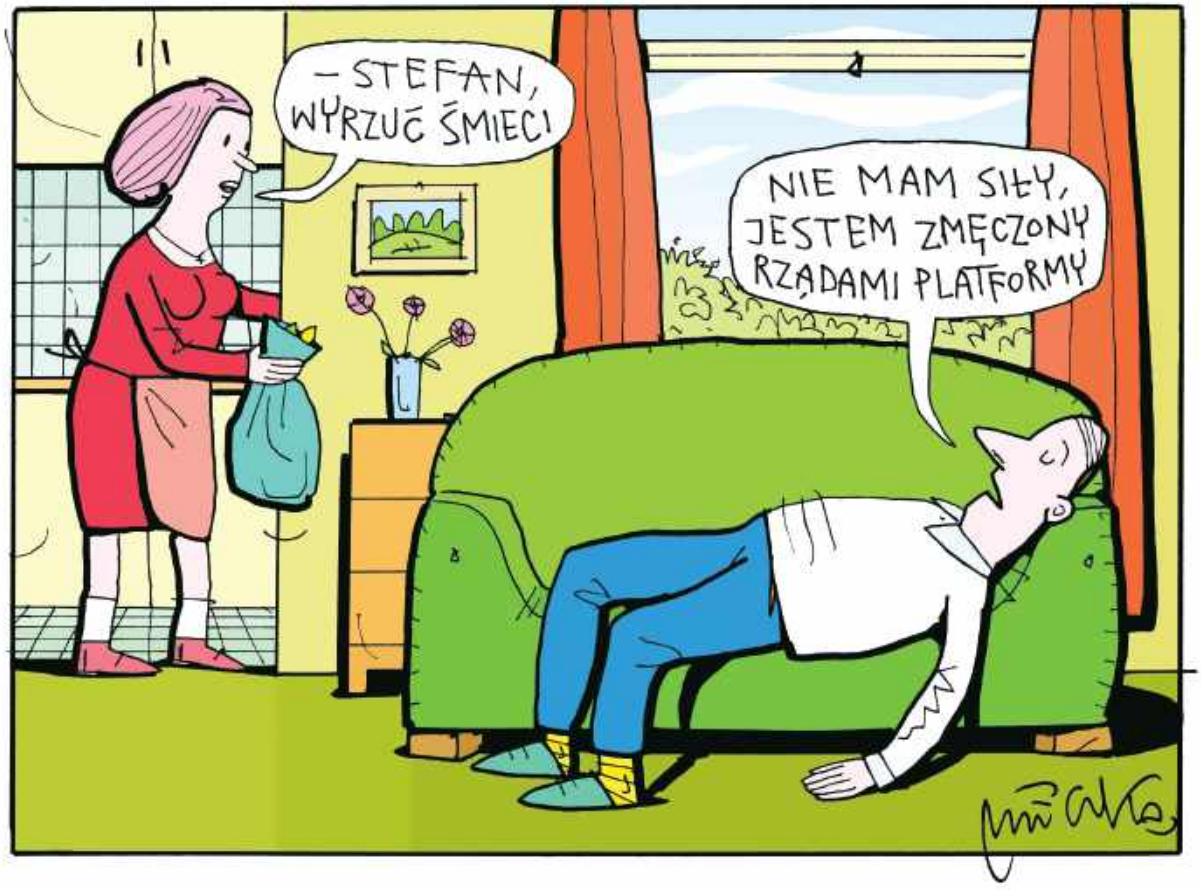

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

MŁODZIEŻÓWKI PARTYJNE – kuźnie kadr czy fabryki karierowiczów?

DR KRZYSZTOF JANIK,
politolog, były minister MSWiA oraz były szef SLD

Są wiernym odbiciem ducha partii. Jeśli partia ma ideę, młodzieżówka też jest ideowa; jeśli chce tylko władzy – młodzieżówka staje się maszynką do robienia kariery. Kiedyś na lewicy mieliśmy świetne środowiska młodzieżowe, z których wyrośli Zandberg, Nowacka czy Sylwia Pusz; dobrze było też w Unii Wolności. To była szkoła przygotowania do polityki. Sam uczyłem się współdziałania za młodu – w harcerstwie, ZMW i ZSMP. Niestety, przez ostatnie 20 lat partie zatraciły tożsamość. Dziś młodzi idą tam nie po to, by więcej rozumieć, ale żeby ustawić się w życiu i wybrać ten specyficzny, czasem śmieszny zawód polityka. Zapominamy, że bycia w kolektywie uczy się za młodu, potem jest za późno. Kto tego nie potrafi, w polityce będzie ułomny, zostanie co najwyżej administratorem.

PIOTR SZUMLEWICZ,
dziennikarz i związkowiec

Młodzieżówki to niestety w większości fabryki karierowiczów w najgorszym znaczeniu tego słowa. Zamiast uczyć się i rozwijać zawodowo, młodzi ludzie całe życie podporządkowują karierze politycznej. Od liceum są cyniczni, konformistyczni, bezwzględni. Nie wiedzą, czym jest krytyczne myślenie, i nie mają doświadczenia na rynku pracy. Ich cel to noszenie teczek posłom i zdobycie miejsca na listach. To droga dysfunkcjonalna dla partii i dla nich samych. Zamiast ekspertów czy wizjonerów mamy ludzi, którzy nic nie wiedzą o świecie, są nietwórczy i mało wrażliwi na problemy społeczne. Niestety, to większość współczesnych polityków – niezależnie od barw. Wczoraj sami nosili teczki, dziś decydują o państwie, a za nimi idą kolejne zastępy „teczkowych". Jakość polskiej polityki byłaby wyższa, gdyby młodzieżówki w obecnej formule przestały istnieć.

MIKOŁAJ MURCZKIEWICZ,
twórca cyfrowy, administrator grupy na FB „Sekcja Polityki Polskiej"

Idea młodzieżówek jako kuźni talentów przegrywa z wodzowską kulturą partii. Zamiast przygotowywać się do wymiany pokoleń, młodzi bywają degradowani do roli „teczkonosów". Brak uregulowanego statusu sprawia, że partie nie biorą za młodzieżówki odpowiedzialności. Obecny układ promuje karierowiczów lub 15-latków o mentalności 50-latków, którzy nie są głosem swojego pokolenia. Talenty z własnym zdaniem szybko odpadają, bo partie wolą posłuszne „bezpieczniki" pokroju Szafarowicza czy Wasiewicza, których nagradza się mandatami radnych lub stanowiskami w radach nadzorczych. Do zachodnich standardów wciąż nam daleko – polskie partie to kolosy na glinianych nogach, z dołami opanowanymi przez armię biernych, miernych, ale wiernych działaczy.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 73be861abb

PO CO NAM AMERYKAŃSKA BAZA?

Nie obroni, a kosztować będzie krocie

Robert Walenciak

Pogrążamy się w świecie szaleństwa. Polscy politycy licytują się w sprawie amerykańskiej bazy: kto bardziej chce u nas amerykańskich żołnierzy, kto chce więcej za to zapłacić. Oto probierz patriotyzmu.

Te wszystkie opowieści, jakie to szczęście zapanuje, gdy Amerykanie osiądą na polskiej ziemi, nie trzymają się kupy. Nie ma w tym ani przyzwoitości, ani logiki finansowej, ani strategicznego myślenia.

Zacznijmy od przyzwoitości. Oto bowiem politycy, którzy mają usta pełne frazesów o wolności i niepodległości, chcą, by tę wolność zapewnili nam żołnierze zagraniczni. Przecież to jest ucieczka w poddaństwo. Wobec USA. Innymi słowy, wołają: „Wolność, suwerenność!", a chcą nas sprzedać.

Tę sprzedaż realizują z zapałem. Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz ogłasza z dumą, że negocjuje sprawę bazy z sekretarzem wojny Pete'em Hegsethem i że te negocjacje idą dobrze. Rzecznik prezydenta Nawrockiego pogania rząd i poucza, że to Nawrocki narzuca ton w tych zabiegach wobec Amerykanów. I że to on najbardziej chce wojsk USA w Polsce. Oto rozum Nawrockiego – wmawia nam, że im będzie milszy wobec Donalda Trumpa, tym bardziej Trump będzie chętny nas bronić. Wiąże więc bezpieczeństwo Polski z dobrym humorem prezydenta USA. Poza tym amerykańska baza będzie „odstraszać Rosję". Czyżby?

•

Jest wiele dowodów z ostatnich lat, a nawet dni, na to, że obecność amerykańskich żołnierzy nie gwarantuje bezpieczeństwa. Przykładem niech będzie ostatnia wojna w Zatoce. Amerykanie mają tam bazy w Katarze (Al-Udeid), w Bahrajnie (dowództwo V Floty), w Kuwejcie i w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Bogate państwa Zatoki myślały podobnie jak polscy politycy – że ściągną Amerykanów i będą bezpieczne. Tymczasem okazało się, że bezpieczne nie były. Iran bombardował bazy, a nawet hotele, w których mieszkali amerykańscy żołnierze. Obecność amerykańskich baz niczego więc nie zagwarantowała.

Podobnie było w roku 2021 w Afganistanie. Obecność amerykańskich żołnierzy nie pomogła prozachodniemu rządowi. Sceny z lotniska w Kabulu, z którego odlatywały amerykańskie samoloty, są tego symbolem.

W naszej części świata podobną sytuację mieliśmy w roku 2008 w Gruzji. Dla nas ta wojna to początek agresywnych działań Rosji.

FOT. PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 73be861abb

Ale były one możliwe dlatego, że ówczesny gruziński prezydent Micheil Saakaszwili zbyt mocno uwierzył w amerykańską broń i poparcie USA. Wierzył m.in., że amerykańscy żołnierze szkolący armię gruzińską „będą odstraszać". Nic takiego nie miało miejsca. W efekcie przegrał. Prof. Jadwiga Kiwerska z Instytutu Zachodniego skomentowała to krótko: „Wobec wojny rosyjsko-gruzińskiej Waszyngton okazał się dość bezradny, a jego działania były mocno spóźnione i raczej miały na celu »ratowanie twarzy« supermocarstwa niż realną skuteczność".

•

Dlaczego wiara, że baza wojsk amerykańskich będzie rodzajem naszej tarczy, że będzie odstraszała Rosję, jest tak naiwna? Bo zakłada, że Rosja i USA są głęboko skłócone, pozostają w konflikcie takim jak w czasach zimnej wojny. Ale tamtych czasów już nie ma. Ekipa Trumpa patrzy na świat zupełnie inaczej – wielobiegunowo. Podobnie będzie, jak sądzę, z ekipami, które przyjdą po nim. Rosja nie jest więc dziś dla USA śmiertelnym wrogiem, ale jednym z największych państw świata, z którym jakoś trzeba się ułożyć. Jak? Polska nie ma na to wpływu. Żadnego. W sprawach stosunków amerykańsko-rosyjskich jesteśmy poza grą. Mogliśmy więc w Warszawie wołać, że Putin to morderca i że nie podaje mu się ręki, a potem i tak oglądaliśmy w telewizji, jak na Alasce kroczy po czerwonym dywanie i wita się miło z Donaldem Trumpem.

Możemy też obserwować wysłanników prezydenta USA, którzy jeżdżą do Moskwy negocjować i snują plany gospodarczych przedsięwzięć. Słuchać wiceprezydenta J.D. Vance'a, który z dumą opowiadał, że jego największym osiągnięciem jest odłączenie Ukrainy od amerykańskiej pomocy. Albo Trumpa, który w Paryżu o popieraniu Kijowa mówił: „Nie mamy z tym nic wspólnego. Nie ma to na nas żadnego wpływu, poza tym, że sprzedajemy Ukrainie broń".

W takiej sytuacji baza amerykańska w Polsce może być elementem odstraszania, ale nie musi. To Ameryka będzie o tym decydowała. I gdy dojdzie do wniosku, że może z Rosją zrobić dobry deal – to go zrobi. Zawsze więc może być tak, że Donald Trump lub jego następca powiedzą: „Słuchajcie, my się z Rosjanami dogadaliśmy, to teraz wy się dogadajcie, my do tego się nie wtrącamy.

Czy mogą tak zrobić? Oczywiście! Jak zwęszą interes – zrobią to natychmiast. A my Rosji w naszych biznesowych propozycjach nie przebijemy.

•

Jeszcze większą naiwnością jest wiara, że budując amerykańską bazę, kupując amerykańską broń i w ogóle robiąc wszystko, by Waszyngtonowi się przypodobać, zyskamy status strategicznego partnera i USA zawsze staną w naszej obronie.

Warto wrócić na ziemię – nie ma mowy o strategicznym sojuszu z USA. To byt nieistniejący. Stany Zjednoczone taki sojusz mają jedynie z Izraelem. I Polska nie jest w stanie zbliżyć się do tych parametrów.

Stany Zjednoczone prowadzą politykę globalną, Polska co najwyżej może być jej elementem. Tak było na przełomie lat 80. i 90., kiedy następował demontaż imperium radzieckiego. Wtedy byliśmy ważni. Potem byliśmy wykorzystywani w grach przeciwko Rosji. No i Donald Trump by chciał, aby Polska przejęła pałeczkę po Viktorze Orbánie w rozwalaniu Unii Europejskiej. Tyle. I nic więcej.

Ameryka – pokazuje to jej historia – potrafi takie kraje wykorzystać. A potem, jeśli zajdzie potrzeba, porzucić. Historia amerykańskich zdrad jest długa. Doświadczyli tego w ostatnich latach Afgańczycy, Kurdowie, Irakijczycy, w dużej części Gruzini. Jałta, w której prezydent Roosevelt porzucił Polskę, również jest tego przykładem.

Dlaczego więc Karol Nawrocki i polska prawica wierzą w amerykańską nieustającą opiekę nad Polską?

•

Jest jeszcze jeden rodzaj wiary – wojskowa. Władysław Kosiniak-Kamysz chętnie opowiada, że baza wzmocni nasz potencjał odstraszania. Ale przypomnijmy sobie, gdzie ma być ulokowana – albo na Dolnym Śląsku, na zachód od Wrocławia, albo pod Poznaniem, albo pod Szczecinem. Czyli, ogólnie mówiąc, w zachodniej części kraju, przy niemieckiej granicy. Czy to jest odstraszanie Rosjan? Chyba byłoby większe, gdyby baza była w Białymstoku, gdzieś przy wschodniej granicy. Ale na to się nie zanosi. Amerykanie zatem będą, bo będą, w bezpiecznym miejscu, za plecami polskich żołnierzy.

Śmieszna jest ta wiara, że nas obronią. 10 tys. żołnierzy, nawet amerykańskich, to nie jest siła, która przeważy w sytuacji konfliktu. W takim przypadku istotne jest coś innego. Po pierwsze, siła polskiego wojska i polskiego przemysłu. Po drugie, lojalność sojusznicza oraz infrastruktura pozwalająca szybko przerzucić broń i wojsko. Krzesiny, Jasionka…

Nie ma mowy o strategicznym sojuszu z USA. To byt nieistniejący.

My to wszystko mamy, Amerykanie znają nasze lotniska, w Poznaniu już teraz bazują, więc do takich działań są przygotowani. Nowa baza, Fort Trump, nie jest do tego potrzebna.

•

Obalmy jeszcze jeden mit – że baza wzmocni polską siłę. Otóż nie wzmocni. Bo jaki wpływ na tę bazę będzie miał polski rząd? Odpowiedź jest oczywista – zerowy. To rząd USA będzie decydował, jakie jednostki w tej bazie będą przebywać, ilu będzie w niej żołnierzy i jakie będą ich zadania. A jeśli Waszyngton uzna to za stosowne – wymieni ich albo ewakuuje. Nasza rola w działalności bazy będzie ograniczona do dowozu pożywienia i wywózki śmieci.

•

Wiceminister MON Paweł Zalewski, który zachwala bazę, w jednym ma rację – Amerykanie mają w Europie interesy, więc chcą je chronić, dlatego są zainteresowani obecnością wojskową. I dlatego polska propozycja jest im na rękę. Ale tym samym mówi wprost: baza

eprasa.pl 73be861abb

wojsk amerykańskich będzie służyła interesom nie polskim, tylko amerykańskim. Te interesy to kontrola nad państwami Unii Europejskiej, które są perłą w koronie amerykańskiego imperium. Unia to najbogatszy kawałek świata, tu amerykańskie koncerny zarabiają i transferują miliardowe zyski za ocean.

Najnowsza strategia amerykańska, tzw. NATO 3.0, zakłada, że Ameryka wycofa znaczną część wojsk z naszego kontynentu i zmusi państwa europejskie, by przejęły w decydującym stopniu koszty swojej obrony. Ale poza tym nic się nie zmienia. Ameryka wciąż chce kontrolować Europę, jednak teraz za europejskie pieniądze.

•

Jeśli zaś jesteśmy przy pieniądzach… To już ustalone – jeżeli baza powstanie, wybudować ją będą musieli Polacy. Za swoje pieniądze. Za ile? Jeszcze nie wiadomo, padają sumy od dziesięciu do kilkunastu miliardów złotych. Polska zatem ma wybudować amerykańskiej armii bazę, i to nie tylko na sprzęt wojskowy. To ma być miasteczko, bo żołnierze przyjadą z rodzinami. Czyli – miasteczko na kilkadziesiąt tysięcy osób, i to nie kontenerowe, tylko zapewniające odpowiedni poziom życia. Z niezbędną infrastrukturą usług. Wiemy już, że z jego budową rząd chciałby ruszyć „jeszcze w tym roku".

A jak to miasteczko będzie funkcjonowało? To ma określić umowa polsko-amerykańska, która będzie negocjowana. Podstawą negocjacji będzie zapewne obecna umowa, z roku 2020, na mocy której amerykańscy żołnierze przebywają w Polsce. Możemy więc przyjąć, że będą poza naszą jurysdykcją. W dodatku będziemy musieli ich utrzymywać, płacić za ich pobyt. To będą kolejne miliardy. Czy Polskę na to stać?

Kłopot w tym, że nikogo to nie interesuje. Polscy politycy wręcz licytują się, kto jest gotów przeznaczyć więcej pieniędzy na armię amerykańską czy na amerykański sprzęt. Mamy kontrakty zbrojeniowe z amerykańskimi firmami na ponad 200 mld zł – ogłosił niedawno Władysław Kosiniak-Kamysz, ewidentnie uznając to za powód do dumy. I nie dodał, że – po pierwsze – struktura tych zakupów jest najgorsza z możliwych, bo płacimy najwyższe ceny i nie otrzymaliśmy offsetu. A po drugie, zamówiliśmy sprzęt, który – jak pokazała wojna w Ukrainie – już jest przestarzały i nie nadaje się na współczesne pole walki. Do tego jest najdroższy w obsłudze – jeżeli więc płacimy 23-24 mld zł za 360 czołgów Abrams (nowych i starych) i 40 mld za 96 śmigłowców Apache, to pomnóżmy te kwoty przez dwa. Bo tyle będą wynosiły koszty eksploatacji. Po trzecie, Ameryka zagwarantowała sobie prawo decydowania, czy dany sprzęt może być użyty i gdzie. Czyli kupujemy rakiety i możemy nimi strzelać tylko w te cele, na które zgodę wyrażą Amerykanie. To oni mają klucze. Po czwarte wreszcie, my musimy płacić za sprzęt według umów, a oni dadzą nam go wtedy, kiedy go wyprodukują. Tymczasem poślizgi w dostawach niektórych rodzajów broni są paroletnie…

Jaki wpływ na amerykańską bazę będzie miał polski rząd? To oczywiste. Zerowy.

•

Wiążemy się więc z USA miliardowymi kontraktami w złudnej nadziei, że przepłacając, kupimy sobie ich „opiekę". Nawiązując do słów Radosława Sikorskiego, wynajmujemy sobie firmę ochroniarską. Najdroższą na świecie. Rzecz w tym, że nie na zasadzie „płacę i wymagam", tylko w systemie wasalnej renty.

•

Polscy politycy, zabiegając o amerykańskie bazy, wdzięcząc się do Trumpa, robią to w sposób jak najbardziej świadomy. W narastającym sporze między Ameryką a Unią Europejską lokują się po stronie Ameryki. Konkretnie zaś po tej stronie lokują nas Karol Nawrocki i PiS, a koalicja rządząca, w sprawach Ameryki podzielona, nie ma siły, by tę ścieżkę skorygować.

To groźne dla polskiego bezpieczeństwa. Administracja Trumpa prowadzi przecież podwójną grę. Po pierwsze, osłabia NATO i podważa zobowiązania sojusznicze. Po drugie, w miejsce wielostronnych sojuszy preferuje umowy dwustronne. W tym kierunku to zmierza i polska prawica temu przyklaskuje. Wierzy, że zbuduje sobie w ten sposób szczególne miejsce w polityce USA.

Ta sytuacja Polsce nie pomaga. Czyni z niej w Europie osła trojańskiego Ameryki. Nasz kraj, który pozostaje największym beneficjentem unijnej pomocy, lecz opowiada się po stronie Trumpa, przeciwko Europie, jest dziwactwem.

•

Pytanie zatem nasuwa się samo: skoro amerykańskie bazy są finansową pętlą, skoro służyć będą Ameryce, a Polsce nic nie gwarantują, dlaczego nasi politycy tak je zachwalają?

Odpowiedzi rysują się dwie. Po pierwsze, w Polsce wciąż mocne są nastroje proamerykańskie. Wciąż silny jest mit Ameryki, więc dla polityków wciąż jest to fala, na której chcieliby płynąć. Jeżeli prawie 60% Polaków uważa, że bazy amerykańskie w Polsce to dobra rzecz – oni też będą za tym. Na zasadzie, że to symbol przynależności do zachodniego świata, więc jesteśmy za. Po drugie, na skutek wojny polsko-polskiej sprawy obronności i polityki zagranicznej wymknęły się spod ponadpartyjnego konsensusu. Wobec tego politycy zabiegają o poparcie Waszyngtonu w przekonaniu, że da im to więcej argumentów, wzmocni ich pozycję.

Znamy takie zachowania – w czasach Polski Ludowej byli działacze, którzy lewarowali się, wydeptując ścieżki w ambasadzie radzieckiej. Teraz dzieje się podobnie, tylko ambasada się zmieniła.

Polskie interesy natomiast zeszły na dalszy plan.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73be861abb

Prezes Naczelnej Izby Lekarskiej Łukasz Jankowski przed siedzibą Ministerstwa Zdrowia w Warszawie, 9 lipca 2026 r.

NACZELNA IZBA LEKARSKA **NA WOJNIE Z RZĄDEM**

Beata Igielska

Patologiczna chciwość jest demokratyczna, nie ma barw politycznych. Świadczy o tym historia Dawida Kacprzyka, młodego lekarza bez specjalizacji, radnego PO, zarabiającego krocie w Warszawskim Szpitalu Południowym, oraz historia spółdzielni neurochirurgów z Mogilna zarabiających 26 tys. zł na godzinę i ponad 300 tys. zł dziennie – dla odmiany powiązanych ze środowiskiem PiS. Rzucamy w rozmowach tymi kwotami, jakby były czymś normalnym, podczas gdy wszyscy mieszkańcy czteropiętrowego bloku w Warszawie razem wzięci nie zarabiają nawet jednego Kacprzyka – nowej miary wartości pracy.

Joanna Mucha, posłanka niezrzeszona, stwierdziła w „Kropce nad i", że standardem w szpitalach jest jeden lekarz zarabiający ponad 100 tys. zł i kilku lekarzy zarabiających 50 tys. zł. Nic więc dziwnego, że większość budżetów szpitalnianych idzie na pensje personelu medycznego. A gdzie inwestycje w infrastrukturę, w pacjentów? Jaką korzyść mają pacjenci z lekarza za 100 tys. zł, często przemęczonego, biegającego za kasą z jednego miejsca w drugie?

Co i jak chce uleczyć Naczelna Izba Lekarska

Na uleczeniu patologii powinno zależeć przede wszystkim Naczelnej Izbie Lekarskiej, samorządowi lekarzy i lekarzy dentystów. Przynależność do niego jest obowiązkowa dla każdego, kto chce w Polsce uprawiać zawód lekarza.

Tymczasem do tej pory niemal każda próba uleczenia była przez izbę bojkotowana. Szczególnie nie podoba jej się jawność wynagrodzeń w publicznej ochronie zdrowia. Prezes NIL Łukasz Jankowski zapowiedział w RMF FM, że jeśli prezydent podpisze ustawę o powiązaniu zarobków lekarzy z PESEL, ci skierują sprawę do trybunałów europejskich. Prezes zresztą już dwukrotnie poszedł do prezydenta Karola Nawrockiego – 19 listopada 2025 r., czego efektem był grudniowy Szczyt Zdrowotny, oraz 20 maja 2026 r., w sprawie przegłosowanej przez Sejm ustawy wydłużającej terminy na przedstawienie certyfikatu znajomości języka polskiego przez lekarzy cudzoziemców. Jankowski zaapelował wówczas o weto prezydenta, aby „chronić bezpieczeństwo pacjentów".

Co NIL zamierza zrobić, aby nie powtarzały się patologiczne sytuacje jak ta w Warszawskim Szpitalu Południowym czy ze spółką neurochirurgów z Mogilna? „Podpowiadać Ministerstwu Zdrowia, jak nie dopuszczać do takich patologii, ale nie mamy złudzeń, że zostaniemy wysłuchani. Zgłaszaliśmy mechanizmy blokujące częściowo takie nadużycia jeszcze w zeszłym roku – bezskutecznie",

eprasa.pl 73be861abb

odpisuje mi szef biura prasowego NIL Jakub Kosikowski. Dowiedziałam się też, że pensja Jankowskiego to cztery średnie krajowe. Jeśli do tego dorzucimy ryczałt, wychodzi ponad 40 tys. zł brutto miesięcznie. Kiedy wcześniej o ujawnienie pensji Jankowskiego wnioskował lekarz Janusz Pachucki, sprawa oparła się aż o NSA, który uznał, że w odniesieniu do zarobków prezesa nie obowiązuje zasada ochrony prywatności. Mimo to Jankowski nie chciał ujawnić, jaka to kwota. Ostatecznie jednak portal „Rynek Zdrowia" dotarł do uchwał ją określających, a prezes potwierdził autentyczność danych.

NIL chce też odpolitycznienia zarządców szpitali, co uznaje za propozycję trudną dla polityków, bo to oznacza rezygnację osób z mandatem partyjnym z funkcji dyrektorów. W radiowej Trójce Jankowski wyjawił zaś, że jednym z kierunków reformy powinno być odejście od monopolu NFZ na rzecz konkurujących ze sobą kas chorych.

Czy lekarze są zadowoleni z takiego przedstawicielstwa? „Jedyne, co mnie z nimi łączy, to 120 zł miesięcznie ściągane od pensji", czytam w anonimowych komentarzach pod materiałami o kryzysie w ochronie zdrowia. W samej izbie Jankowski

Prezes NIL Łukasz Jankowski zapowiedział, że jeśli prezydent podpisze ustawę o powiązaniu zarobków lekarzy z PESEL, ci skierują sprawę do trybunałów europejskich.

Zdaniem NIL jedyną skuteczną metodą na zlikwidowanie kominów płacowych ma być rewizja wycen, które te kominy tworzą. „To są ciągle te same specjalizacje, gdzie marża na pacjentach jest zbyt duża", pisze Kosikowski, odpowiadając na moje pytania. Izba proponuje także tachografy dla personelu medycznego. Lekarze na kontraktach mieliby pracować maksymalnie 78 godzin w tygodniu – czyli tyle, ile wynosi limit dla lekarzy zatrudnionych na etacie. Byłby to jednak czas pracy zbliżony do deklaracji z grafików Kacprzyka – etat poza ochroną zdrowia wynosi 40 godzin. Z badań NIL wynika, że 30% lekarzy przeszłoby z kontraktów na etaty, gdyby wynagrodzenie wynosiło ok. 30 tys. zł brutto.

W RMF FM Jankowski dowodził: „Zostaliśmy wypchnięci na kontrakty przez panią premier Kopacz, ówcześnie ministra zdrowia". Tu mija się z prawdą. Bernard Waśko, niegdyś pełniący funkcję zastępcy prezesa NFZ (ds. medycznych), a obecnie dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH – Państwowego Instytutu Badawczego, stwierdził w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", że nikt lekarzy do tego nie zmuszał, chcieli uniknąć wysokich podatków i limitów czasu pracy, a więc również limitu zarobków.

poparcie ma. Jest tam wianuszek odpowiednio wynagradzanych, sprawujących po kilka funkcji kolegów i koleżanek. Niektórzy śledzą krytyczne komentarze o izbie na platformie LinkedIn, piszą, że prezes super jest, i oznaczają go, żeby wiedział, kto śpiewa „Łubu dubu, niech żyje nam prezes naszego klubu".

Choroby drążące NIL

Łukasz Jankowski był jednym z liderów strajku rezydentów z 2017 r., a w maju 2022 r. został najmłodszym prezesem w historii samorządu lekarskiego. Pierwszą decyzją było podniesienie składki członkowskiej z 60 do 120 zł miesięcznie. Kolejne kroki to powierzanie lojalnym współpracownikom nowych funkcji. Na przykład Piotr Winciunas, lekarz naczelny, w samorządzie poprzedniej kadencji pełnił... siedem funkcji. I tak to się toczyło aż do momentu, gdy po raz pierwszy w historii samorządu lekarskiego doszło do próby odwołania prezesa izby w trakcie kadencji. Jak pisała w styczniu 2025 r. Judyta Watoła, dziennikarka „Gazety Wyborczej", przeciwnicy Jankowskiego zarzucali mu nadużywanie władzy, narzucanie kolegom, jak mają głosować, zmianę logo izby bez konsultacji, zlikwidowanie internetowego forum dyskusji delegatów na Krajowy Zjazd Lekarzy i wydanie polecenia przeglądania korespondencji członków prezydium Naczelnej Rady Lekarskiej. Pojawiły się także zarzuty o autorytaryzm i tolerowanie w NIL mobbingu – kilka osób z bliskiego otoczenia prezesa wylądowało na zwolnieniach lekarskich. Kiedy obejmował funkcję, w NIL pracowało ponad 30 osób. W krótkim czasie odeszło m.in. trzech kolejnych redaktorów naczelnych „Gazety Lekarskiej"; w sumie odeszło 17 osób, w tym jedna została zwolniona dyscyplinarnie.

W maju 2026 r. odbyły się kolejne wybory władz NIL. Zakłóciły je oskarżenia o cyberatak i wezwanie policji. Wyniki ogłoszono dopiero ok. godz. 4.20, a zwyciężył dotychczasowy prezes Łukasz Jankowski.

W spór z NIL weszła wiceminister zdrowia Katarzyna Kęcka, bo zarządziła w izbie kontrolę prawidłowości wydatkowania środków publicznych przekazanych na realizację zadań zleconych – prawie 2,3 mln zł z lat 2024-2025. Izba zażądała odwołania Kęckiej ze stanowiska.

Złote myśli prezesa Jankowskiego

„Jeszcze żaden rząd nie wygrał z lekarzami" – slogan ten jest tyleż błyskotliwą, co bardzo medialną myślą zaczerpniętą z zamkniętej grupy internetowej Porozumienie Rezydentów OZZL. Prezes, gdy zebrał ostre cięgi, w końcu przyznał, że słowa były „niefortunne" i „zostały przeinaczone". „Rzeczywiście, tych słów żałuję", rzekł w radiowej Trójce.

– Nie zagrała mi ta niefortunna wypowiedź. Żadna grupa zawodowa nie powinna iść na zwarcie z żadnym rządem – mówi Bartosz Fiałek, reumatolog, aktywny w mediach społecznościowych. – Wykonujemy zawód zbyt ważny z punktu widzenia funkcjonowania państwa, żeby budować narrację wojny. Powinniśmy wspólnie z politykami doprowadzić do reformy, dzięki której system zacznie normalnie działać – dodaje.

Mocno od tej wypowiedzi dystansuje się także prof. Andrzej Matyja, były prezes NIL: – Czy my toczymy

eprasa.pl 73be861abb

Konferencja minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy na temat planowanych zmian w ochronie zdrowia. Warszawa, 8 lipca 2026 r.

jakąś walkę? Czy rząd i samorząd lekarski dzisiaj to dwie przeciwne strony barykady? To zdanie prezesa NIL można rozumieć jako jego deklarację przynależnościową do konkretnej opcji politycznej. Tymczasem każda okręgowa izba lekarska jest w Polsce niezależna! Nie ma zgody środowiska na upolitycznianie naszej roli. Jeśli prezes Jankowski chce zastąpić misję lekarza polityką, niech idzie w zawód polityka.

„Zdruzgotany" był Jankowski po wywiadzie w Kanale Zero dr. Emila Jędrzejewskiego z Warszawskiego Szpitala Południowego. Zapewnił, że z informacji, które posiada, wynika, że przynajmniej część stawianych przez doktora zarzutów jest potwierdzona przez innych lekarzy pracujących w placówce. Pominął fakt, że sygnalista dość długo przymykał oko na rzekome gęste słanie się trupów, był zatem współwinny tych licznych śmierci.

Równie błyskotliwa myśl prezesa NIL pojawiła się w Trójce po ujawnieniu patologii w wykonaniu spółki neurochirurgów. „Żadnemu Polakowi nie mieści się w głowie, że spółka zarabiała jak Leo Messi w Interze Miami". „W naszym środowisku ludzie przecierali oczy ze zdumienia". Bo mityczne „środowisko" kompletnie przecież nie wiedziało, co dzieje się w systemie, którego było aktywną częścią.

Gdzie Hipokrates, a gdzie współcześni medycy

Polscy lekarze składają Przyrzeczenie Lekarskie opracowane współcześnie, a nie przysięgę Hipokratesa. Starożytna przysięga nie zawiera zasady poszanowania autonomii pacjenta, która pojawiła się dopiero w XX w. Jedno z pierwszych zdań brzmi: „Tego, kto mnie wyuczył tej sztuki, uszanuję na równi z moimi rodzicami". Jak jest dziś?

– Coraz częściej wartości zastępuje pieniądz, a mistrza – pseudoeksperci. Istotna w prowadzeniu działalności samorządowej jest przejrzystość finansów i ile samorząd lekarski wydaje na fundusz osobowy – nie tylko na etaty, ale również na umowy-zlecenia czy umowy o dzieło. W zdrowej strukturze ma to bezpośrednie przełożenie na profesjonalizm i skuteczność prowadzonych działań. Zostawiłem w kasie NIL prawie 20 mln zł – mówi prof. Matyja. – Ale nikt nigdy o tym ze mną nie rozmawiał. I to też o czymś świadczy. Obecnie prezes zatrudnia sporą grupę ludzi, w tym wielu prawników, ale czy ich praca przekłada się na jakość pomocy świadczonej medykom przez NIL, skoro byli pracownicy Naczelnej Izby, współpracujący na co dzień z prezesem Jankowskim, wylądowali na zwolnieniach lekarskich z powodu atmosfery w pracy? Czy wewnętrzna destrukcja w naszej zawodowej korporacji to właściwy kierunek zarządzania? – zastanawia się były prezes Naczelnej Izby Lekarskiej.

Czym dla Bartosza Fiałka jest etyka zawodu? Pracą w takim wymiarze, żeby nie być permanentnie zmęczonym, bo pacjent powinien mieć dostęp do lekarza wypoczętego, uważnego i cierpliwego. Profesjonalizm oznacza dla niego nie tylko wykorzystywanie aktualnej wiedzy medycznej, ale też elementarną przyzwoitość wobec pacjenta. Nie wyobraża sobie, żeby źle potraktować człowieka, który często jest zagubiony, przestraszony i przychodzi po pomoc. – Boli mnie, że ktoś musiał być wcześniej naprawdę nie w porządku wobec pacjenta, skoro moja normalność bywa traktowana jako coś wyjątkowego. Ale jeżeli ktoś pracuje ponad 300 godzin miesięcznie, ma pięć czy sześć dyżurów na SOR, jest przeciążony, to ma mniej cierpliwości. Wprowadzenie realnych limitów czasu pracy doprowadziłoby z jednej strony do bardziej racjonalnych wynagrodzeń, liczonych w kilku, a nie w kilkudziesięciu średnich krajowych, a z drugiej do poprawy jakości kontaktu lekarza z pacjentem – uważa Fiałek.

Pakiet zmian w ochronie zdrowia

Po kategorycznym żądaniu premiera Tuska, oczekującego konkretnych zmian w systemie ochrony zdrowia, minister Jolanta Sobierańska-Grenda przedstawiła pakiet: limit wynagrodzeń dla indywidualnego

FOT. PAP/MARCIN OBARA, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 73be861abb

pracownika medycznego – kwota do 240 zł brutto za godzinę jako wskaźnik stanowiący bazę przeliczeniową do tradycyjnego etatu. Przetargi mają być jawne, więc każdy szpital finansowany ze środków NFZ będzie miał obowiązek publicznego ogłaszania, za jaką stawkę i na jakich zasadach zatrudnił zewnętrznego przedsiębiorcę do świadczenia usług medycznych. Weryfikowane będą grafiki pracy lekarzy i czas spędzany w różnych podmiotach. Pracownik medyczny będzie zobowiązany do zatrudnienia co najmniej na pół etatu w jednym szpitalu. Jeżeli będzie chciał pracować w innych podmiotach, będzie musiał uzyskać zgodę swojego pracodawcy. Nie będzie dalszego przyzwolenia na zawieranie umów przez podmioty lecznicze z tzw. spółkami.

Prof. Andrzej Matyja: Każda okręgowa izba lekarska jest w Polsce niezależna! Nie ma zgody środowiska na upolitycznianie naszej roli.

480 zł za dwugodzinną operację? To nie brzmi dobrze i jest efektem zmian robionych na kolanie, bez przemyślenia konsekwencji. Potrzebna jest korekta wycen zabiegów. Poza tym lekarzom o unikatowych umiejętnościach trzeba płacić więcej.

– Lekarze nadal będą pracowali w systemie publicznym, w którym jest gwarancja zapłaty, choć niewykluczone, że w mniejszym zakresie niż dotychczas. Proporcja systemu publicznego do prywatnego jest od lat ta sama: 70 do 30. W budżecie NFZ na przyszły rok szacuje się kwotę 237 mld zł. System prywatny jest plastrem na dysfunkcje organizacyjne systemu publicznego, a Polaków nie stać, aby leczyć się w systemie prywatnym w przypadku chorób przewlekłych, ciężkich chorób nowotworowych, neurologicznych – zwraca uwagę dr hab. Małgorzata Gałązka-Sobotka, która w latach 2010-2025 pełniła funkcję członkini, a następnie wiceprzewodniczącej Rady NFZ, rektor Uczelni Łazarskiego.

Wizyta prywatna – wejściówka do systemu publicznego

Problemem jest nie współistnienie sektorów prywatnego i publicznego w jednej placówce, lecz fakt, że przez zewnętrzny gabinet prywatny wpuszcza się pacjentów do systemu publicznego. Idziesz dwa-trzy razy do profesora nauk medycznych i dzięki temu udajesz się na badania na oddział szpitalny. Ale też idziesz do lekarza prywatnie, żeby uzyskać drugą opinię, nie czekać w długiej kolejce, jeżeli słyszysz, że natychmiast potrzebujesz konsultacji kardiologicznej czy ortopedycznej. Ponadto niektórym chorym wydaje się, że prywatnie zostaną przez lekarza potraktowani z większą uwagą, mimo że to ten sam zmęczony lekarz z publicznej przychodni. Prywatnie idą do lekarza ci, którzy nie chorują, a raptownie pojawia się pierwszy problem zdrowotny – idą, bo nie umieją poruszać się po systemie.

– Nie wierzę w wizję załamania się systemu opieki zdrowotnej, bo wciąż to publiczne finansowanie jest mimo wszystko stałe i nominalnie rosnące. Pieniądz zaś kształtuje byt i procesy. NFZ zapłaci z opóźnieniem, ale zapłaci. Publiczny system ochrony zdrowia gwarantuje, szczególnie w ośrodkach wysokoreferencyjnych, nie tylko pracę z dobrą płacą, ale też rozwój zawodowy, naukowy, kwalifikacyjny, pracę w zespołach interdyscyplinarnych i dostęp do najnowocześniejszych technologii lekowych – wylicza dr Gałązka-Sobotka.

Jasne, że rewizja wynagrodzeń, zaprzestanie płacenia lekarzom za dublującą się dostępność, zaowocuje zamknięciem niektórych oddziałów. – Ale to rolą NFZ jest monitorowanie dostępności usług dla pacjenta. Jeśli wyjmiemy z systemu publicznego wyłudzenia typu 26 tys. zł za godzinę pracy, to pieniądze na świadczenia się znajdą, nawet na realizację nadwykonań. Wydajemy na świadczenie o przeszacowanej wartości, co zwiększa ryzyko nadkwalifikowalności. Obserwowaliśmy to w kardiologii parę lat temu, gdy dobrze wyceniane procedury były stosowane w niektórych ośrodkach poza wskazaniami klinicznymi – przypomina Małgorzata Gałązka-Sobotka.

Po spotkaniu 9 lipca przedstawicieli NIL z minister zdrowia prezes Jankowski stwierdził, że zabrakło konkretów na temat zwiększenia dostępności do opieki zdrowotnej, skrócenia kolejek i tego, jak proponowane przez panią minister rozwiązania wpłynęłyby na pacjentów. NIL jednak widzi ze strony Ministerstwa Zdrowia wolę zacieśnienia współpracy. „Cel, który mamy, jest wspólny”, podkreślił prezes. Powiało optymizmem.

Za to, co dzieje się obecnie, uczciwi lekarze mogą podziękować swoim kolegom, tłustym kotom systemu, którzy w białych rękawiczkach okradali pacjentów. Należy mieć nadzieję, że to właśnie pacjenci jak najszybciej odczują zmiany.

Beata Igielska

eprasa.pl 73be861abb

PYTANIA O ROLĘ MEDIÓW

Karierowicze i lizusy zawsze są do usług

Robert Walenciak

Piszcie tak dalej, to zobaczycie PiS u władzy… Mamy coraz więcej tego typu mejli, telefonów. Są reakcją na materiały, które krytykują różnych ministrów czy urzędników z poręki obecnej władzy. To bardzo ciekawe zjawisko. I warto mu się przyjrzeć.

Słuszni i czujni

Zacznijmy od tych, którzy próbują nas przestrzec przed niewłaściwym pisaniem. Ewidentnie traktują oni dziennikarzy jak żołnierzy walczących na politycznym froncie. Tak postrzegają politykę – nie jako debatę publiczną, nie jako poprawianie Polski, tylko jako bijatykę: my kontra oni. I nawet – są na ten temat badania – nie wymagają od dziennikarzy rzetelnego przedstawienia rzeczywistości. Niech kłamią – ważne, żeby w słusznej sprawie.

Tym czytelnikom mogę jedynie odpowiedzieć, że mamy inny pogląd na politykę i rolę mediów. Oczywiście my też wiemy, że powrót PiS do władzy nie byłby dobrym rozwiązaniem dla Polski, ale walka z PiS to nie zadanie dla dziennikarzy. Z PiS niech walczy rządząca koalicja, i – podpowiadam – najskuteczniej będzie to robić wtedy, kiedy będzie dobrze rządziła.

A dziennikarze? Naszym zadaniem jest pisać tak, jak świat postrzegamy. Czy z tego powodu PiS wróci do władzy? Nie wiem. Wiem za to, że gdy zacznę pisać tak, jak życzą sobie obrońcy obecnej koalicji, PiS do władzy wróci na pewno.

Dlaczego tak się stanie? Z prostego powodu – jest grupa czytelników, wyborców, którzy chcą wyjść poza mierność obecnej debaty. Którym nie odpowiadają tzw. przekazy dnia. Oni nikomu w ciemno nie oddają swojego głosu. Szukają dobrych pytań i dobrych odpowiedzi. Tylko porządne dziennikarstwo może do nich dotrzeć. No i muszą zobaczyć, że rządzący wyciągają wnioski ze swoich błędów. Ale żeby ci mogli wnioski wyciągnąć, muszą najpierw błędy zobaczyć. A tylko niezależne media mogą je wskazać, te „swoje" tym się nie zajmują…

Szanowni liderzy, siły was opuszczają? A może rozpieściły was przyjazne media, zawsze do usług?

Po co nam media?

Zadaniem mediów jest patrzeć na rzeczywistość i pokazywać ją tak, jak wygląda. Tylko takie media mają rację bytu. To jest też nasza cywilizacyjna norma.

Gdy PiS było u władzy, podjęło próbę zbudowania „swoich" mediów i wypchnięcia tych liberalnych i lewicowych na całkowity margines. Ta operacja częściowo się udała. Głównie za sprawą milionów, które pompowano w „swoje" media. I niestety za sprawą dziennikarzy tych mediów, którzy taki model funkcjonowania kupili. Chwalili PiS, krytykowali opozycję – z obserwatorów rzeczywistości,

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 73be861abb

analityków, tych, którzy stawiają ciekawe pytania, przekształcili się w agresywnych politruków.

Straszne byłoby, gdyby strona liberalna i lewicowa weszła w ten schemat działania. Nastąpiłoby wtedy domknięcie systemu. Zbudowalibyśmy system, w którym nie ma debaty publicznej, jest tylko wzajemne opluwanie. A czytelnicy nie są partnerami, z którymi się rozmawia, lecz widzami tej bijatyki. Zamiast auli mamy MMA. Zamiast ważkich argumentów – „zaorywanie".

Dlatego tak ważne jest, by media zachowały zdolność krytykowania kogo chcą. Nasz świat jest przecież pełen różnorakich spojrzeń. Utrzymajmy to. To nasza przewaga nad prostym przekazem partyjnym.

To także gwarancja, że społeczeństwo nie będzie oszukiwane.

Komu służy wojenna atmosfera

Do każdej partii przyczepiają się różni karierowicze, ludzie mierni, ale sprytni w załatwianiu sobie rozmaitych stanowisk. Gdy rzeczywistość weryfikuje ich umiejętności – bronią się z reguły tak samo. Wołają, że atak na nich jest atakiem na partię, na rząd. Świat wojenny – my kontra oni – jest dla nich szalenie wygodny. Bo w takim świecie ich niekompetencja i cwaniakowanie są skryte gdzieś za bitewną mgłą. Ci, którzy wiedzą, poddani są patriotycznemu szantażowi: swojego chcesz atakować? To z kim trzymasz?

Efekt jest oczywisty – za ich błędy i przekręty zapłaci partia rządząca. Nie jest przecież tak, że ludzie nie wiedzą, jak kto postępuje. Ani tak, że wszyscy żyją w swoich bańkach informacyjnych. Gdyby tak było, sprawa dr. Dawida Kacprzyka nie ujrzałaby światła dziennego. A jednak cała Polska dowiedziała się, że 29-letni lekarz, bez wymaganych kwalifikacji, kierował oddziałem ratunkowym wielkiego szpitala w Warszawie ze względu na partyjne powiązania. I zarobił za to 1,6 mln zł w ciągu roku.

Afera Warszawskiego Szpitala Południowego trafiła w czuły punkt i dla partii Donalda Tuska powinna oznaczać zwrot w działaniu. Nie tylko w sprawie ochrony zdrowia i szpitalnych saloników VIP, nie tylko w sprawie skandalicznych zarobków niektórych lekarzy. Powinna być także punktem zwrotnym, jeśli chodzi o partyjne kadry – bo trudno uwierzyć, że Dawid Kacprzyk i jego kariera to przypadek.

Media, nagłaśniając sprawę Szpitala Południowego i Kacprzyka, dały więc Donaldowi Tuskowi wielką szansę – by zrobił porządek ze swoją partią teraz, półtora roku przed wyborami. Bo z każdym miesiącem będzie trudniej. I samo straszenie PiS nie wystarczy.

Bo potem będą wybory i wyborca koalicji zada sobie pytanie: po co mam iść głosować? Czy po to, żeby zapewnić dr. Kacprzykowi kolejne miesiące dostatniego życia? Czy po to jest Polska? I nie ma co opowiadać, że to afera szpitalna albo złego systemu ochrony zdrowia. To jest afera polityczna. I politycy muszą ją rozwiązać.

A jak nie rozwiążą? Po wygranych w październiku 2023 r. wyborach parlamentarnych koalicja zapadła w przyjemny sen. Czekała na wybory prezydenckie, które miał wygrać Rafał Trzaskowski. Robiono niewiele, „bo Duda i tak zawetuje". Efekt był miażdżący. Jeżeli 15 października 2023 r. na trzy ugrupowania obecnej koalicji oddało w sumie głos niemal 11 mln 600 tys. wyborców, to Rafał Trzaskowski otrzymał w drugiej turze 10 mln 240 tys. głosów. Jeżeli zaś na PiS, Konfederację i Bezpartyjnych Samorządowców głosowało w 2023 r. 9 mln 590 tys., to 1 czerwca 2025 r. Karol Nawrocki zdobył 10 mln 600 tys. głosów. Czyli koalicja straciła 1 mln 350 tys. głosów! A prawica zyskała 1 mln!

Jak będzie w kolejnych wyborach? Tego nie wiemy. Ale wiemy, że koalicja, która milczy, która wygląda na sparaliżowaną, daleko nie zajedzie.

Milczenie nie jest złotem

O tym, jak widzi politykę informacyjną rządu i jego komunikowanie się z wyborcami, mówiła niedawno Agnieszka Holland. Skwitowała to krótko, przypominając nazwisko rzecznika rządu: Adam Szłapka, Szłapka-ciapka.

Tak właśnie jest. Rząd sprawia wrażenie ekipy wycofanej, reaktywnej. Nie widać, by chciał nam przekazywać swój punkt widzenia i do niego przekonywać. Zamiast tego sam się tłumaczy. I wygląda to obrzydliwie – gdy ton polskiej polityce narzuca Grzegorz Braun. Bo najpierw pod braunowe tony zaczęli grać Przemysław Czarnek i Jarosław Kaczyński, a teraz zaczynają podtupywać niektórzy politycy koalicji.

Co takiego się stało, że dali się zepchnąć do narożnika? W „Rzeczpospolitej" czytam: „Mamy podróbki, zamiast polityków. Nie ma szczytu kompromitacji, którego nie przekroczą". To celna uwaga. Wiele wyjaśnia. Scenę zdominowali quasipolitycy i to ich niekompetencja i pojmowanie życia publicznego są w wielkim stopniu przyczyną obecnego chaosu. Prawdziwy polityk potrafi tłumaczyć rzeczy trudne i podejmować decyzje. Afery? Części można uniknąć. Ale jeśli już się zdarzyły – potrafi je szybko przeciąć. Prawdziwy polityk umie stanąć naprzeciwko wyborców i powiedzieć im niewygodną prawdę, zachować się odważnie i nie tyle płynąć na fali społecznych nastrojów, ile te nastroje kształtować. Wtedy jest wielki.

Mamy więc odpowiedź, ale rodzi ona kolejne pytania. Pomińmy krzykaczy, którymi obrodziło. Co jednak się stało z tymi, których do tej pory uważaliśmy za prawdziwych polityków?

PiS w roku 2022 zdecydowało się w sposób bezprecedensowy pomóc walczącej z Rosją Ukrainie. Dziś tych, którzy pomagają, krytykuje. To kiedy, Jarosławie Kaczyński, byłeś niemądry – w roku 2022 czy teraz? Donald Tusk w roku 2009, gdy wybuchła afera hazardowa, potrafił ją błyskawicznie przeciąć, spychając w polityczny niebyt Zbigniewa Chlebowskiego i Mirosława Drzewieckiego. Czy zapomniał, jak można sobie radzić?

Szanowni liderzy, siły was opuszczają? A może rozpieściły was sztaby otaczających was lizusów? I przyjazne media, zawsze do usług? No to nie tędy droga. Bliżej świata są ci, którym nie płacicie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73be861abb

Wakacje z książką PRZEGLĄDU

20% taniej

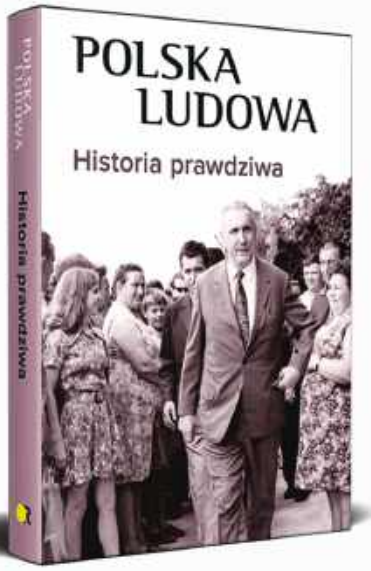

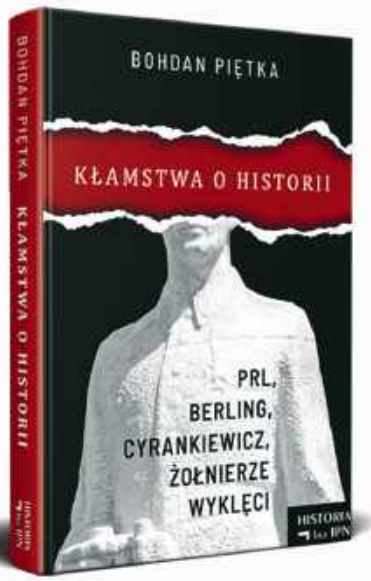

Promocja obowiązuje do 30 sierpnia 2026 r.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

eprasa.pl 73be861abb

Normalne złodziejstwo

Jak cwaniak z kryminalistą pod patronatem Mateusza Morawieckiego i Piotra Glińskiego zrobili skok na kasę

Andrzej Sikorski

„Otrzymali blisko milion złotych z dotacji NIW i KPRM na organizację obozów młodzieżowych, wydarzeń patriotycznych, stypendiów i wydawanie książek historycznych. Pieniądze w dużej mierze trafiły na prywatne konta Miłosza Manasterskiego, Tomasza M., ich żon oraz członków ich rodzin. (…) Trudno o większą gangsterkę niż zgarnięcie na prywatne konta setek tysięcy złotych przeznaczone na wakacyjne obozy dla dzieci. Trudno o większą obłudę niż pozorowanie działań patriotycznych i przelewanie kasy na własne konto”, napisał na portalu X Michał Braun, dyrektor Narodowego Instytutu Wolności-Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego (NIW-CRSO).

Usłużny komentator

Miłosz Manasterski i Tomasz M. to ludzie ściśle związani z poprzednią ekipą. Ten pierwszy przez wiele lat był dyrektorem domu kultury w podwarszawskich Łomiankach. Gdy PiS doszło do władzy, został dyżurnym komentatorem TVP. Wypowiadał się na wszystkie tematy. Słynął ze szczucia na przeciwników PiS i absurdalnych wywodów m.in. o tym, że wykorzystywanie przez ówczesnego marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego i innych dygnitarzy samolotów rządowych do prywatnych celów „przekłada się na rozwój gospodarczy”. Jak ujawnił europoseł Krzysztof Brezja, za opowiadanie takich idiotyzmów Manasterski (podobnie jak kilkunastu innych tzw. komentatorów) dostawał pieniądze z TVP. Manasterski przedstawia się jako prezes Związku Pisarzy Katolickich i prezes Agencji Informacyjnej – marginalnego portalu z mocno nieświeżymi newsami. „Za wybitne osiągnięcia w podejmowanej z pożytkiem dla kraju działalności zawodowej i społecznej, za zasługi dla wolnej Polski” został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Oszust, zabójca psa, przemocowiec

Tomasz M. uchodzi za człowieka byłego wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego. W 2021 r., mając nieco ponad 30 lat, M. został dyrektorem słynnego Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej, gdzie powstały kreskówki m.in. o Reksiu, Bolku i Lolku i Baltazarze Gąbce. Ludzie z branży nie mogli pojąć, jak chłoptaś bez jakiegokolwiek doświadczenia i kompetencji w produkcji filmowej wygryzł z dyrektorskiego stołka cenionego w środowisku reżysera Andrzeja Orzechowskiego (zwolniono go telefonicznie). Gdy dziennikarze zapytali Tomasza M. o jego zawodową przeszłość, ten odmówił odpowiedzi, zasłaniając się… konstytucją.

Nowy dyrektor rozpoczął rządy od zakupu ekspresu i trzech paczek galicyjskiej kawy oraz zatrudniania znajomych – też bez jakichkolwiek kompetencji. Studentka została np. specjalistką ds. inwestycji, a rzecznikiem prasowym – działacz propisowskiej Fundacji Służba Niepodległej. Jednak po dwóch miesiącach minister Gliński odwołał Tomasza M. „z powodu utraty zaufania”.

Wyszło na jaw, że dyrektor ma bogatą kartotekę kryminalną. Był karany m.in. za oszustwo i poświadczenie nieprawdy, zabicie psa i znęcanie się nad partnerką, której o mało nie zatłukł młotkiem (prokuratura oskarżyła go o usiłowanie zabójstwa). Za wszystkie popełnione przestępstwa Tomasz M. został skazany na trzy lata więzienia. Wyrok był łagodny, bo sąd uznał, że M. miał ograniczoną zdolność rozpoznania swoich czynów i pokierowania swoim postępowaniem.

Niedawno Tomasz M. usłyszał kolejny wyrok – 10 miesięcy bezwzględnego więzienia za wyprowadzenie ze Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej ponad 200 tys. zł. Otóż M. zlecił firmie zajmującej się… handlem alkoholem i wyrobami tytoniowymi realizację tłumaczeń filmów na języki: ormiański, portugalski, francuski oraz migowy. Usługa nie została zrealizowana, ale pieniądze wypłacono.

Fundacja widmo

Miłosza Manasterskiego i Tomasza M. łączą nie tylko znajomości z wpływowymi politykami PiS i miłość do tej hojnej i uczynnej partii, ale także Fundacja Centrum Macierz Polonii. Tomasz M. był prezesem zarządu fundacji, a Manasterski wiceprezesem. W statucie fundacji zapisano, że do jej zadań należy m.in. „wspomaganie i prowadzenie wszechstronnej współpracy Polonii, Polaków z zagranicy oraz przyjaciół Polski z Ojczyzną w obszarach oświaty, nauki, kultury, religii, gospodarki, turystyki i sportu”.

Fundacja ledwo co powstała, a już dostała z nadzorowanego przez wicepremiera Piotra Glińskiego NIW ponad 800 tys. zł. Za te pieniądze miała m.in. promować wśród obywateli „efektywne i ekologiczne rozwiązania technologiczne z obszaru energetyki i gospodarki odpadami komunalnymi”, zorganizować bieg w USA z okazji rocznicy Bitwy Warszawskiej i przyjazd do Polski młodzieży polonijnej z Rosji, Białorusi, Ukrainy i Mołdawii. Fundacja nie wywiązała się z zawartych umów, a część pieniędzy została wytransferowana na prywatne konta.

eprasa.pl 73be861abb

Miłosz Manasterski na Forum Wizja Rozwoju. Gdynia, 19 czerwca 2023 r.

Jak wynika z kontroli przeprowadzonych przez NIW oraz Izbę Administracji Skarbowej, ujawniono liczne nieprawidłowości. Na przykład realizacja zadania promocji rozwiązań ekologicznych była niezgodna z zawartą umową. Fundacja nie przedłożyła dowodów na istnienie i używanie sprzętu (laptopa, drukarki, skanera) zakupionego w ramach uzyskanego wsparcia, a dokumentacja nie zawierała informacji o finansowaniu ze środków NIW. Fundacja nie przedstawiła wyciągów bankowych potwierdzających rzeczywiste wydatki, a okazane dwie faktury o takich samych numerach odnosiły się do różnych usług. Brakowało dokumentacji fotograficznej dotyczącej organizowania konferencji czy wydruku listy uczestników, co świadczy o tym, że imprezy nigdy się nie odbyły.

Wiele wskazuje też na to, że nie zorganizowano przyjazdu do Polski młodzieży polonijnej, bo fundacja nie przedstawiła na to żadnych dowodów: faktur, dokumentów zapłaty za hotele, transport i wyżywienie, nawet zdjęć uczestników. Podobnie było z trzytygodniowymi stażami na renomowanych uczelniach w USA, które fundacja miała sprezentować wyróżniającym się polskim studentom. Okazało się, że żaden student do Ameryki nie pojechał, za to fundacja przedstawiła lipne faktury za różnego rodzaju usługi, np. zakwaterowanie.

Tomasz M. i Miłosz Manasterski mijali się z prawdą nawet w tak łatwej do zweryfikowania sprawie jak budowa strony internetowej fundacji. Zgodnie z okazaną fakturą taka usługa została wykonana, tyle że, jak zauważyli kontrolerzy, „w zasobach internetu nie ma strony Fundacji Rozwoju Centrum Macierz Polonii, nie ma także śladu, że taka strona kiedykolwiek istniała".

Gdy PiS doszło do władzy, Miłosz Manasterski został dyżurnym komentatorem TVP. Wypowiadał się na wszystkie tematy. Dostawał za to pieniądze z TVP.

Jak kamień w wodę

Wyprowadzono pieniądze, które fundacja dostała z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Za ponad 70 tys. zł Manasterski i M. mieli ugościć m.in. w Warszawie, Gdańsku i Jastarni 20 osób pochodzenia polskiego w wieku 7-19 lat z Armenii i Górskiego Karabachu. Młodzież do Polski nie przyjechała, a Manasterski przedstawił nieprawdziwe dokumenty o poniesionych wydatkach. Co ciekawe, przelew z KPRM na wykonanie zadania trafił nie na konto fundacji, ale na prywatny rachunek Tomasza M. i jego żony.

Natomiast za ponad 80 tys. zł (również z KPRM) Centrum Macierz Polonii obiecało postawić cokół z popiersiem Mikołaja Kopernika przed budynkiem obserwatorium astrofizycznego w Bjurakan, znajdującego się na górze Aragac w Armenii. Fundacja we wniosku do KPRM napisała, że „upamiętnienie Kopernika będzie w najlepszym tego słowa znaczeniu promowaniem Polski jako kraju zasługującego na szacunek Ormian, z ponad tysiącletnią historią dłuższą od państwowości Rosji i wybitnymi osiągnięciami nauki i kultury", a „dla naukowców przebywających i odwiedzających Obserwatorium fakt ustawienia Kopernika będzie nie tylko aktem przypomnienia o początkach naukowej astronomii i dorobku wielkiego Polaka, ale także symbolicznym »zajęciem terenu« na rzecz polskiej – czyli zachodniej nauki – w kontraście dla licznych w Armenii hołdów i upamiętnień dla nauki sowieckiej". Na szumnych zapowiedziach się skończyło. Popiersie Kopernika nie powstało, bo Miłosz Manasterski i Tomasz M. stracili zainteresowanie wybitnym astronomem.

100 tys. zł Centrum Macierz Polonii dostało z Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej. Za te pieniądze fundacja zobowiązała się do promowania polityki prorodzinnej rządu PiS w krótkim cyklu propagandowych programów pod nazwą „Biznes Ekonomia Rodzina", które miały być emitowane w TVP. Filmy nigdy nie trafiły do publicznego nadawcy. W międzyczasie zmienił się rząd, a resort ministry Agnieszki Dziemianowicz-Bąk uznał, że fundacja nie wywiązała się z umowy, i zażądał zwrotu części pieniędzy. Zwrotu pieniędzy domagają się też NIW i KPRM, ale Miłosz Manasterski i Tomasz M. zapadli się pod ziemię i nie odbierają wezwań. Sprawą zajmuje się prokuratura, która wszczęła śledztwo w sprawie „uszczuplenia finansów publicznych". ■

FOT. WOJCIECH STROŻYK/REPORTER

eprasa.pl 73be861abb

Mobbing między regałami

Oskarżana przez pracowników o mobbing dyrektorka biblioteki na warszawskiej Woli przeszła po cichu do innej dzielnicy

Kornel Wawrzyniak

Mikrozarządzanie, destabilizowanie działania placówek i wyniszczanie niewygodnych pracowników póki sami nie odejdą. To do niedawna miała być codzienność bibliotekarzy z warszawskiej Woli. Dzielnicy stawianej za wzór, jeśli chodzi o nowoczesne biblioteki. To nie jest tekst o mobbingu. Bo ratusz zrobił wszystko, by nikt nie mógł tego tak nazwać. Była komisja wyjaśniająca nieprawidłowości, były czynności kontrolne, były zalecenia. Nie ma jednak żadnych konsekwencji. Anna Grędzińska niespodziewanie zmieniła dzielnicę i stanowisko. Współpracownicy pozostali z niesmakiem i obawami o zemstę ze strony byłej przełożonej.

Fasada vs. rzeczywistość

Media od miesięcy rozpływają się nad „nowymi bibliotekami" – modnymi „trzecimi miejscami", gdzie prowadzi się kreatywne akcje czytelnicze. Na pierwszej linii walki o uwagę stoją bibliotekarze, których praca napędzana jest pasją. Za efektowną fasadą często kryje się stary, dobrze znany model: folwark dyrektora, w którym pracownik ma niewiele do powiedzenia, a liczy się wyłącznie dobry PR. W gminie bywa jeszcze względnie normalnie – bibliotekarza się szanuje. W Warszawie zaczyna się gra o prestiż między dzielnicami. Tu walczy się nie tylko o czytelników, ale i o pozycję, a środowisko jest tak małe, że lepiej milczeć – nawet gdy dzieje się źle. W tej rzeczywistości wystąpienie przeciwko dyrekcji wymaga odwagi. Zwłaszcza gdy chodzi o jedną z najgłośniejszych postaci stołecznych bibliotek – nagradzaną menedżerkę, twarz sukcesu i symbol nowoczesnych placówek – Annę Grędzińską.

– Wszyscy pracujemy w sektorze kultury, więc towarzyszył nam lęk, że ewentualny „wilczy bilet" mógłby zamknąć nam drogę do pracy nie tylko w bibliotekach, ale w ogóle w branży związanej z kulturą. Wśród pracowników funkcjonowało też przekonanie – czasem pół żartem, pół serio – że pani dyrektor ma bardzo szerokie kontakty. Z jej opowieści wynikało, że zna i utrzymuje relacje z osobami na najwyższych szczeblach, co dodatkowo wzmacniało poczucie, że ma duże wpływy i możliwości oddziaływania – mówi Ania*, pracowniczka wolskiej biblioteki.

Z odpowiedzi na interpelację radnej Agaty Diduszko-Zyglewskiej (nr 1555) wynika, że w maju 2025 r. pracownicy wolskiej biblioteki zgłosili do urzędu dzielnicy zarzuty wobec dyrektorki. Sprawę przekazano do Biura Zarządzania Zasobami Ludzkimi, które powołało specjalny zespół. Postępowanie zakończono 9 grudnia, a w styczniu zlecono kontrolę. Nasze źródła twierdzą, że większość zarzutów się potwierdziła. Oficjalnie jednak nic nie wiadomo – miasto utajnia wnioski, tłumacząc, że chodzi o „relacje pracownicze", które nie podlegają dostępowi do informacji publicznej.

Ratusz konsekwentnie przykrywał sprawę, by została jedynie branżową anegdotą. Nieoficjalnie słyszymy, że sygnalistom kazano podpisać klauzule poufności. Wnioski komisji udostępniono wyłącznie do wglądu – bez możliwości kopiowania, co najwyżej z możliwością sporządzenia notatek. Tyle że notatki, po podpisaniu klauzuli, są w praktyce bezużyteczne. Burmistrz Woli zapytany o podjęte działania również nie wskazuje konkretów. Na interpelację radnej Melanii Łuczak z 27 lutego 2026 r. odpowiedział w swoim stylu: „dużo słów, zero konkretów". Kontrola? To tylko „element szeregu działań". Efekty są „monitorowane", a jeśli coś nie wyjdzie – będą „kolejne decyzje". Na końcu standardowa formułka: miasto „dysponuje uprawnieniami". Czyli: nic nie wiadomo, ale wszystko jest rzekomo pod kontrolą.

Gwiazda jest tylko jedna

Wolscy sygnaliści miesiącami odchodzili od zmysłów. Komisja zbierała zeznania, następnie dyrektor Grędzińska zaznajomiła się z zarzutami, na które musiała odpowiedzieć. Brak działań przez kolejne miesiące, aż do grudnia, był dla zespołu jak siedzenie na tykającej bombie. Istniała realna szansa, że mimo anonimowości źródeł, dyrektorka mogła np. rozpoznać sygnalistów po samych zeznaniach. Według relacji pracowników biblioteki na Woli nic nie zwiastowało, że zajdą jakiekolwiek zmiany. Nastał nowy rok, mijały kolejne miesiące, aż nagle Anna Grędzińska sama zrezygnowała ze stanowiska i odeszła z końcem maja. Z danych uzyskanych

Anna Grędzińska niespodziewanie zmieniła dzielnicę i stanowisko. Współpracownicy pozostali z niesmakiem i obawami o zemstę ze strony byłej przełożonej.

eprasa.pl 73be861abb

z dostępu do informacji publicznej wiemy, że rezygnację złożyła 10 kwietnia. O sprawie dowiedzieliśmy się zaś od zaniepokojonych pracowników dzielnicy Włochy. Tamtejsi bibliotekarze ustalili, że Grędzińska ma przejść do nich w roli wicedyrektorki. Na część padł blady strach – była pracowniczka z Włoch wskazuje, że bibliotekarze ze wszystkich warszawskich dzielnic znają anegdoty o „dyrektorce z Woli, przy której ze stresu boli brzuch".

Zespół z Woli, choć odetchnął z ulgą, nie doczekał się w swoim odczuciu sprawiedliwości. Cała sprawa rozmyła się w czasie i milczeniu. – To doświadczenie pozostawiło we mnie rozczarowanie systemem. Wierzyłam, że komisja przyniesie realną zmianę. Czekaliśmy jednak zbyt długo. Straciłam zaufanie do deklaracji i zapewnień. Wiem jedno – przemoc żywi się milczeniem. Nasze działania nie przyniosły jednoznacznego zwycięstwa. Przeraża fakt, że osoba oskarżana o liczne nieprawidłowości, w tym o zachowania o charakterze noszącym znamiona mobbingu, ot tak przeszła sobie do innej dzielnicy, bez konsekwencji – mówi pracowniczka z Woli Milena*.

Byli współpracownicy mówią o chaosie w placówkach i naciskach ze strony Grędzińskiej. – Gdy nie zgadzałam się na pewne zachowania, od razu trafiałam „za drugą stronę barykady". Zaczynały się trudności i demonstracje władzy: np. wzywanie w piątek po południu „na dywanik" w poniedziałek. Oczywiście z samego rana i bez wyjaśnienia, o co chodzi. Takie spotkania były często potem odwoływane – relacjonuje Justyna*, pracująca w bibliotece na Woli.

Zespół zarzuca też Grędzińskiej mikrozarządzanie. – Panowało przekonanie, że wyłącznie pani dyrektor ma prawo reprezentować instytucję i wypowiadać się w jej imieniu. Wszystkie działania i komunikaty musiały być przez nią zatwierdzane, a pracownicy nie mieli przestrzeni do samodzielnego zabierania głosu – mówi Milena*. I dodaje – Najbardziej frustrujące było to, że choć formalnie kierownicy powinni zarządzać zespołami, w praktyce nie mieli żadnej decyzyjności. To prowadziło do absurdalnych sytuacji – nawet wzięcie urlopu przez szeregowego pracownika wymagało zgody dyrektorki – stwierdza pracowniczka z Woli.

Anna Grędzińska na swoim profilu LinkedIn pisze o sobie: „Od ponad szesnastu lat kieruję instytucją kultury w Warszawie, łącząc strategiczne zarządzanie z empatycznym przywództwem i podejściem opartym na współpracy". – Miałam wiele pomysłów, które przez pewien czas spotykały się z aprobatą. W pewnym momencie jednak – trudno mi powiedzieć, z jakiego powodu – przestały być dobrze odbierane. Wydaje mi się, że wpisuje się to w pewien schemat działania pani dyrektor: najpierw obdarza ona daną osobę dużą sympatią i zainteresowaniem, wręcz „zalewa ją życzliwością", a następnie próbuje nawiązać relację o bardziej prywatnym charakterze – na przykład poprzez propozycje wspólnych wyjść. W mojej ocenie jest to forma manipulacji, której częściowo uległam, choć starałam się nie przekraczać swoich granic – mówi Milena*.

Wracamy do profilu LinkedIn pani Grędzińskiej: „Moją misją jest tworzenie środowiska, w którym ludzie mogą się rozwijać, dzielić wiedzą i współtworzyć rozwiązania – dzięki czemu instytucja staje się nie tylko miejscem pracy, ale przestrzenią dialogu i inspiracji".

– Dochodziło do częstego przenoszenia pracowników między filiami. Decyzje w tym zakresie podejmowane były odgórnie, bez realnego udziału samych zainteresowanych. Nawet w sytuacjach, gdy pracownik miał ważne powody, by pozostać w dotychczasowym miejscu pracy i zwracał się z prośbą o zmianę decyzji, jego argumenty nie były brane pod uwagę. Formalnie wszystko odbywało się poprawnie – pracownicy otrzymywali do podpisu dokumenty potwierdzające zmianę warunków. W praktyce jednak była to sytuacja

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73be861abb

przymusowa, ponieważ obawiali się utraty pracy. W efekcie decyzje przedstawiano jako dobrowolne, choć faktycznie wynikały one z braku realnego wyboru.– podsumowuje Justyna*.

To działanie w białych rękawiczkach. Trudne do uchwycenia, ponieważ – kiedy patrzymy na nie od strony formalnej – jest w pełni prawidłowe. Diabeł tkwi w szczegółach. Niestety, tych trudnych do uchwycenia. Większość pracowników mających do czynienia z soft mobbingiem woli odejść, bo czuje, że nie ma szans niczego udowodnić. – Systemowym działaniem pani dyrektor było to, że w zasadzie nikogo bezpośrednio nie zwalniała – doprowadzała raczej do sytuacji, w której ludzie sami decydowali się odejść – mówi Justyna*.

Rozejdzie się po kościach

Przejście Anny Grędzińskiej do dzielnicy Włochy budzi wiele pytań. Osoba, która chwali się publicznie w mediach społecznościowych osiągnięciami zmieniła pracę w atmosferze kompletnej ciszy. Również aktywny Facebook biblioteki we Włochach przemilczał sprawę. To dość osobliwe, kiedy do zespołu dołączyła taka gwiazda. Co warte odnotowania, biblioteka Włochy nie miała od dłuższego czasu obsadzonego stanowiska wicedyrektora. Skąd zmiana na niższe stanowisko w mniej prestiżowej dzielnicy, skoro na Woli odnotowywała same sukcesy? – Analogia z przenoszeniem księży nasuwa się sama. To jest przerażające, bo pracownicy dostają wyraźny sygnał, że dyrekcji wolno wszystko. Nie będzie żadnych konsekwencji – mówi wyraźnie wzburzona Justyna*.

To działanie w białych rękawiczkach. Trudne do uchwycenia, ponieważ – kiedy patrzymy na nie od strony formalnej – jest w pełni prawidłowe. Diabeł tkwi w szczegółach.

Opierając się na sygnałach środowiska, w maju zapytaliśmy wolski ratusz, czy ktoś z Włoch zgłaszał się po referencje Grędzińskiej. Naturalnym odruchem zdaje się być zapytanie poprzedniego pracodawcy o szczegóły współpracy. „Urząd Dzielnicy Wola nie posiada informacji dotyczących rekomendacji osoby Pani Anny Grędzińskiej na stanowisko wicedyrektora w Bibliotece Dzielnicy Włochy ani żadne inne stanowisko. Nie posiadamy informacji, aby organizator Biblioteki Publicznej w Dzielnicy Włochy lub innej Dzielnicy kontaktował się z Urzędem Dzielnicy Wola w sprawie referencji dla Pani Anny Grędzińskiej. Urząd Dzielnicy Wola nie był w jakikolwiek sposób zaangażowany w rekrutację Pani Anny Grędzińskiej na jakiekolwiek stanowisko" – czytamy w odpowiedzi burmistrza Strzałkowskiego.

Uprzedźmy też argument o tym, że Grędzińska przeniosła się, aby zastając bibliotekę we Włochach drewnianą, zostawić ją po jakimś czasie murowaną. Wtedy trąbiliby o tym wszyscy, bo to świetne PR-owo. Czy chodzi więc o polityczne umocowanie pani Grędzińskiej? Nic nie wskazuje na to, aby jakiekolwiek miała. Jednak skaza na wizerunku takiej gwiazdy stawiałaby wszystkich nagradzających ją decydentów w bardzo niekorzystnym świetle. Głównym zarzutem stawianym Rafałowi Trzaskowskiemu jest brak reakcji na nieprawidłowości dziejące się w mieście. Miliony dla rezydenta z SOR-u czy mobbingowani bibliotekarze? Wszystko jedno, póki w mieście można puścić trochę funku.

– Najtrudniejsze jest dla mnie myślenie o tym, że pani dyrektor trafiła do nowego zespołu i najprawdopodobniej powtórzy ten sam schemat działania. Na początku pojawi się duża życzliwość, empatia i deklaracje wsparcia, podkreślanie, jak ważny jest zespół, a następnie – stopniowe budowanie wpływu na współpracowników. Zastanawiam się tylko, czy osoby tam pracujące będą miały siłę, by postawić granice. Bibliotekarze to środowisko, w którym pracownicy są raczej nastawieni na współpracę, empatię i spokój, a nie na konfrontację czy walkę o swoje prawa, co może dodatkowo utrudniać radzenie sobie z takimi sytuacjami – kwituje Ania* na której twarzy mimo wszystko maluje się wyraźne poczucie ulgi i nadziei na nową jakość w jej ukochanym miejscu pracy.

*Imiona osób zostały zmienione dla ich bezpieczeństwa.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73be861abb

InPost w Londynie

Mocarze znad Wisły

Jak polskie spółki przejmują zachodnie przedsiębiorstwa

Marek Czarkowski

We wrześniu 2024 r. eSky Group, polska firma działająca w branży turystycznej, kupiła za 30 mln funtów od chińskiej spółki Fosun Tourism Group legendarną markę Thomas Cook. Polacy postanowili wskrzesić brytyjską ikonę. Thomas Cook to jedna z najstarszych (180 lat tradycji) firm turystycznych świata, która ogłosiła upadłość w 2019 r. O transakcji eSky Group Agencja Reutera poinformowała cały świat.

To spektakularny, ale tylko jeden z przykładów przejmowania europejskich firm przez polskie spółki. I pomyśleć, że w 2004 r., gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej, byliśmy klasycznym odbiorcą. Kolejne rządy robiły wszystko, by przyciągnąć do Polski kapitał. Zachodni inwestorzy budowali u nas fabryki, a my oferowaliśmy wykwalifikowaną, tanią siłę roboczą, niskie podatki i niskie ceny energii. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś polskie firmy będą sięgały po niemieckie, francuskie czy brytyjskie spółki. A jednak…

Gdy uczeń przerasta mistrza

W latach 90. XX w. polski przedsiębiorca jadący na targi do Niemiec Mercedesem klasy S czuł się jak ubogi krewny. Nawet jeśli miał pieniądze, brakowało mu pewności siebie. Teraz, gdy w Berlinie siada po drugiej stronie stołu negocjacyjnego, czuje, że rozdaje karty. Bo Polska to dzisiaj – w sensie ekonomicznym – poważny europejski gracz.

Od 2023 r. poziom polskich inwestycji, głównie w Europie Zachodniej, systematycznie rośnie. Rodzime firmy na zakup udziałów w zachodnich spółkach i uruchamianie nowych inwestycji wydają rocznie 10-16 mld dol.

Powód jest prosty – dla wielu polskich firm rynek krajowy stał się za ciasny. Jeśli jest się jednym z największych producentów w kraju, to gdzie szukać nowych możliwości? Oczywiście za granicą. Zwłaszcza gdy udało się zgromadzić kapitał.

Przejęciom sprzyja proces starzenia się osób, które w latach 50. i 60. w Niemczech, Francji lub we Włoszech zakładały i rozwijały firmy. Dziś ci inwestorzy nie zawsze mają komu przekazać to, co uważają za dorobek życia. Ekonomiści nazywają to luką sukcesyjną. Dzieci właścicieli wolą być prawnikami, artystami lub cyfrowymi nomadami i nie marzą o tym, by kontynuować rodzinne tradycje. Założoną przez dziadka, a rozwijaną przez ojca firmę wolą korzystnie sprzedać.

Bywa, że polski przedsiębiorca, który swój biznes budował od zera, lepiej rozumie logikę tradycyjnej rodzinnej firmy i nie traktuje przejętej

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 73be861abb

marki jak trofeum, które można podzielić na części, by potem dalej odsprzedać z zyskiem. Dlatego łatwiej mu zdobyć zaufanie niemieckiego seniora, który ma nadzieję, że Polak utrzyma jego firmę.

Przykładem takiej polityki jest założona w 1992 r. w Krośnie przez braci Adama i Jerzego Krzanowskich, wspólnie z amerykańskimi partnerami Henrym i Ronaldem Sternami, spółka Nowy Styl (wcześniej Nowy Styl Group). Dziś to jeden z trzech największych producentów mebli biurowych w Europie. Było to możliwe dzięki przejęciom takich niemieckich firm jak Grammer Office, Rohde & Grahl czy Kusch+Co.

W maju 2019 r. Grupa Nowy Styl decyzją francuskiego sądu została wybrana na inwestora znajdującej się w upadłości spółki Majencia. Polacy nie tylko przejęli fabryki w Noyon i Bressuire, ale też zatrudnili większość wcześniej pracującej tam załogi. Dzięki temu francuska spółka przetrwała. Poza niemieckimi firmami bracia Krzanowscy przejęli szwajcarską firmę Sitag oraz działającą w Dubaju spółkę Stylis Dubai. Wszystko po to, by rozszerzyć sprzedaż i asortyment. Obecnie prezesem zarządu jest pochodzący z Norwegii Ketil Årdal, który zastąpił Adama Krzanowskiego (Jerzy zmarł w 2024 r.).

Tą samą drogą poszła działająca w branży IT rzeszowska spółka Asseco. W 2004 r. kupiła słowacką spółkę Asset Soft, następnie przejęła inne mniejsze firmy w Czechach, na Węgrzech i w Bułgarii.

W 2010 r. za ok. 145 mln dol. Asseco kupiło większościowy pakiet izraelskiej grupy Formula Systems. Była to największa zagraniczna inwestycja w historii polskiej branży IT. Formula Systems to holding notowany na giełdzie NASDAQ w Nowym Jorku. Ma w portfolio m.in. spółki Matrix IT, Sapiens International oraz Magic Software, działa w USA, Izraelu oraz w innych krajach.

Historia Wieltonu

W Polsce mało kto, poza osobami związanymi z branżą transportową, słyszał o Wieltonie – producencie przyczep i naczep z Wielunia. Dziś jest ich trzecim producentem w Europie, skutecznie konkurując z niemiecką firmą Schmitz Cargobull.

A wszystko zaczęło się w 1996 r., kiedy Ryszard Prozner i Krzysztof Tylkowski prowadzący wspólny warsztat samochodowy zajmujący się m.in. przebudową naczep zdecydowali się założyć spółkę Wielton. W 2006 r. kontrolę nad Wieltonem przejęli bracia Paweł i Mariusz Szataniakowie, którzy kupili 60% jego akcji. Od tego momentu to oni kojarzeni są z dynamiczną ekspansją, wejściem Wieltonu na Giełdę Papierów Wartościowych i na rynki europejskie. W 2015 r. wieluńska spółka przejęła 65,31% akcji firmy Fruehauf Expansion, lidera francuskiego rynku naczep, pokrywającego ok. 40% udziału w kluczowym segmencie naczep we Francji.

W tym samym roku Wielton kupił wybrane aktywa Compagnia Italiana Rimorchi, w tym marki Merker, Viberti i Cardi, a także maszyny, bazy klientów oraz należące do spółek know-how. Ta transakcja dała polskiej spółce silną pozycję we Włoszech. Dwa lata później Szataniakowie przejęli 80% udziałów w niemieckiej Grupie Langendorf, która była czołowym producentem naczep specjalistycznych, w tym do przewozu szkła i prefabrykatów z betonu. W kolejnym roku Wielton wszedł na rynek brytyjski, przejmując 75% udziałów w firmie Lawrence David, będącej jednym z tamtejszych liderów produkcji naczep. W sierpniu 2022 r. objął 100% udziałów. W latach 2021-2023 spółka z Wielunia nabyła pakiet kontrolny akcji hiszpańskiej spółki Guillén Desarrollos Industriales, domykając w ten sposób swoją obecność na najważniejszych europejskich rynkach.

Osiągnięcia Nowego Stylu, Asseco i Wieltonu imponują, lecz bledną w porównaniu z sukcesami Maspeksu.

Ekspansja „polskiego Unilevera”

W 1990 r. pięciu kolegów z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie: Krzysztof Pawiński, Sławomir Rusinek, Józef Szczur, Zdzisław Stuglik i Jerzy Kasperczyk, założyło w Wadowicach spółkę Maspex, która zajęła się sprzedażą zabielaczy do kawy, herbat rozpuszczalnych i kakao. Takie były początki największego w Polsce prywatnego koncernu spożywczego.

W 1996 r. Maspex kupił spółkę Polska Żywność z Olsztynka, która była producentem soku przecierowego Kubuś. W ciągu kilku lat stał się on marką ogólnopolską i pierwszą gwiazdą portfela produktów wadowickiej spółki. Ta trzy lata później kupiła firmę Tymbark, co ugruntowało jej pozycję na rynku soków, nektarów i napojów owocowych w Polsce. W latach 2004-2005 przyszedł czas na przejęcia firm należących do Czechów, Słowaków, Węgrów i Bułgarów, co pozwoliło polskiemu koncernowi zająć pozycję lidera na tym rynku w Europie Środkowo-Wschodniej. W 2015 r. Maspex przejął dwa zakłady, w Łowiczu i Wąsoszy, należące do spółki Agros Nova wraz z markami: Łowicz, Krakus, Kotlin, Włocławek, Fruktus, Tarczyn i Dr Witt. Transakcja ta dodatkowo umocniła jego pozycję.

Krzysztof Pawiński, jeden z założycieli Maspeksu i jego prezes, nie miał zamiaru się zatrzymywać. W 2022 r. kierowana przez niego firma za 1 mld dol. kupiła CEDC International oraz jej spółkę zależną B2B Wine & Spirits, stając się liderem tym razem na rynku wódki i największym importerem zagranicznych alkoholi w kraju. W portfolio Maspeksu znalazły się takie dobra narodowe jak Żubrówka, Soplica, Absolwent, Bols i Żytniówka.

W 2010 r. za ok. 145 mln dol. Asseco kupiło większościowy pakiet izraelskiej grupy Formula Systems. Była to największa zagraniczna inwestycja w historii polskiej branży IT.

eprasa.pl 73be861abb

Kupując w latach 2023-2024 od koncernu Pernod Ricard 100% akcji spółki Jan Becher-Karlovarská Becherovka, Maspex stał się właścicielem słynnego likieru Becherovka.

Do tego należy dodać przejęcie przez spółkę Maspex Romania w 2025 r. pakietu kontrolnego akcji Purcari Wineries Group, jednej z największych grup winiarskich w Europie Środkowo-Wschodniej, działającej na terenie Mołdawii i Rumunii, która zarządza ponad 2 tys. ha winnic.

W Ukrainie „polski Unilever", jak czasem nazywany jest wadowicki koncern, posiada 80% udziałów w Karpackich Wodach Mineralnych. Maspex kontroluje także producentów wody mineralnej w Bułgarii (spółkę Aquarex AD, właściciela marki Velingrad), Rumunii (spółkę Rio Bucovina) i na Węgrzech (spółkę Apenta).

Możemy być pewni, że na tych przejęciach się nie skończy. Grupa Maspex jest dziś dużym środkowoeuropejskim koncernem, a ambicje zarządu firmy sięgają znacznie dalej.

Kazus Brzoski

Największym rodzimym koncernem kontrolującym spółki w sąsiednich krajach jest Orlen. O jego osiągnięciach mówiono i pisano wiele, tym razem więc możemy go pominąć. Mniej mówi się o spółce InPost, która jest liderem rynku paczkomatów w Polsce. Bez niej rozwój handlu internetowego w naszym kraju byłby utrudniony. Czy jednak nadal jest to polska spółka? Jej założyciel i prezes Rafał Brzoska, który tak skutecznie wypromował paczkomaty, posiada jedynie ok. 16% udziałów w firmie – za pośrednictwem spółki A&R Investments Ltd., zarejestrowanej na Malcie. Pozostali udziałowcy InPost to: fundusz private equity Advent International, FedEx Corporation oraz czeska grupa inwestycyjna PPF Group.

Trzeba przyznać, że InPost działa z rozmachem. W 2021 r. kupił we Francji za 565 mln euro tamtejszą platformę logistyczną Mondial Relay. Jednym ruchem polska firma przejęła sieć ponad 15,8 tys. punktów odbioru we Francji, krajach Beneluksu i na Półwyspie Iberyjskim. Trzy lata później InPost za ponad 60 mln funtów kupił brytyjską spółkę Menzies Distribution Limited, stając się jednym z największych operatorów przesyłek na kontynencie.

Na naszych oczach firma, która przyzwyczaiła Polaków do żółtych paczkomatów na rogach ulic, uczy teraz Francuzów i Brytyjczyków, jak wygodnie odbierać paczki. A to już eksport nie tylko produktu czy usługi… lecz nawyku.

Polska jest dziś w Europie liderem w bankowości internetowej i usługach publicznych z wykorzystaniem sieci. Rodzime rozwiązania w handlu elektronicznym należą do najnowocześniejszych na świecie. Być może nie zdajemy sobie z tego sprawy, lecz coraz częściej dostrzegają to odwiedzający Polskę Brytyjczycy, Amerykanie, Włosi i Francuzi. Możemy być pewni, że w przyszłości wiele rodzimych firm, szukając okazji do zarobku, podejmie zagraniczną ekspansję. Bo nad Wisłą będzie im już za ciasno.

Marek Czarkowski

KRUSZYWA POLSKIE

Kim jesteśmy?

Jesteśmy wiodącym producentem kruszyw, działającym w województwie pomorskim od niemalże 50 lat. Eksploatujemy złoża naturalnego kamienia, żwiru i piasku. Siedziba naszej spółki mieści się na malowniczych Kaszubach – w Rybakach koło Kościerzyny.

Nasze roczne wydobycie osiąga **1 mln ton**, co plasuje nas w czołówce największych lokalnych kopalni.

Jakość i Elastyczność na Rynku Budowlanym

Ogromną wagę przywiązujemy do wysokiej jakości produkowanych kruszyw. Naszymi Odbiorcami są renomowane firmy z rynku budowlanego, co dodatkowo motywuje nas do stałego doskonalenia procesu produkcji.

- **Wychodzimy naprzeciw niszowym oczekiwaniom rynkowym** – produkujemy ściśle określone, specjalistyczne frakcje.
- **Szeroka oferta** – poza kruszywami oferujemy piaski suszone oraz naturalne zaprawy tynkarskie naszej własnej marki Sandberg.

Kruszywa Polskie S.A. – *Tradycja wydobycia, nowoczesność produkcji, odpowiedzialność za naturę.*

www.kruszywapolskie.pl

Ekologia i Odpowiedzialność Społeczna

W dobie odpowiedzialności środowiskowej podejmowanie proekologicznych działań stanowi kluczowy punkt naszej strategii:

- **Redukcja śladu węglowego** - wprowadzamy nowoczesne i udoskonalamy dotychczasowe technologie, aby skutecznie **ograniczać emisję** Co2.
- **Rekultywacja terenów poeksploatacyjnych, wspieranie bioróżnorodności** Zrekultywowaliśmy setki hektarów terenów poeksploatacyjnych, głównie w kierunku leśnym z możliwością pozostawienia zbiorników wodnych, których rejony chętnie zasiedlają gatunki fauny objęte ochroną prawną. Oczka wodne przyczyniają się do zwiększenia bioróżnorodności terenów leśnych, a wraz z otaczającą je roślinnością skutecznie wtapiają się w tutejszy krajobraz i nie nadwyrężają jego piękna.

eprasa.pl 73be861abb

WARMIŃSKIE ALEJE trzymają się mocno

Głos Ministerstwa Klimatu i Środowiska w sprawie wycinki drzew

Marek Książek

Głośna akcja protestacyjna ekologów przynosi skutki. Nie trzeba wycinać wszystkich drzew w przydrożnych alejach, żeby kierowcy czuli się bezpieczniej. Wystarczy jeździć wolniej – tak przekonują wszyscy, dla których grabowe, lipowe i kasztanowe aleje na Warmii i Mazurach są wyjątkowym elementem krajobrazu przyrodniczego i naszym dobrem narodowym. Pisaliśmy o tym w tekście „Warmińskie aleje pod topór?" („Przegląd" 28/2026), cytując wypowiedzi osób, które nie zgadzają się na plany wycinki przyjęte przez olsztyński Zarząd Dróg Wojewódzkich (ZDW).

Jedną z inicjatorek akcji „Skraj drogi – STOP wycince drzew na Warmii" jest Natalia Tejs, animatorka kultury pracująca w Olsztynie, mieszkająca koło Dobrego Miasta, która chodząc z dzieckiem (a nie z dziećmi – jak napisałem we wspomnianym wyżej artykule, za co przepraszam) na spacery i jeżdżąc po okolicy, stwierdziła, że wiele drzew oznaczonych na czerwono jest w dobrym stanie i nie muszą być wycinane. Wspólnie z przyjaciółmi uruchomiła lawinę protestów – pod petycją do ZDW w tej sprawie zebrano ponad 20 tys. podpisów.

Protest okazał się na tyle skuteczny, że zainteresowały się nim media ogólnopolskie, a 3 lipca opublikowane zostało stanowisko Ministerstwa Klimatu i Środowiska w tej sprawie. W zasadzie potwierdza ono spostrzeżenia osób występujących w naszej publikacji, w tym działaczki organizacji pozarządowych Moniki Falej

Warmińskie aleje pod topór?

Ponad półtora tysiąca drzew na Warmii, a 6,6 tys. w całym regionie, przeznaczonych jest do wycinki

Marek Książek

czy prof. Jakuba Borkowskiego, ekologa leśnictwa z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Ministerstwo poświadcza, że drogowcy chcą wyciąć 6678 przydrożnych drzew w regionie, ale zgodę na to muszą wydać samorządy gmin, przez które te drogi przebiegają, po zasięgnięciu opinii Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Olsztynie.

Zresztą RDOŚ już negatywnie odniosła się do dwóch wniosków w gminie Barciany, gdzie w pierwszym przypadku pod topór miały pójść 23 drzewa, z czego tylko dwa kwalifikowały się do wycięcia, a sześć kolejnych do pielęgnacji korony. W drugim wypadku na planowane do wycinki 93 drzewa tylko dziewięć spełniało ten warunek, 14 kwalifikuje się do pielęgnacji, a reszta, czyli 70, jest zdrowa.

Chociaż drogowcy przekonują, że trzeba wycinać całe szpalery drzew „w skrajni jezdni", bo zagrażają bezpieczeństwu kierowców, to resort uspokaja: „Bezpieczeństwo kierowców i ochrona alei nie wykluczają się. Współczesna inżynieria drogowa dysponuje środkami, które realnie ograniczają ryzyko: barierami ochronnymi, oznakowaniem, uspokojeniem ruchu i egzekwowaniem ograniczeń prędkości. Odpowiedzią na wypadki powinno być projektowanie bezpiecznych dróg, a nie masowa wycinka drzew rosnących przy nich od dziesięcioleci". A więc wycinka ma być przeprowadzona wyłącznie tam, gdzie nie ma alternatywnej możliwości, z pełną kompensacją przyrodniczą, czyli sadzeniem nowych drzew poza skrajem drogi.

Ekolodzy biorą pod uwagę fakt, że stanowisko ministerstwa nie jest dokumentem wiążącym ZDW, który podlega samorządowi województwa warmińsko-mazurskiego. Ale już teraz widać, że radni, burmistrzowie i wójtowie w miastach i gminach regionu podchodzą do sprawy zdroworozsądkowo. Świadczy o tym deklaracja prezydenta Olsztyna Roberta Szewczyka, który zapowiedział: „Nigdy, przenigdy nie będzie mojej zgody na wycinanie zdrowych drzew wyłącznie ze względów estetycznych!". I chociaż ten głos dotyczy drzew wokół olsztyńskiego zamku, to tak samo są one ważne jak te przy drogach. ■

Bezpieczeństwo kierowców i ochrona alei nie wykluczają się. Współczesna inżynieria drogowa dysponuje środkami, które realnie ograniczają ryzyko wypadków.

eprasa.pl 73be861abb

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

O Francesce, która Izraelowi się nie kłania

Francesca Albanese to włoska prawniczka specjalizująca się w prawach człowieka, która od 2022 r. pełni funkcję specjalnej sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich. Jako współautorka przełomowej książki „Palestinian Refugees in International Law" od trzech lat jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych głosów Europy Zachodniej wypowiadających się w imieniu mordowanych, torturowanych i wysiedlanych Palestyńczyków z Gazy i Zachodniego Brzegu.

Właśnie ukazała się po polsku jej niezwykła, osobista książka „Kiedy świat śpi. Opowieści, słowa i rany Palestyny" (wyd. Szczeliny, tłum. Tomasz Kwiecień), która stanowi rodzaj komentarza do jej pracy dla ONZ. Opisuje, poprzez historie dziesięciorga postaci, w większości znajomych i przyjaciół, proces poznawania problematyki okupowanej od 1948 r. (i potem 1967) Palestyny. Albanese wskazuje, dlaczego nie używa pojęcia konflikt w mówieniu o tym, co dzieje się między Państwem Izrael a Palestyńczykami, i dlaczego z pełną świadomością używała określenia ludobójstwo już w 2023 r., kiedy Izrael zaczynał unicestwiać Gazę, mordując ludność cywilną, tysiące dzieci. Z niezwykłą jasnością pokazuje milczenie lub współudział Zachodu (w tym mainstreamowych mediów, np. BBC i „Washington Post"), który okazał się wiernym sojusznikiem Izraela w ludobójczych działaniach jego wojska.

Albanese jest autorką niezwykle ważnych raportów na ten temat. Szczególne znaczenie ma „Unchilding" (Pozbawianie dzieciństwa), który powstał w 2023 r., przed atakiem Hamasu z 7 października, na podstawie rozmów fokusowych przeprowadzanych wirtualnie, ponieważ władze Izraela zakazały badań na Zachodnim Brzegu i w Gazie. Kilka przytoczonych w książce wypowiedzi poraża wymową. Rawan, 11 lat: „Musimy walczyć o prawo do oddychania, do bycia tutaj, do pozostania na naszej ziemi bez konieczności cierpienia każdego dnia". Ala ad-Din, 14 lat: „Zawsze musimy uciekać przed niebezpieczeństwem, jeśli nie przed żołnierzami, to przed osadnikami". Jasmin, 16 lat (przeżyła pięć wojen w Strefie Gazy): „Bombardowali nas ze wszystkich stron, byli wszędzie, tak bardzo się baliśmy, że nasi rodzice mogą zginąć". Fares, 12 lat: „W zeszłym roku żołnierze trzy czy cztery razy zaatakowali moją szkołę. Rzucali pojemniki z gazem i strzelali prawdziwymi kulami".

Dzieci, z którymi rozmawiała, najbardziej boją się trzech rzeczy: śmierci własnej i rodziców, aresztowań i zburzenia domu. I jak refren Albanese powtarza: tak wygląda dzieciństwo w Palestynie.

Francesca Albanese krok po kroku kreśli drogę do poznania istoty tego, co widziała: systemowej przemocy, nieprawdopodobnej siły skrajnie zakłamanego języka w służbie propagandy izraelskiej, kolonializmu osadniczego, potworności zabijania, torturowania, okaleczania (tysiące dzieci poddanych amputacjom, pozbawionych opieki medycznej i szpitalnej na skalę nieznaną współczesności). Wielokrotnie była – a można nawet powiedzieć, że jest nieustannie – oskarżana o antysemityzm. To podstawowa technika deprecjonowania wszystkich, którzy ośmielają się krytykować zbrodnicze działania Izraela. Jako prawniczka skutecznie zresztą zastopowała przyjęcie przez ONZ rozszerzonej definicji antysemityzmu, która pozwalałaby zakwalifikować jako wyraz antysemityzmu każdą krytykę polityki tego państwa.

Wśród sojuszników znajdowała rzecz jasna Palestyńczyków, którzy niestrudzenie objaśniali jej świat swoich doświadczeń, kultury i historii, jak Abu Hasan, człowiek instytucja, przewodnik po palestyńskiej Jerozolimie. Ale także Izraelczyków, Żydów, takich jak Alon Confino, włosko-izraelski profesor, wykładowca historii oraz studiów judaistycznych i bliskowschodnich związany z University of Massachusetts Amherst. To on zwrócił jej uwagę na zagrożenia, jakie niosła próba przeforsowania nowej definicji antysemityzmu zaproponowanej przez Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście (International Holocaust Remembrance Alliance, IHRA).

Kolejną kluczową batalią toczoną przez Albanese jest debata, dlaczego pojęcie apartheid najprecyzyjniej opisuje realia życia Palestyńczyków i prześladowania ze strony władz izraelskich. A co za tym idzie, jak wygląda proces uznania, że okupacja izraelska, która rozpoczęła się w 1948 r., jest całkowicie nielegalna. Obalenie reżimu RPA (aktywnie wspieranego przez Izrael, który dostarczał gaz do tłumienia demonstracji i wozy bojowe dla policji, szkolił też oddziały policyjne do walki z protestującymi), jak również globalna aktywność obywatelska na rzecz zniesienia apartheidu stanowią przykład skutecznego oporu. Tak zrodził się palestyński ruch BDS: Boycott, Divestment and Sanctions – bo nacisk ekonomiczny, bojkot towarów z RPA okazał się nadzwyczaj skutecznym orężem walki non-violence. Inicjatywa ma już prawie 20 lat, a ludobójstwo w Gazie sprawiło, że nastąpił zauważalny wzrost poparcia dla tego ruchu.

Walka Franceski Albanese z obojętnością świata napawa optymizmem, pozwala zachować nadzieję, że humanizm i poszanowanie praw człowieka muszą być wciąż priorytetowe. Czytajcie Francescę Albanese! ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73be861abb

Osadniczy terror

Żydowscy osadnicy na Zachodnim Brzegu prowadzą kampanię strachu, wykorzystując taktyki znane z działań Państwa Islamskiego

Jakub Katulski

Zachodni Brzeg Jordanu jest w coraz trudniejszej sytuacji. Teren, który według porozumień z Oslo miał się stać w przyszłości częścią niepodległego państwa palestyńskiego, nieustannie terroryzują siły izraelskie i fanatyczne grupy uzbrojonych i zamaskowanych osadników żydowskich, których wciąż przybywa. A przecież z punktu widzenia prawa międzynarodowego żydowskie osiedla na terytoriach palestyńskich są nielegalne.

Dla Izraelczyków jednak legalność ma niewielkie znaczenie. W ich narracji Zachodni Brzeg to dzisiaj „terytoria sporne", a znaczna część klasy politycznej i obywateli jest wrogo nastawiona do koncepcji jakichkolwiek ustępstw terytorialnych wobec Palestyńczyków. Stąd rosnąca liczba osiedli i samych osadników.

Na Zachodnim Brzegu Jordanu, terenach, które Żydzi nazywają Judeą i Samarią, żyje obecnie przynajmniej 540 tys. osadników. Zalicza się do nich często także niemal 250 tys. żydowskich mieszkańców Jerozolimy Wschodniej, którą Palestyńczycy uznają za potencjalną przyszłą stolicę ich państwa, na co nigdy w porozumieniach i propozycjach pokojowych nie przystali Izraelczycy. Bywało to powodem przerywania rozmów. Jerozolima jest w końcu miastem świętym dla Żydów, a dla Palestyńczyków Al-Kuds – takie miano nosi w języku arabskim – to nie mniej istotne centrum religijne i ośrodek kultury.

Rosnąca liczba żydowskich osadników i ich domów jest dla Palestyńczyków problemem o tyle, że kurczy się obszar, na którym mogą żyć i swobodnie się poruszać. Około 60% Zachodniego Brzegu to dzisiaj tzw. Strefa C, pozostająca pod wyłączną kontrolą izraelską. Właśnie tam znajduje się większość żydowskich osiedli, w tym już dość duże i uznawane za legalne przez izraelskie władze miasta Modi'in Illit z populacją sięgającą 90 tys. czy Ariel – znane z uniwersytetu, na którym kształci się ok. 17 tys. studentów.

Znaczna liczba Palestyńczyków mieszka w Strefie A, która oficjalnie pozostaje pod wyłączną kontrolą Autonomii Palestyńskiej. W praktyce wyłączność ta funkcjonuje dziś jedynie na papierze.

Ostatni chrześcijański przyczółek

Przekonali się o tym m.in. mieszkańcy At-Tajjiby, ostatniej wyłącznie chrześcijańskiej miejscowości na terenie Autonomii Palestyńskiej. At-Tajjiba jest już miejscem wymierającym. Funkcjonują tu trzy parafie – rzymskokatolicka, greckokatolicka i melchicka. Ojciec David P. Khoury, który prócz tej drugiej prowadzi lokalną szkołę i aktywnie działa na rzecz konserwacji zabytków, wspólnie z proboszczem parafii melchickiej o. Jackiem Abedem zebrali środki na budowę 16 mieszkań dla potrzebujących parafian z At-Tajjiby. Ojciec Jack Abed jest postacią bardzo popularną, zwłaszcza wśród odwiedzających miejscowość. Chętnie zaprasza podróżnych do kościoła, opowiada jego historię i dzieli się swoją. Urodził się w Jafie, starożytnym mieście dzisiaj wchłoniętym przez Tel Awiw. Zrzekł się obywatelstwa izraelskiego i wyjechał do At-Tajjiby na znak protestu i solidarności z Palestyńczykami. Wszyscy trzej proboszczowie, bo także rzymskokatolicki ks. Bashar Fawadleh, otwarcie protestują przeciwko przemocy, której ofiarami padają z rąk osadników palestyńscy chrześcijanie.

Miejscowość słynie również z browaru Taybeh, prowadzonego przez Madis Khoury, córkę jednego z założycieli i prawdopodobnie pierwszą i jedyną mistrzynię piwowarstwa na całym Bliskim Wschodzie. Powstanie browaru w 1994 r. nie obyło się bez kontrowersji w muzułmańskim społeczeństwie palestyńskim, które na spożycie alkoholu patrzy co najmniej z nieufnością. Browar Taybeh cieszył się jednak wsparciem prezydenta Jasira Arafata, a prowadzący go bracia Khoury zdobyli nawet certyfikat koszerności od rabina z pobliskiego osiedla żydowskiego Ofra. Dzięki temu browar Taybeh większość swojego piwa sprzedawał izraelskim klientom aż do czasów II intifady.

Dzisiaj mieszkańcy At-Tajjiby są regularnie napadani przez grupy radykalnych osadników, a ich problemy zaczęły się pogłębiać krótko po 7 października 2023 r. Osadnicy atakują Palestyńczyków w różny sposób, starając się doprowadzić do ich wysiedlenia. Regularnie np. zaganiają swoje zwierzęta, by pasły się na palestyńskich polach uprawnych będących własnością tamtejszych rodzin, co uniemożliwia Palestyńczykom korzystanie z owoców własnej pracy. Izraelskie służby nie reagują – nie powstrzymują osadników ani nie zakazują im działalności. W lipcu 2025 r. doszło również do podpalenia terenu cmentarza przy greckokatolickim Kościele św. Jerzego, którego historia sięga czasów bizantyjskich, co czyni go jednym z najstarszych obiektów religijnych w regionie. I nie był to ostatni atak na tę miejscowość. Niemal rok później, 10 czerwca, osadnicy podpalili pola uprawne w okolicy. Żaden

eprasa.pl 73be861abb

Palestynka fotografuje uszkodzenia po ataku izraelskich osadników. Ucierpiały miejscowości Silat al-Dhahr i Fandaqumiya na okupowanym Zachodnim Brzegu. 22 marca 2026 r.

człowiek nie ucierpiał, ale pola uprawne dla tamtejszych mieszkańców stanowią o ich przeżyciu.

Skokowy wzrost przemocy

At-Tajjiba to tylko jeden, choć bardzo jaskrawy przykład, gdyż na informacje o aktach przemocy zareagował nawet słowami potępienia amerykański ambasador w Izraelu Mike Huckabee. O wiele więcej takich zdarzeń jest całkowicie przemilczanych, a osadnicy atakują Palestyńczyków w zasadzie codziennie.

W samym 2025 r. według raportu Sił Obronnych Izraela ze stycznia 2026 r., opartego na danych izraelskich wojskowych i agencji bezpieczeństwa wewnętrznego Szabak (jak popularnie określa się Służbę Bezpieczeństwa Ogólnego – Szerut ha-Bitachon ha-Klali), liczba ataków osadników na ludność palestyńską wzrosła o 27%, a liczba poważnych ataków skoczyła o 50%. Według danych izraelskiej organizacji Szalom Achszaw (Pokój Teraz) w atakach osadników zginęło w 2025 r. aż 9 Palestyńczyków, a 838 zostało rannych. Jednocześnie organizacja B'Tselem w raporcie zatytułowanym „Przemoc osadnicza = przemoc państwowa" wskazała, że wskutek działań osadników w 2025 r. na Zachodnim Brzegu całkowicie zlikwidowanych zostało 15 palestyńskich miejscowości, a ich mieszkańców wysiedlono.

Na pełne statystyki za 2026 r. zbyt wcześnie, ale wiele wskazuje na to, że sytuacja będzie jeszcze gorsza. Do maja wysiedlonych zostało 18 palestyńskich miejscowości zamieszkanych przez 1480 osób, w tym 749 nieletnich. Jednocześnie w 2025 r. przybyło 86 nowych osiedli utworzonych przez radykalne grupy, a 56 zostało zatwierdzonych przez izraelskie władze jako osiedla legalne. Izraelska Wyższa Rada Planowania zatwierdziła budowę ponad 29 tys. żydowskich domów na Zachodnim Brzegu. W tym roku ta liczba przekroczyła już 6 tys. – nowe osady wyrastają jak grzyby po deszczu – w samym marcu rząd po cichu zatwierdził 30.

Trudno nie odnieść wrażenia, że celem tej polityki jest doprowadzenie do tego, by Palestyńczycy sami decydowali się na opuszczenie domów i gospodarstw rolnych. Osadnicy są coraz lepiej zorganizowani i są coraz skuteczniejszym narzędziem prawicowego rządu Beniamina Netanjahu i jego koalicjantów, otwarcie z nimi sympatyzujących. Na nagraniach i zdjęciach z Zachodniego Brzegu coraz częściej widać, że taktyki stosowane przez radykalnych osadników przypominają te, które stosowało Państwo Islamskie. 6 czerwca w wiosce Huwara, która regularnie brana jest przez osadników na cel, pojawili się zamaskowani, ubrani na czarno osobnicy. Do miejscowości wjechali w białych pick-upach Toyoty i Forda. Grupa mężczyzn w towarzystwie umundurowanego izraelskiego żołnierza pobiła dwóch Palestyńczyków, rannych porzuciła i odjechała.

Wojsko zakomunikowało, że gdy żołnierz zostanie zidentyfikowany, będzie objęty postępowaniem dyscyplinarnym. Ostatnio nawet izraelskie media pytają, dlaczego Siły Obronne Izraela nie powstrzymują aktów przemocy. Jej ofiarami padają coraz częściej także zwierzęta. W lipcu 2025 r. grupa osadników napadła na społeczność beduińską z wioski Al-Mita w północnej części doliny Jordanu i zabiła ok. 70 (według niektórych doniesień ponad 100) owiec, a inne zwierzęta ukradła lub pobiła. Do kolejnego głośnego ataku doszło w lutym 2026 r., gdy osadnicy podpalili domy i zagrody dla owiec. Kampania strachu odnosi sukces. W ciągu kilku miesięcy 24 beduińskie rodziny opuściły domy.

W 2025 r. pojawiały się też doniesienia, m.in. w „Jerusalem Post", że grupy osadników atakowały konwoje z pomocą humanitarną. W sierpniu jordański rząd poinformował, że osadnicy pocięli opony dwóch ciężarówek, które przekroczyły granicę z Izraelem na Moście Allenby'ego, i zmusili kierowców do powrotu do Jordanii. Innego dnia osadnicy zablokowali wjazd konwoju humanitarnego do Gazy.

Opisywane ataki to ułamek wydarzeń z udziałem radykalnych osadników i wojska. Wyraźnie pokazują jednak, że Palestyńczyków zawodzi również społeczność międzynarodowa. Na Zachodzie wiele się mówi o konieczności chronienia chrześcijańskich społeczności, lecz mieszkańcy takich miejsc jak At-Tajjiba w dużej mierze są zdani sami na siebie. Liczyć mogą jedynie na słowa potępienia, a z tych niewiele wynika. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 73be861abb

Jak długo wytrzymamy?

By złagodzić tylko wzrost cen surowców energetycznych, Europa będzie musiała wydać ponad bilion euro

Marek Czarkowski

Gdy w lutym 2022 r. rosyjskie kolumny pancerne przekroczyły granicę Ukrainy, europejska gospodarka weszła w tryb, którego nie pamiętała od lat 70. XX w. – taki, w którym cena bezpieczeństwa staje się pozycją w budżecie każdego z nas.

Trzy lata później, gdy w 2025 r. atak USA i Izraela na Iran zdestabilizował transport ropy naftowej i skroplonego gazu ziemnego przez cieśninę Ormuz, Europa otrzymała drugi rachunek – tym razem wystawiony przez sektor naftowy.

„44 dni, 22 mld euro – i ani jednej dodatkowej cząsteczki energii. To pokazuje ogromny wpływ, jaki ten kryzys ma na naszą gospodarkę", oświadczyła 13 kwietnia br. przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Był to komentarz do wzrostu cen surowców energetycznych dla europejskich odbiorców i jeden z rzadkich momentów, gdy poważny polityk powiedział, w czym rzecz. Bo koszty wojen – w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie – to temat niechętnie podejmowany przez liderów państw naszego kontynentu.

Wyjątkami byli ówczesny premier Węgier Viktor Orbán i premier Słowacji Robert Fico, którzy przeciwstawiali się wydawaniu pieniędzy europejskich podatników na potrzeby Ukrainy. W Niemczech o kosztach tych konfliktów mówią politycy Alternatywy dla Niemiec, a we Francji liderka Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen. I nie ma czemu się dziwić. Gospodarka niemiecka, największa w Europie, od roku 2022 znajduje się w kryzysie. Z kolei Paryż boryka się z ogromnym zadłużeniem i wysokim deficytem budżetowym – w tym roku przekroczy on 5,8% PKB, co plasuje Francję w czołówce najbardziej zadłużonych państw UE.

Wysokie ceny ropy naftowej i gazu ziemnego zdusiły wzrost gospodarczy w Europie i zmusiły rządy do wprowadzenia kosztownych programów osłonowych, a choć ostatnio notowane są spadki, miną miesiące, nim sytuacja wróci do normy. Pod warunkiem, że wojna w Zatoce Perskiej nie wybuchnie na nowo.

eprasa.pl 73be861abb

Koszty idą w biliony

W przypadku Europy podstawą kosztu wojny w Ukrainie był szok gazowy. Gdy kryzys osiągnął apogeum, w sierpniu 2022 r., ceny gazu na holenderskiej giełdzie TTF przekroczyły 350 euro/MWh. Był to poziom przeszło 10-krotnie wyższy od średniej sprzed pandemii.

Uzależnione od rosyjskiego surowca kraje kontynentu – niemal 40% dostaw pochodziło ze Wschodu – w ciągu kilku miesięcy musiały przebudować całą architekturę zaopatrzenia, sięgając po droższy, skroplony gaz ze Stanów Zjednoczonych i Kataru.

Na szok energetyczny rządy europejskie odpowiedziały bezprecedensowym pakietem osłon: dopłatami do rachunków gospodarstw domowych, obniżkami podatków od energii, mrożeniem cen i transferami środków do osób najuboższych. Najbardziej spektakularny był niemiecki „parasol ochronny" o wartości 200 mld euro, ogłoszony jesienią 2022 r. Jego skala wywołała napięcia wewnątrz Unii – mniejsze i uboższe państwa nie mogły sobie pozwolić na równie hojne osłony, a to groziło zaburzeniem konkurencji na jednolitym rynku.

Bruegel AISBL, międzynarodowy think tank ekonomiczny z siedzibą w Brukseli, w opublikowanej w roku 2023 analizie „Reakcje krajowej polityki fiskalnej na kryzys energetyczny" szacował, że wsparcie rządów państw europejskich tylko dla przedsiębiorstw i gospodarstw domowych dotkniętych po ataku Rosji na Ukrainę wzrostem cen ropy naftowej i gazu wyniesie 650-800 mld euro.

Kryzys najmocniej uderzył w gospodarkę niemiecką, uzależnioną od taniego rosyjskiego gazu płynącego gazociągiem Nord Stream, którego trzy z czterech nitek zostały wysadzone 26 września 2022 r. Nielekko mieli też Włosi oraz mieszkańcy Czech i Słowacji, uzależnieni od rosyjskich dostaw nie mniej niż Niemcy. Szybko okazało się, że największym importerem skroplonego rosyjskiego gazu jest Francja.

Dodajmy do tego opublikowany 18 maja 2022 r. strategiczny plan Unii Europejskiej o nazwie REPowerEU, którego głównym zadaniem miało być szybkie i trwałe uniezależnienie państw członkowskich od rosyjskich paliw kopalnych przed 2030 r. Jego realizacja miała kosztować ok. 300 mld euro.

Jeśli zsumujemy tylko te dwa ostatnie szacunki, okaże się, że państwa Unii Europejskiej, by jedynie złagodzić wzrost cen surowców energetycznych dla odbiorców, będą musiały wydać ok. 1 bln euro. A to nie koniec.

Odcięcie niemieckiego przemysłu chemicznego od dostaw taniego rosyjskiego gazu, wykorzystywanego też jako surowiec do produkcji amoniaku, nawozów sztucznych, wodoru, tworzyw i chemii bazowej, uderzyło w fundament tamtejszego modelu biznesowego, a właściwie go zdemontowało. Nagle okazało się, że ceny gazu w Europie są od trzech do pięciu razy wyższe niż w Stanach Zjednoczonych i Azji.

SKW Stickstoffwerke Piesteritz – największy w Niemczech zakład produkujący mocznik i amoniak – zmuszony był okresowo wstrzymywać i drastycznie ograniczać produkcję. Koncern BASF, by zredukować koszty stałe, zamknął w 2022 r. część własnych instalacji – w tym jedną z fabryk amoniaku, fabrykę kaprolaktamu (półproduktu m.in. do wyrobu tworzyw sztucznych) oraz zakłady nawozowe w Ludwigshafen, i zdecydował się na przeniesienie części kluczowej produkcji do Chin. Inwestycja w zakłady w Zhanjiang oznaczała dla niemieckiego koncernu wydatek ok. 10 mld euro.

Spadek produkcji chemicznej w Niemczech, który w roku 2022 wyniósł ok. 10-15%, był jednym z najgłębszych załamań w historii tej branży. Tysiące pracowników straciło zatrudnienie. I najważniejsze – zniknęła strukturalna przewaga kosztowa Niemiec. Okazało się, że konkurenci z USA i Bliskiego Wschodu mają dostęp do kilkukrotnie tańszego surowca. Skutki były dramatyczne. Gospodarka niemiecka po serii stagnacji i płytkich recesji w latach 2023-2024 nie może dojść do siebie.

28 lutego br. Stany Zjednoczone w ramach operacji „Epic Fury" wraz z Izraelem rozpoczęły zmasowane naloty na Iran. W odwecie Teheran zablokował cieśninę Ormuz, co oznaczało, że do odbiorców – głównie w Azji – nie trafi jedna piąta światowej produkcji ropy naftowej i skroplonego gazu ziemnego. Indie, Pakistan oraz inne państwa Dalekiego Wschodu musiały się zmierzyć z poważnym problemem braku drożejącego gazu ziemnego. Dla europejskich gospodarek był to kolejny po skutkach wojny w Ukrainie cios.

Gdy jedni tracą, drudzy zyskują. W Europie beneficjentem chaosu na Bliskim Wschodzie okazała się Norwegia, która posiada złoża ropy naftowej i gazu ziemnego na Morzu Północnym. Niespełna sześciomilionowy kraj tylko dzięki wzrostowi cen tych surowców zaczął dziennie zarabiać dodatkowo ok. 830 mln koron norweskich. Rząd w Oslo przypuszcza, że w tym roku przychody ze sprzedaży ropy i gazu sięgną 78 mld dol.

Nie mogą też narzekać międzynarodowe koncerny naftowe. W kwietniu br. brytyjski dziennik „The Guardian", powołując się na dane firmy analitycznej Rystad Energy, szacował, że mogą one liczyć dodatkowo na 234 mld dol. Największym beneficjentem ma być koncern Saudi Aramco, lecz znaczące zyski przypadną także zachodnim gigantom, takim jak ExxonMobil, Chevron i Shell. Oczywiście sporo zarobili również Rosjanie, gdyż prezydent Stanów Zjednoczonych

Think tank Bruegel AISBL szacował, że wsparcie rządów państw europejskich dla firm i gospodarstw domowych dotkniętych wzrostem cen ropy i gazu wyniesie 650-800 mld euro.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73be861abb

czasowo zawiesił sankcje nałożone na ich ropę.

Za to wysoką cenę płacą odbiorcy europejscy. Przy czym rozkład kosztów nie jest równomierny. Główny ciężar spadł jak zwykle na gospodarstwa domowe. Szok energetyczny roku 2022 i 2026 trwale podniósł koszt produkcji energochłonnej w Europie w stosunku do regionów mających tańszą energię – przede wszystkim Stanów Zjednoczonych (dysponujących tanim gazem łupkowym) i Chin.

Efektem tego jest zjawisko, które ekonomiści nazywają dezindustrializacją. Nie są to spektakularne zamknięcia fabryk, lecz stopniowe przenoszenie nowych inwestycji oraz mocy produkcyjnych i badań do Azji oraz Stanów Zjednoczonych. Amerykańska ustawa Inflation Reduction Act, oferująca hojne dotacje dla przemysłu nowoczesnych technologii, dodatkowo przyśpieszyła ten proces.

Dziś najbardziej narażone na kryzys sektory gospodarki europejskiej to przemysł chemiczny, metalurgiczny, produkcja szkła i cementu – czyli branże, dla których energia stanowi kluczowy składnik kosztów. Ich osłabienie ma efekt kaskadowy, gdyż są to dostawcy materiałów dla całej reszty przemysłu. Erozja ich konkurencyjności podnosi koszty w łańcuchach dostaw w przemyśle motoryzacyjnym, budowlanym, rolniczym i elektronicznym.

Na to jak dotąd europejscy politycy i przedsiębiorcy nie znaleźli lekarstwa. Co gorsza, wokół kwestii kosztów obu konfliktów zbrojnych dla społeczeństwa europejskiego nie toczą się nawet dyskusje.

Jaka będzie stawka?

Fakt, że nie dyskutujemy o kosztach obu wojen, nie jest przypadkiem. Politycy wiedzą, że jeśli rozłożymy koszt cienką warstwą na miliony obywateli, to żadna grupa nie będzie miała dostatecznej motywacji, by się zorganizować i wymusić pokazanie rzetelnego rachunku zysków i strat. Za to korzyści polityczne z prezentacji „twardego stanowiska", takie jak prestiż oraz poparcie zmobilizowanych elektoratów, są pewne. Dla nich zatem otwarta debata o kosztach to jak przypisanie sobie winy. Lepiej osadzić wojnę w ramach moralnych. Przedstawić ją jako obronę demokracji, prawa międzynarodowego czy obronę przed agresją, wypychając poza obszar debaty pytanie, ile nas to kosztuje i jak długo wytrzymamy. W tym przypadku osoby próbujące ustalić koszt wojny stają się niewygodne.

Poza tym publiczne mówienie o zmęczeniu społeczeństwa kosztami osłabia przekaz wysyłany przeciwnikowi. Dlatego milczenie na ten temat jest instrumentem strategicznym, który ma przekonać Moskwę i Teheran, że Zachód „stać" na prowadzenie wojny latami. Każdy zaś, kto będzie się domagał informacji o wydatkach związanych z wojną, musi się liczyć z oskarżeniem o „sprzyjanie Kremlowi".

Europejscy politycy robią wiele, by bilans poniesionych kosztów był rozmyty. Brak jednej, konkretnej „ceny wojny" znacząco ułatwia zadanie. Dzięki temu można przekierować uwagę opinii publicznej z ponoszonych kosztów na przyszłość. Tak stało się w Niemczech, gdzie gospodarka latami korzystała z taniego rosyjskiego gazu. W narracji niemieckiej klasy politycznej koszt wojny stał się elementem inwestowania w przyszłość. Zaczęto mówić o konieczności modernizacji, potrzebie budowy nowych terminali LNG, przyśpieszenia rozwoju odnawialnych źródeł energii i uniezależnienia się od rosyjskich dostaw.

W Polsce sięgnięto po inne rozwiązanie. W tym roku na szok paliwowy – gdy cena litra benzyny zbliżała się do 8 zł – rząd zareagował narzędziami fiskalnymi: obniżką VAT na energię (z 23% do 8%) i cięciem akcyzy, przy jednoczesnym sprzeciwie wobec zawieszenia systemu handlu emisjami.

W efekcie rząd ograniczył dochody fiskusa, unikając otwartej debaty rozliczeniowej na temat kosztów wojny. Polacy dostali ulgę przy dystrybutorach, co było politycznie wygodne, i nikt nie pytał, dlaczego cena benzyny tak mocno poszła w górę. Co będzie, gdy transze osłonowe znikną, a debata o cenach paliw i kosztach wojen w Ukrainie i Zatoce Perskiej wróci w mniej kontrolowanych warunkach? Wtedy szybko się okaże, że wspomniany 1 bln euro, który wydano w państwach Unii Europejskiej, by złagodzić odbiorcom wzrost cen gazu i benzyny, należy pomnożyć nie przez dwa, lecz przez cztery. A wtedy paląca stanie się kwestia, kto to będzie spłacał. Co gorsza, może być tak, że wydatki na zbrojenia i de facto uzależnienie się od nowych, droższych dostawców surowców energetycznych niczego nam nie zagwarantują i będziemy się czuć jeszcze bardziej zagrożeni.

Wojna w Ukrainie kiedyś się skończy, a wtedy może się okazać, że europejskie społeczeństwa nie są przygotowane na pokój. Zwłaszcza na jego koszty. Bo przecież trzeba będzie odbudowywać Ukrainę, co według ostatnich szacunków oznacza wydatek od 550 mld do 600 mld euro.

Marek Czarkowski

Europejscy politycy robią wiele, by bilans poniesionych kosztów był rozmyty.

Co będzie, gdy transze osłonowe znikną, a debata o cenach paliw i kosztach wojen w Ukrainie i Zatoce Perskiej wróci w mniej kontrolowanych warunkach?

eprasa.pl 73be861abb

NADCHODZI KRÓL PÓŁNOCY

Czy Andy Burnham zbawi państwo brytyjskie?

Andy Burnham po zwycięskich wyborach uzupełniających w Makerfield, 19 czerwca 2026 r.

Mateusz Mazzini

Być może najlepszym źródłem wiedzy, ale też przestrogą dla Andy'ego Burnhama i całej brytyjskiej Partii Pracy jest historia, która wydarzyła się dekadę wcześniej po drugiej stronie kanału La Manche. W 2012 r. prezydentem Francji został François Hollande. Technokrata z Partii Socjalistycznej, uznawany powszechnie za świetnego menedżera partyjnego, sprawnie manewrującego pomiędzy rozmaitymi, wrogimi wobec siebie frakcjami tego potężnego ugrupowania. Do Pałacu Elizejskiego wprowadzał się po latach rządów prawicy i choć mało kto widział w nim nowego Mitterranda, twórcę wielkiego, cywilizacyjnego wręcz projektu francuskiej lewicy, to jednak były podstawy, by sądzić, że Hollande wyprowadzi socjalistów z marazmu. Pięć lat później został ich grabarzem.

Dzisiaj nad tą historią przechodzi się do porządku dziennego. Od prawie dekady polityka francuska, a przez to i w dużej części europejska, jest kształtowana przez Emmanuela Macrona – człowieka spoza układu partyjnego, liberalnego antypolityka, centrowego populisty, który pod wieloma względami rzeczywiście zmienił realia francuskiej republiki. Wtedy jednak była to zmiana wręcz rewolucyjna, bo francuska Partia Socjalistyczna w dużej mierze zarządzała dyskursem publicznym nad Sekwaną nieprzerwanie od końca II wojny światowej. Była twardą jak skała, nienaruszalną siłą. Miliony członków, sprzyjające jej media, liczne związki zawodowe. Cała tożsamość klasowa stworzona wokół jednego ugrupowania. Zasługi starych polityków i legiony młodych intelektualistów. Taki kolos

> System, który od 120 lat był dwupartyjny, zmienia się właśnie w system pięcio-, a może i siedmiopartyjny.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 73be861abb

nie miał prawa upaść. Tymczasem nie dość, że się zawalił, to jeszcze bez wielkiego huku. Dzisiaj poparcie PS, jeśli jest liczone oddzielnie, poza szerokimi lewicowymi koalicjami, zamyka się w jednocyfrowych wynikach. Z 577 miejsc w parlamencie socjaliści kontrolują tylko 66. W 2017 r., kiedy Macron dochodził do władzy, popierany przez partię Benoît Hamon zdobył zaledwie 6,36% głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich. Era socjalistów we francuskiej polityce skończyła się wtedy definitywnie.

Zarządzanie upadkiem

Przytaczanie tej opowieści w kontekście obecnych kłopotów laburzystów na Wyspach i wyzwania stającego przed Andym Burnhamem (trzykrotnie wybieranym na burmistrza aglomeracji Wielkiego Manchesteru), nie jest przypadkowe. David Klemperer, brytyjski historyk i publicysta, na łamach magazynu „The New Statesman" stwierdził, że Partia Pracy znajduje się teraz w podobnym miejscu co francuscy socjaliści dekadę temu. Z najwyższego urzędu w kraju odchodzi partyjny technokrata, wewnętrzne frakcje rzucają się sobie do gardeł, a wokół wyrastają nowi, populistyczni rywale. Śmiertelne zagrożenie, nie tylko dla partii, ale i dla całej demokracji, nadciąga ze strony skrajnej prawicy, tam – spod znaku Marine Le Pen, tu – Nigela Farage'a. Tradycyjny elektorat lewicowy zaczyna się dzielić, dawna klasa pracująca w postindustrialnych okręgach przechodzi do radykałów, a wielkomiejska klasa średnia znajduje schronienie pod parasolem Zielonych, kierowanych przez charyzmatycznego, choć niedoświadczonego Zacka Polanskiego. Patrząc szerzej, cała scena partyjna przechodzi rewolucję kopernikańską.

System, który od 120 lat był dwupartyjny i zapewniał rotację u władzy – najpierw pomiędzy torysami a liberałami, potem między Partią Konserwatywną a Partią Pracy – przekształca się właśnie w system pięcio-, a może i siedmiopartyjny. Gdyby wybory do parlamentu odbyły się jutro, żadna partia nie zdobyłaby większości – i trend ten zapewne się utrzyma. Oznaczać to będzie, że brytyjska polityka trwale upodobni się do kontynentalnej i pomimo unikatowego, jednomandatowego systemu wyborczego będzie po prostu rządzić się logiką koalicji. O tyle to trudne, że na Wyspach nikt nie wie, jak koalicje zawierać.

Do tego należy dodać mizerny wzrost gospodarczy, niską produktywność, załamanie zaufania do instytucji publicznych i coraz wyraźniejszy radykalizm społeczny. Jak wynika z niedawno opublikowanego raportu sporządzonego przez Petera Hymana, byłego doradcę i speechwritera Tony'ego Blaira, aż 13% młodych Brytyjczyków, w wieku 16-24 lata, kwalifikuje się jako NEET – od Not in Employment, Education or Training – osoby, które się nie uczą, nie pracują i nie przysposabiają do żadnego zawodu. Pozostają poza systemem, bez perspektyw na przyszłość i bez poczucia sprawczości, panowania nad swoim życiem. Wzrost imigracji z krajów pozaeuropejskich wywołany brexitem napędził nastroje ksenofobiczne, a większość Brytyjczyków chciałaby dzisiaj wrócić do Unii Europejskiej, choć laburzyści nie wiedzą, jak mieliby to zrobić. Brytyjska opinia publiczna zdaje się także nie rozumieć, że przez 10 lat, które minęły od referendum brexitowego, cała europejska wspólnota bardzo się zmieniła. I że powrotu Wielkiej Brytanii zwyczajnie może nie chcieć.

Wobec tego wszystkiego rośnie niechęć do rządu w Londynie. Po dwóch latach premierostwa Starmer pozostawił też Burnhamowi konflikt pomiędzy gabinetem politycznym na Downing Street a służbą cywilną. Każdy, kto wie cokolwiek o brytyjskiej polityce i państwowości, zna rolę i wagę partyjnej biurokracji w funkcjonowaniu państwa. Mieć urzędników przeciw sobie, to skazać się na porażkę. Co w dużej mierze Starmer zresztą zrobił.

> Burnham nie popełnia grzechu pychy i rozumie, że koronacja bez szerokiego mandatu i poparcia przynajmniej w strukturach partii mogłaby się okazać zabójcza.

Mniej partii, więcej ludzi

Tak z grubsza wygląda polityczny, społeczny i gospodarczy krajobraz Wielkiej Brytanii, którą niebawem może rządzić Andy Burnham. Człowiek, który na to stanowisko namaścił się sam, już ubiegłej jesieni mówiąc na konferencji partyjnej laburzystów, że jest gotowy im przewodzić. Przyjazny, dobrze komunikujący się w internecie mężczyzna w okularach i koszulce polo, ma doświadczenie rządzenia w miejscu, w którym Reform UK od lat zyskuje poparcie. Zwolennik decentralizacji, który już w pierwszym wielkim przemówieniu po rezygnacji Starmera zapowiedział, że zamierza stworzyć „Downing Street 10 na północy kraju", co ma być symbolem chęci uprawiania dużej polityki bliżej wyborców. To oczywiście czysty populizm, bo Burnham takimi słowami próbuje pogodzić ogień i wodę. Przez lata był tym „dobrym samorządowcem", broniącym swoich wyborców „przed złym, odległym, zaborczym Londynem". Na tym się zbudował, chociażby w pandemii koronawirusa, gdy rząd kierowany przez Borisa Johnsona nie mógł się zdecydować, jaką politykę chce prowadzić i reżim sanitarny jest konieczny. Problem w tym, że przenosząc się na Downing Street, Burnham sam teraz będzie tym „złym Londynem" i żadne zabiegi retoryczne ani technokratyczna kosmetyka w postaci otwierania delegatur Westminsteru nie zmienią tego dość oczywistego faktu.

Nie da się przewidzieć, jakim premierem będzie Andy Burnham. To, że nim zostanie, jest już raczej przesądzone. Partia Pracy szykuje się do wyborów nowego przewodniczącego, choć będzie to elekcja wyłącznie nominalna. Nikt zapewne nie rzuci mu rękawicy – burmistrz Manchesteru zostanie wybrany niejako przez aklamację. Co nie zmienia faktu, że

eprasa.pl 73be861abb

akurat Burnham nie popełnia grzechu pychy i doskonale rozumie, że koronacja bez szerokiego mandatu i poparcia przynajmniej w strukturach partyjnych szybko mogłaby się okazać zabójcza. Wszak nie można zapominać, że nie będzie miał legitymacji do rządzenia pochodzącej z wyborów powszechnych. Starmer ją miał, bo każdy w 2024 r. wiedział, że głosując na laburzystów, właśnie jego winduje na stanowisko premiera. Tą kartą gra zresztą Nigel Farage, domagając się już teraz rozwiązania parlamentu i przeprowadzenia przyśpieszonych wyborów.

Burnham doskonale o tym wie, bo zarówno on, jak i jego zespół walczą o powszechną akceptację na lewicy i przekonanie wyborców oraz aktywu partyjnego do swoich pomysłów. Szczegółowo opisała to Ailbhe Rea, publicystka polityczna „New Statesmana", w reportażu przedstawiającym kulisy działalności sztabu Burnhama. Pokazała, że trzytygodniowy okres między rezygnacją Starmera a pierwszą datą (16 lipca), kiedy Burnham może zostać wybrany na szefa partii i premiera, cała ekipa stara się spędzić w trybie kampanijnym, tak jakby konkurencyjne wybory miały się rzeczywiście odbyć. Codziennie dwa briefingi – rano i wieczorem. Dyskusje na temat pomysłów programowych i polityki personalnej. Sprawna komunikacja z mediami. Inteligentne, przynajmniej zdaniem autorki reportażu, korzystanie z zewnętrznych doradców.

Nad tym ostatnim elementem wyliczanki warto się pochylić, bo wiele mówi on o potencjalnym rządzeniu Burnhama. Kandydat na premiera chce być bardziej koncyliacyjny, czego dowód dał we wspomnianym już manchesterskim przemówieniu z 29 czerwca. „Mniej partii, więcej ludzi. Mniej Londynu, więcej innych miejsc. Mniej patrzenia na rankingi, więcej zmiany działania państwa" – to główne tezy z jego wystąpienia. Nikt na brytyjskiej lewicy nie ma wątpliwości, że pisał je sam. Ale – zwraca uwagę Ailbhe Rea – zauważyć trzeba jeszcze jeden detal. Ani w kampanii przed czerwcowymi wyborami uzupełniającymi w okręgu Makerfield, ani w ostatnich wywiadach Burnham nie mówił nic o Reform UK i Farage'u. O torysach wspomniał raz, i to w przyjaznym kontekście, chwaląc za rozwiązania wdrożone w samorządach na północy kraju. Nie ulega wątpliwości, że przyszły premier Wielkiej Brytanii chce przede wszystkim zająć się sobą i rządzeniem, a nie wyścigiem na obelgi i retoryczny populizm w internecie.

Państwo ma działać

Gotów jest też wziąć za to odpowiedzialność, bo od Starmera różnią go dwie zasadnicze cechy. Po pierwsze, w przeciwieństwie do poprzednika, pozbawionego charyzmy prawnika od praw człowieka, który swoje myślenie polityczne delegował na szefa personelu Morgana McSweeney'a, Burnham ma dla Wielkiej Brytanii bardzo konkretną wizję. I umie ją wyartykułować. Opiera się ona na dalszej decentralizacji, wzmocnieniu lokalnych struktur gospodarczych, zerwaniu z neoliberalnymi doktrynami ekonomicznymi i zmianie wizerunku państwa – na takie, które działa, przynosi realne korzyści obywatelom. Do tego stopnia, że nie trzeba go zastępować prywatnymi korporacjami, o czym marzy dziś reakcyjna prawica spod znaku MAGA, pompująca kapitał polityczny i finansowy w Farage'a.

Po drugie, Burnham nie boi się wziąć odpowiedzialności za realizację tej wizji. Artykułuje ją klarownie – również dlatego, że jest pierwszym w historii brytyjskiego państwa premierem absolwentem filologii angielskiej. Przyznaje się, że jest fanem poezji, a jego ulubioną powieścią jest XIX-wieczne monumentalne dzieło „Miasteczko Middlemarch" autorstwa Mary Ann Evans – epopeja uznawana za najlepszy w historii opis brytyjskiego życia społecznego. Te szczegóły mają znaczenie, bo akurat zdolność doboru słów i panowania nad przekazem jest jednym z uniwersalnych praw polityki, obowiązujących od początku jej istnienia. Wiadomo też, że wszystko w ewentualnym rządzie Burnhama będzie wychodziło bezpośrednio od niego, co ma oczywiście dobre i złe strony. W bieżącym kontekście politycznym, przy roztrzęsionej, wewnętrznie osłabionej Partii Pracy skonstruowanie sworznia, który łączyłby wszystkie decyzje, zadziała niemal jak koło ratunkowe.

Burnham pod tym względem porównywany jest do Margaret Thatcher czy Tony'ego Blaira. Helen Lewis, brytyjska dziennikarka związana z magazynem „The Atlantic", zauważa, że za rządów tej dwójki każdy urzędnik średniego szczebla w każdym ministerstwie wiedział, czego premier oczekuje w danej kwestii bądź na konkretnej płaszczyźnie polityki. Ze Starmerem było odwrotnie – panowała koncepcyjna pustka, a poczucia schyłku i kryzysu nikt nawet nie próbował przełamywać. Zamiast tego – zarządzano nim. Burnham, który już teraz otacza się m.in. doradcami z Nowej Zelandii, odpowiedzialnymi za sukcesy lewicowej premier Jacindy Ardern, zdaje się politykiem, który wie, czego chce.

> Burnham zdaje się być politykiem, który wie, czego chce.

To ważna cecha i dobry omen, ale do rozwiązania problemów trapiących Wielką Brytanię może nie wystarczyć. Wyspy Brytyjskie stały się bowiem laboratorium dyskusji nad sensem istnienia partii politycznych i państwa administracyjnego we współczesnym kształcie. Dlatego Burnham musi swoim wyborcom powiedzieć nie tylko, po co został premierem, ale i po co ma istnieć cała Partia Pracy. Kogo dziś reprezentuje? O co walczy? Jakie postulaty chce wcielić w życie? W epoce rozpadu więzi społecznych, zaniku wspólnych przestrzeni i kolektywnych form reprezentacji odpowiedź na te pytania jest znacznie ważniejsza niż sprawność retoryczna, poprawny wizerunek publiczny, dogadanie się z urzędnikami czy nawet pokonanie skrajnej prawicy.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 73be861abb

Restauracja na wileńskim Zarzeczu.

Korespondencja z Litwy
Tomasz Otocki

Wbrew polityce

Wakacje na Litwie

Litewski Sejm 30 czerwca zatwierdził Mindaugasa Sinkevičiusa na urząd nowego premiera. Były mer rejonu janowskiego i świeżo upieczony przewodniczący socjaldemokracji będzie już trzecim szefem rządu w tej kadencji Sejmu, która najwyraźniej szczęścia do premierów nie ma.

Kilka tygodni wcześniej Litwa żyła atakiem dronów i zastanawiała się, czy wpłynie to tak samo źle na turystykę, jak stało się w łotewskiej Łatgalii. Mieszkańcy nadbałtyckiej republiki podkreślają jednak, że nie takie rzeczy przeżyli i zapraszają polskich turystów na tegoroczne wakacje.

Nie bać się dronów

Rozmawiam z prof. Andrzejem Puksztą, kierownikiem Katedry Politologii na Uniwersytecie Witolda Wielkiego w Kownie. Pytam o to, czym Litwa będzie żyła tego lata.

– Pomimo zmiany rządu nadal żyjemy sprawami obronności i bezpieczeństwa. Kwestią wiodącą jest zachowanie amerykańskiej obecności wojskowej na Litwie, jak również sprawna współpraca z Niemcami w kwestii rozlokowania brygady niemieckiej na Litwie. Na Litwie ciągle jest wielka chęć pomocy walczącej Ukrainie – informuje mnie profesor i działacz polskiej społeczności na Litwie.

W połowie maja lokalną ludność zelektryzowało wysłane na telefony komórkowe ostrzeżenie o ukraińskim dronie, który wleciał na Litwę. W wyniku alertu mieszkańcy Wilna na kilka godzin uciekli do schronów, został zatrzymany transport. Do schronów trafili także ma moment prezydent Gitanas Nausėda oraz ówczesna premierka Inga Ruginienė. Zawieszono loty z międzynarodowego lotniska w Wilnie, wstrzymano ruch pociągów.

Z lotniskiem w Wilnie w ciągu ostatnich miesięcy było więcej problemów, głównie z powodu „balonów przemytniczych" wypuszczanych przez Aleksandra Łukaszenkę w stronę Litwy. Znajomemu, który uczestniczył w listopadzie w ważnej konferencji w Kownie, odwołano lot z Wilna do Stambułu. Takich przypadków było bardzo wiele. – Odwołali mi wycieczkę ze Szczecina, organizatorzy przestraszyli się dronów wpadających na terytorium Litwy – zdradza Jan Boguszko, polski przewodnik po Wilnie. Twierdzi jednak, że ani drony, ani upały, które dotknęły pod koniec czerwca Litwę – w Wilnie notowano ok. 35 st. C – nie są mu straszne.

Prof. Andrzej Pukszto podkreśla, że nie ma czego się bać, sytuacja jest pod kontrolą. Politycy także radzą, by nie histeryzować i przyjeżdżać tego lata na Litwę, która nawet nie graniczy z Ukrainą, gdzie toczy się wojna.

Kurorty i SPA

Co można latem robić w kraju nad Wilią? Przede wszystkim schłodzić się nad wodą. – Litwa ma prawie 100 km wybrzeża, zaczynającego

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73be861abb

się od granicy z Rosją i ciągnącego aż po łotewską Kurlandię, sanatoria w Druskiennikach, Birsztanach i Połądze, liczne SPA, jeziora, rzeki. Polscy turyści najczęściej trafiają do Wilna. Do zachodniej Litwy zapuszczają się o wiele rzadziej. Ostatnio Polskie Radio przypomniało o tym, jak budowaliśmy w XIX w. „nadbałtyckie Zakopane", czyli nadmorską Połągę, własność rodziny Tyszkiewiczów. Do dziś jest to najpopularniejszy kurort nadmorski Litwy z pięknymi, drewnianymi willami, ciekawymi muzeami i plażami pełnymi bursztynu. Ten ostatni doczekał się tutaj nawet muzeum w dawnym pałacu Tyszkiewiczów. Niestety, w wakacje kurort jest mocno przeciążony. Litewscy znajomi narzekają, że ceny w Połądze skoczyły tak mocno, że bardziej opłaca im się polecieć do Chorwacji czy Czarnogóry. Ale dla Polaka, który nigdy nie był na litewskim wybrzeżu, Połąga, do której w XIX w. jeździł Adam Mickiewicz, to gratka.

Zaraz obok znajduje się Kłajpeda, dawny niemiecki Memel, z piękną starówką, przypominającą tę w Olsztynie, będącą punktem wypadowym na Mierzeję Kurońską, której perłą jest Nida. To malutkie miasteczko w dawnych Prusach Wschodnich upodobał sobie autor „Buddenbroków". Trafimy tutaj na dom Tomasza Manna (Muzeum Pamięci Thomasa Manna). Co roku w lipcu odbywa się tu festiwal, którego patronem jest niemiecki twórca.

Wilno zachowało wciąż klimat starej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Dużą gafą podczas wakacyjnych podróży byłoby pominięcie Druskiennik leżących przy granicy z Polską, związanych z historią Józefa Piłsudskiego i jego lekarki Eugenii Lewickiej. Można się tutaj zatrzymać w pięknie odnowionej willi, luksusowym SPA (ceny o wiele niższe niż w Połądze, bo nie ma morza), albo – jeśli nasz budżet jest mniejszy – w Domu Polskim, prowadzonym przez prezeskę Związku Polaków na Litwie Teresę Igumnową.

Zielona stolica

Nie oszukujmy się jednak – ci Polacy, którzy po raz pierwszy trafią na Litwę, pojadą głównie do Wilna i Kowna, a więc do dwóch najważniejszych miast mających bardzo ciekawą historię. Wilno – przed wojną siedziba polskiego wojewody, od 1939 r. ponownie stolica Litwy, miasto romantyzmu i barokowych kościołów, Kowno – tymczasowa stolica w międzywojniu, gdy toczyliśmy polsko-litewskie spory, dziś reklamująca się jako miasto modernizmu, wpisane na międzynarodową listę UNESCO.

Litwa ma prawie 100 km wybrzeża, sanatoria w Druskiennikach, Birsztanach i Połądze, liczne SPA, jeziora, rzeki.

Rozmawiam z przewodniczką po Wilnie Dorotą Lewko. Pytam, co najbardziej interesuje polskich turystów w stolicy Litwy. Tutaj zaskoczenia nie ma. – Na pewno historia związana z romantyzmem, twórcą „Pana Tadeusza" i „Dziadów" – Adamem Mickiewiczem. Albo takie postaci jak Stanisław Moniuszko. Cmentarz na Rossie, gdzie pochowane jest serce Józefa Piłsudskiego – wylicza polska przewodniczka, która poleca także bardziej odległe od starówki dzielnice Wilna: Zwierzyniec czy leżące po drugiej stronie rzeki Wilii Śnipiszki nazywane wileńskim Manhattanem. Stare, rozwalające się drewniane chaty sąsiadują tam z pnącymi się wysoko biznesowymi budynkami ze szkła.

– Wilno jest miastem zielonym, mamy tutaj niezliczoną liczbę parków. Sam Park Zakret liczy ponad 160 ha. Polecam także Ogród Bernardyński oraz liczne skwery, które powstały po wyburzeniach. Jeśli wejdziemy na dzwonnicę Kościoła św. Janów, uświadomimy sobie, jak bardzo zielone jest Wilno – próbuje zarysować mi sytuację Dorota Lewko. Od jakiegoś czasu rzeką Wilią kursuje tramwaj rzeczny oraz statek wycieczkowy Ryga. Można tutaj także popływać kajakiem.

Przewodniczka mówi o powojennych wyburzeniach. Pierwotnie miało być ich więcej, a przez centrum starówki miała biec aleja Józefa Stalina, jednak na szczęście udało się tego uniknąć. Na starówce gdzieniegdzie widać, podobnie jak w innych częściach miasta, socrealizm, ale Wilno zachowało wciąż klimat starej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Zniszczeń z okresu II wojny światowej, która na Litwie naznaczona była sowietyzacją, deportacjami na Sybir i Holocaustem, nie da się porównać z tym, czego doznały polskie miasta.

Historia dla starych, nowoczesność dla młodych

– Panie Tomaszu, nie daj Boże znaleźć się w więzieniu, ale jeśli już tak się zdarzy, niech to będą Łukiszki – żartuje Dorota Lewko. Od kilku lat kompleks starego carskiego więzienia, które działało zarówno w okresie II Rzeczpospolitej, jak i w czasach radzieckich, otwarty jest dla zwiedzających. W lokalnej knajpie można napić się piwa (a Litwa ze swych „alusów" słynie), pójść na koncert, wreszcie zorganizować sobie małe zwiedzanie. Jeszcze kilka lat temu na Placu Łukiskim działała plaża, którą kazał usypać liberalny mer Wilna Remigijus Šimašius, ale jakiś czas temu ją zamknięto. Budziła zresztą kontrowersje – jak można się opalać w miejscu, gdzie wieszano kiedyś powstańców styczniowych?

Przewodnik Jan Boguszko wskazuje, że są dwie grupy turystów polskich odwiedzających Wilno. Pierwsza to średnie i starsze pokolenie zainteresowane polskimi śladami, które najczęściej przyjeżdża ze zorganizowaną wycieczką. Mają świadomość tego, kim byli Mickiewicz, Moniuszko, Słowacki. Druga grupa to młodzież szukająca miejsc w Europie na city breaks (krótki wyjazd

eprasa.pl 73be861abb

weekendowy). W ten sposób trafia także do Wilna, a niedługo takich turystów będzie więcej, bo wreszcie wróciły tanie linie lotnicze na Litwę z Krakowa i Gdańska. Młodych historia już tak bardzo nie interesuje, dla nich dyskusje o okupacji Wilna to bajki „o żelaznym wilku". Swoją drogą, „żelazny wilk" – „geležinis vilkas", to bohater litewskiej legendy o założeniu Wilna. Samo miasto niedawno obchodziło zaś 700 lat istnienia.

Jan Boguszko przytacza anegdotę o tym, jak niewiele młodzi wiedzą o wspólnej polsko-litewskiej historii. – Gdy mówiłem im o polonezie Ogińskiego, to niektórzy z nich zaczęli mnie na serio pytać, czy to ten od wódki – uśmiecha się Jan Boguszko, który jednak życzyłby sobie, by Polacy wiedzieli więcej o Litwie.

Litwy radzieckiej były tu fabryki, które później wyburzono i stworzono ciekawe miejsce do wypoczynku. Znajduje się tutaj rynek, targowisko, kino, kawiarenki i restauracje, gdzie ludzie mogą napić się kawy albo coś zjeść. Polecam miejscową rzeźbę orangutana w wannie – zdradza Dorota Lewko.

O wiele więcej instalacji artystycznych ma wspomniane już Zarzecze. Jest choćby pomnik Antoniego Wiwulskiego, twórcy wileńskich Trzech Krzyży i krakowskiego Pomnika Grunwaldzkiego, który przedstawia zawieszony na ścianie płaszcz. Na Zarzeczu, które wita nas tablicą w kilku, używanych do 1939 r. w Wilnie językach, w tym w języku jidysz, zobaczymy także pomnik Jezusa Frasobliwego zbudowany z zardzewiałych rur, a także Chrystusa pielgrzymującego z plecakiem. Symbolem tego miejsca jest też Anioł, który głosi światu wieść o odrodzeniu rejonu Zarzecze oraz wolności twórczej. Podobno wykluł się z kamiennego jaja, które wcześniej ozdabiało plac.

Zarzecze (lit. Užupis) wciąż jest niezależną republiką artystów mającą swój własny rząd i konstytucję spisaną w kilkudziesięciu językach.

Młodzi z pewnością pójdą do Muzeum MO. Wbrew nazwie nie jest to żadna instytucja milicyjna, tylko muzeum sztuki współczesnej, które przyciąga zwiedzających z całej Europy. Kto interesuje się Wilnem jako „Jerozolimą Północy", może z kolei odwiedzić położone niedaleko Państwowe Muzeum Żydowskie im. Gaona Wileńskiego, które w samym Wilnie ma kilka oddziałów.

Republika artystów

Dorota Lewko radzi także wybrać się na Zarzecze (lit. Užupis), które wciąż jest niezależną republiką artystów mającą swój własny rząd i konstytucję spisaną w kilkudziesięciu językach, w tym oczywiście po polsku. Ciekawym rejonem miasta są Popławy (lit. Paupys), gdzie w czasach radzieckich mieściło się muzeum Dzierżyńskiego, po którym nie został już żaden ślad. Ulica Kalwaryjska w innej części miasta jest znowu ulicą Kalwaryjską, nie patronuje jej już od 1989 r. założyciel Czeki – Litwini „umieli w dekomunizację" kilka dekad wcześniej, zanim zaczęli robić to Ukraińcy.

– Popławy są położone blisko Zarzecza, oddziela je rzeka. W czasach

Coś dla ciała

Kiedy nas zmęczy zwiedzanie, można usiąść na moment i napić się kawy w jednej z miejskich kawiarni. Są w Wilnie sieciówki, są także bardziej urokliwe miejsca, takie jak choćby legendarna cukiernia Konrada przy ul. Zamkowej. Niedaleko znajduje się Dom Sygnatariuszy Aktu Niepodległości Litwy z 1918 r., w którym także można się napić kawy – w końcu w czasach polskich mieściła się tutaj słynna wileńska kawiarnia Biały Sztrall.

Litwa to jednak niekoniecznie kawa – chyba, że ta z żołędzi – do której warto zamówić kawałek sękacza albo deseru z rokitnika, ale przede wszystkim potrawy obiadowe.

Jan Boguszko wspomina o cepelinach przypominających polskie kartacze, kołdunach, blinach żmudzkich i kiejdańskich. Na letnią pogodę nada się oczywiście chłodnik litewski, w lokalnym języku zwany „zimnym barszczem", (lit. šaltibarščiai). Schłodzić się można także różnego rodzaju kwasami podawanymi albo z butelki, albo z nalewaka (często z rodzynkami). Wreszcie jest także słynne litewskie piwo, zwane alusem.

Jak kształtują się ceny na Litwie?

– Ceny żywności są o jakieś 20-30% wyższe niż w Polsce. W restauracjach, barach, kawiarniach polskiego turystę mogą zdziwić dużo mniejsze porcje. Ceny hoteli i wycieczek tradycyjnie też są wyższe. Generalnie o jakieś 10% – mówi Wiktor Zapolski, Polak z Wilna, podróżujący jednak także po innych regionach kraju. – Na Litwie karmią o wiele oszczędniej niż w Polsce. Wielkości porcji w Polsce mnie powalają, nie potrafię zjeść jednocześnie zupy i drugiego dania.

A ceny benzyny?

– Ceny są na poziomie polskich. Ja akurat zawsze preferuję samochód, bo człowiek jest mobilny i zawsze można zajrzeć do każdego zakamarka kraju, a w razie potrzeby na bieżąco zrobić jakieś korekty w podróży – mówi Zapolski.

Nie tylko Wilno

Warto jechać na Litwę nie tylko dla Wilna czy wspomnianych na początku artykułu kurortów. Ciekawe jest także Kowno. Reklamuje je lokalny Polak Jan Januszas, który rekomenduje na spacer Aleję Wolności, czyli prawie dwukilometrowy, zielony deptak wolny od ruchu samochodowego, idealny na kawę lub tradycyjnego pączka serowego w kultowej, niezmienionej od czasów radzieckich pączkarni Spurginė.

Drugie co do wielkości miasto Litwy może poszczycić się także śladami polskimi: obok barokowego Kościoła św. Franciszka Ksawerego znajduje się budynek dawnego kolegium jezuickiego, gdzie mieszkał i pracował jako nauczyciel Adam Mickiewicz.

W Kownie nie uciekniemy jednak od modernizmu, który ukształtował to miasto, podobnie jak wybudowaną w tym samym okresie Gdynię. To jednak temat na zupełnie odrębną opowieść.

Tomasz Otocki

eprasa.pl 73be861abb

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Wróblowe wzgórza

Nie chcę o polityce, mam dosyć! Napiszę więc o Wróblewie, projekcie Sparrow Hills Estate of Happiness, warto tam zajrzeć choćby w internecie. Wróblewo, wieś w powiecie poznańskim, pałac z połowy XIX w. Jesteśmy już blisko, ale ta wieś niedaleko Poznania wydaje nam się jednak podejrzana. Co gorsza, mieszkaniec mówi, że tu żadnego pałacu nie ma. Tak to jest, jak się ufa ślepo nawigacji.

Właściwe Wróblewo jest po drugiej stronie Poznania. Jedziemy najpierw opłotkami, wybaczając nawigacji, nie mamy zresztą wyjścia. Już nie potrafimy czytać papierowych map i nawet ich nie mamy. Małe, smutne wsie, szpetne miasteczka. Nie ma biedy, jest dostatek, ale i dojmująca brzydota architektury odziedziczonej po PRL. Nieutalentowane dziecko ładniej by kreśliło fasady domów. A przecież kreślili je na deskach kreślarskich architekci i nawet im za to płacono. Znowu na autostradę – i wraca Europa. I duma ze skoku cywilizacyjnego, jaki zrobiliśmy. A ta szpetna Polska głosuje zwykle na skrajną prawicę, im głupiej i brzydziej, tym bardziej prawicowo…

Pałac z 1864 r. – niedawno w ruinie, teraz perła architektury. Zachwycające wnętrza. Na ścianach dobre malarstwo, jest obraz znakomitej Małgorzaty Mirgi-Tas. Apartamenty dla gości ogromne, każdy urządzony w innym stylu, też z obrazami. Dostajemy z żoną osobne obszerne komnaty, to tu obowiązkowe. Wypieszczony park, duży basen. Pałac stoi na wzgórzu, w neorenesansowych oknach krajobrazy jak w Toskanii. Raj na ziemi dla kogoś, kto ceni piękno i luksus. Posiłki przyrządza kucharz geniusz. Opowiada o nich po angielsku, zanim je zaserwuje. Jest nas zaledwie ośmioro, piękna czteroosobowa rodzina z Nowego Jorku, miły człowiek ze Sztokholmu i Niemiec mieszkający w Meksyku. Nie powinno się używać telefonów ani komputera.

Amerykanie i meksykański Niemiec wyglądający jak podstarzały hipis zdecydowali się na doświadczenie mroku. Zamknięci na trzy dni w gustownych indywidualnych bunkrach, nawet bez promyczka światła. Podobno niezwykłe doświadczenie, a przecież tak czasami torturuje się ludzi. Co bywa torturą, może być ciekawym doświadczeniem, gdy jest z wyboru. W pałacu zatem przez trzy dni tylko nasza trójka. Polski Szwed, uroczy człowiek – okazuje się, nie do wiary, że znałem w Sztokholmie jego matkę – świat jest mały. Ma dzisiaj 90 lat, niestety pisówka – mówi jej syn, o tym teraz zawiadamia się jak o chorobie.

My będziemy bezwzględnie milczeć przez trzy dni, ani mru, mru… Dwa razy w ciągu dnia joga i ćwiczenia oddechowe. Tylko dla naszej trójki pracuje w wielkim milczeniu cały pałac. Służba nieliczna i też milcząca. Są, a jakby ich nie było, wszyscy zdają się chodzić na palcach z palcem na ustach. Nie szczekają dwa przypałacowe psy. Milczy bocian Alfred, który przechadza się dostojnie obok basenu. Co za ulga te dni. Świat jest zagadany. Milczenie jest złotem. W pałacu rozłożone są karteczki z długopisami, by można było coś zakomunikować. Ciekawe, że jak się wejdzie w konwencję milczenia, jej złamanie słowem jest równie nieestetyczne i haniebne jak pewna czynność fizjologiczna w salonie. Gdyby tak Polska pomilczała trzy dni, jaka to byłaby ulga. A gdyby tak świat… Milczenie zamiast wilczenia. Słowa nas niepokoją, prowokują konflikty. Przed nami była cisza, po nas będzie cisza, a pośrodku nasza planeta – na niej trudny do zniesienia zgiełk.

Co za ulga te dni. Świat jest zagadany. Milczenie jest złotem.

Amerykańska rodzina i meksykański Niemiec wychodzą po trzech dniach z mroku i nie zwariowali. Doceniają barwy świata. Zjawia się znana uzdrowicielka, elegancka pani, za to trzeba dopłacić. Za darmo bym się dał uzdrowić. Potem uzdrowicielka już w ramach pobytu robi dla nas godzinny seans z gongami. Nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

Spotkanie z Wojciechem Szczepaniakiem, właścicielem projektu Estate of Happiness – rozmawiamy w pięknym pokoju bibliotecznym. W średnim wieku, bezpośredni i miły, na stałe mieszka teraz w Szwajcarii. Pytam, kto był projektantem wnętrz. Lady Henrietta Spencer-Churchill, spokrewniona z tymi Spencerami od Diany i tymi od tego Churchilla. Stąd tyle tu dobrego gustu.

Makieta, na której widać plany rozwoju ośrodka. Liczne ceglane budynki gospodarcze, stara gorzelnia – będą remontowane; korty tenisowe, konie, lądowisko dla helikopterów, przewidziane lotnisko. Właściciel prosi o pomoc, mówi, że dostaje setki książek, ale nie wie, co warto czytać, czy mogę mu coś nowego i ciekawego polecić? Bezczelnie odpowiadam: „Jak najbardziej, poślę panu moją książkę”. Myślę: ta oaza piękna, spokoju i medytacji to też ta nowa, lepsza Polska. Tej szukamy wbrew tym, którzy teraz chcą ją nam zeszpecić. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 73be861abb

Przełomy i samotna aktorka

46. Warszawskie Spotkania Teatralne miały kłuć, proponując teatr, który nie pozostawia widza obojętnym

Tomasz Miłkowski

Na afiszu znalazło się 16 spektakli, w tym kilka zagranicznych i dwa studenckie. Wszystkim towarzyszyło hasło „Przełomy" sugerujące, że mamy do czynienia z teatrem, który inspiruje zmiany w otaczającym nas świecie.

Program WST zawsze budowany był z tego, co proponują teatry, więc siłą rzeczy był lustrzanym odbiciem tego, co widać na scenach. Czerwcowa 46. edycja ukazała teatr silnie zakotwiczony we współczesności, który jednak źródeł bieżących konfliktów i niepokojów poszukuje w przeszłości, często nierozliczonej, nieprzepracowanej i niezrozumianej. Prawie wszystkie spektakle odnosiły się do wydarzeń sprzed lat, tylko jeden, „Pokój", wybiegał horyzontem czasowym w przyszłość. Wszystkie zarazem, niezależnie od tego, czy ich kanwą były dawne wydarzenia, czy toczyły się w czasie niedookreślonym albo przyszłym, czy to w Argentynie, czy w Niemczech, czy w Polsce, silnie rezonowały ze światem zza okien. Spotkania potwierdziły, że teatr czuje puls współczesności i potrafi nadać temu odczuciu oryginalny rys formalny. Jak tego dokonuje?

Po pierwsze, stawia pytanie, kim był i kim jest artysta

Jak w „Piramidzie zwierząt" Michała Borczucha (Narodowy Stary Teatr), nawiązującej tytułem do słynnej pracy dyplomowej Katarzyny Kozyry, instalacji z wypchanych ciał zwierząt: konia, psa, kota i koguta. Artystkę zainspirowała baśń braci Grimm „Muzykanci z Bremy", a jej przesłaniem był zakodowany w pracy protest przeciw zabijaniu i towarzyszącej zabijaniu hipokryzji. Zrozumiano ją opacznie. Gwałtowne protesty, które towarzyszyły udostępnieniu tej pracy wraz z zapisem wideo zabijania konia przeznaczonego do wypchania, stały się klinicznym dowodem zakłamania w podejściu do zabijania zwierząt.

O tym opowiada spektakl, szerzej ukazujący artystów wyrosłych głównie w kręgu pracowni rzeźby prof. Grzegorza Kowalskiego w warszawskiej ASP. Borczuch wyraźnie sięga do „Factory 2" Krystiana Lupy, opowieści o nowojorskiej bohemie, wystawianej w tym samym Narodowym Starym Teatrze (2008).

Pojawia się w „Piramidzie zwierząt" m.in. Zbigniew Libera, guru sztuki krytycznej, którego zdanie „artysta nie może być odpowiedzialny" mogłoby stanowić podtytuł tego przedstawienia o roli sztuki w świecie współczesnym (czasem ukazywanej też w krzywym zwierciadle, z przekąsem). Przy czym wbrew pozorom spory o granice wolności artystycznej wcale nie ustały, a strofowanie niegrzecznych artystów weszło w krew nie tylko krytykom, ale i politykom.

Spektakl należy do najlepszych realizacji Borczucha, najbardziej domyślanych w warstwie wizualnej (wymowna transmisja z podróży pociągiem z Krakowa do Trójmiasta wsysa widza w rytm tej opowieści), precyzyjnie skonstruowanych. Czasem irytujący powolny bieg akcji ma swoje istotne walory – pozwala na dystans i refleksję. Aktorskie dopracowanie rysunku postaci i sytuacji oraz wyraźne oddanie rolom (szczególnie zwraca uwagę otwierający spektakl przeszło półgodzinny monolog Małgorzaty Zawadzkiej w roli Katarzyny Kozyry) dodaje całości smaku. Przy czym wcale nie trzeba głęboko orientować się w hierarchiach i zjawiskach sztuki współczesnej, aby odczuć sugestywnie odtworzony klimat lat 90. i niebudzącą wątpliwości deklarację teatru i reżysera, że szuka pozbawiona wolności karleje, że przywoływana do porządku – przestaje być sztuką.

Po drugie, teatr zmaga się z tajemnicami przeszłości

Jak w „Sprawie Davida Frankfurtera" Marcina Wierzchowskiego (Teatr Wybrzeże), w której reżyser sięgnął do tragedii pasażerów statku Wilhelm Gustloff, storpedowanego w ostatniej fazie wojny, gdy przewoził z Gdyni do Kilonii niemieckich uciekinierów z Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego.

Wierzchowski połączył tę tragedię z zamachem na nazistowskiego funkcjonariusza Wilhelma Gustloffa w szwajcarskim Davos (3 lutego 1936 r.), na którego życie targnął się chorwacki Żyd, i ze zdumiewającą rekonstrukcją tego zdarzenia po wielu latach w niemieckim Schwerinie (20 kwietnia 1997 r.), dokonaną przez dwóch nastolatków.

W pierwszej części spektakl koncentruje się wokół zamachu i jego rekonstrukcji, kiedy na sali sądowej spotykają się rodzice uwikłanych w tę rekonstrukcję chłopców. W części drugiej reżyser przenosi nas w atmosferę zagrożenia nocy poprzedzającej rejs statku. Istotą tej opowieści pozostaje zaś trudny do wyjaśnienia mechanizm utożsamienia potomków niegdysiejszych ocalałych uciekinierów z ich traumami i dziedzictwo nienawiści, któremu niełatwo się przeciwstawić. Jak w innych inscenizacjach Wierzchowskiego na czoło wysuwa się motyw zaklętego kręgu następstw dawnych grzechów, powtarzanych w kolejnych generacjach, i pytanie o szansę przezwyciężenia narosłych latami uprzedzeń i stereotypów.

eprasa.pl 73be861abb

Tkocze

Anioł zagłady

Po trzecie, w wydarzeniach z nieodległej przeszłości teatr znajduje analogię do aktualnych napięć

Tak postąpiła Katarzyna Minkowska, jedna z najbardziej utalentowanych młodych reżyserek, we „Wszyscy jesteśmy Belén" (Teatr im Stefana Jaracza w Olszynie), ukazując starcie młodej kobiety z nieludzkim systemem sprawiedliwości. To niemal instruktaż – w Argentynie, gdzie obowiązywały jeszcze bardziej drastyczne przepisy antyaborcyjne niż w Polsce, udało się kobietom zwyciężyć. Okrutne potraktowanie Belén (sugestywnie portretuje ją Agnieszka Rajda), oskarżanej o morderstwo niedonoszonego płodu, obudziło świadomość. Droga nie była łatwa, odtwarza ją Minkowska na scenie: areszt, więzienie, poniżenia, manifestacje, sądy. Ale okazała się zwycięska.

W Polsce niestety nie udało się. Katotalibowie strzegą świętego zarodka jak źrenicy oka. Strajk Kobiet nie dopiął swego celu. Pewnie dlatego historia Belén tak silnie działa na publiczność, tak porusza, choć reżyserka unika tanich efektów wymuszenia emocjonalnego. Bodaj najsilniej działa solidarność okazywana Belén.

Minkowska podjęła ten bolący temat w sposób już wcześniej przez siebie sprawdzony, prowadząc narrację z pewnego dystansu, z kilku perspektyw czasowych, okraszając ją sporą dozą ruchu i humoru, choć sprawa jest przecież poważna.

Po czwarte, teatr znajduje źródła buntu ludzi pracy

I dostrzega je w krzywdzie doznawanej przez robotników ze strony klasy posiadającej. Najsilniej to widać w „Tkoczach" Mai Kleczewskiej – ponad 70 lat czekał Teatr Śląski na wystawienie tej sztuki Gerharta Hauptmanna, poprzednia próba nie doszła do skutku, a był to rok 1955. Teraz „Tkocze" już są – i to po śląsku. To język, którym w spektaklu mówią robotnicy. Bo wyzyskiwacze mówią po polsku. Język określa podziały klasowe.

Kleczewska, wspomagana piętrową scenografią Justyny Łagowskiej, wyrazistą muzyką i choreografią, stworzyła poruszające widowisko, w którym zderza sytych i głodnych, włodarzy świata i nędzarzy cierpiących głód. Doprowadza te podziały (świadomie) do przesady, sięgając po środki teatru ekspresjonistycznego. Ten Hauptmann plasuje się między Reymontem a Brechtem – jakby „Ziemia obiecana" przemieszana z „Operą za trzy grosze". Przy czym niekoniecznie chodzi o bunt sudeckich tkaczy w roku 1844, bardziej o naturę wszelkiego buntu przeciw wyzyskowi, który staje się nie do zniesienia.

Nikomu ten spektakl się nie podlizuje, dla nikogo nie chce być miły. Opowiada o świecie, jaki był i jest, o jego brutalnych podziałach, które trwają, choć na pozór wszystko wokół się zmienia. Nie zmieniają się jednak władza pieniądza i bunt, jaki wywołuje poniżenie, zależność, pogarda. Może też głód, ale dziś to raczej głód władzy. Choćby na chwilkę. Głód używania życia, głód równości. Chociaż opowiada się tutaj również o głodzie prawdziwym: w pierwszej scenie dzieciak mdleje z niedożywienia.

Kleczewska prowadzi nas przez rewiry poddaństwa i buntu. Najpierw do wyczekiwalni po wypłatę, gdzie dochodzi do gorszących scen upodlenia w imię zdobycia choćby paru groszy więcej. Potem do wnętrza robotniczego domu, gdzie rządzi zawodząca królowa matka – jak zawsze wyśmienita Grażyna Bułka – która śpiewa swoją pieśń upokorzenia i nędzy. Jej zawodzenia są wyraźnie przesadzone, na pokaz, to raczej epatowanie biedą, trochę w obawie, że biedniejsi mogą od niej czegoś chcieć. Ale to także czyhanie na odwet. Kiedy pojawia się elegancik Moritz Jäger, urodzony podszczuwacz (Michał

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, PRZEMYSŁAW JENDROSKA

eprasa.pl 73be861abb

Piotrowski), narasta potrzeba zemsty. Potem w piwiarni będzie już wrzało, robotnicy, popijając, będą się szykować na fabrykanta (brawurowa rola Mateusza Znanieckiego jako wcielonego manipulanta i wyzyskiwacza, wilka w owczej skórze). Buntownicy zaatakują wreszcie jego siedzibę, gdzie na tle Guerniki wiedzie dostatnie życie pasożyta.

Jest jeszcze wstrząsający monolog Grażyny Bułki, tym razem po polsku, uosabiającej buntowniczki i buntowników wszystkich epok. To ona, odziana w zwisające sztuki bielizny, zapowiada walkę do ostatniego tchnienia w imię wyrównania rachunków: „Podpaliłabym ten świat, ale jak podpala się piekło?".

Spory o granice wolności artystycznej wcale nie ustały, a strofowanie niegrzecznych artystów weszło w krew nie tylko krytykom, ale i politykom.

Na koniec zostaną odwetowe pieśni, jak „Krwawy sąd", straceńcze marsze i narastający huk wystrzałów. Świat się chwieje. Ale szanse dla niego marne. Ten bunt nie ma przecież na widoku nowego, sprawiedliwego ładu, to zresztą nie jest spektakl wzywający do buntu, ale diagnoza rejestrująca nastrój buntu, który nie zwiastuje nadejścia nowego świata.

Maja Kleczewska wraca do Hauptmanna po latach – w Teatrze Powszechnym w roku 2014 wystawiła „Szczury". Przepisana wówczas wersja tego dramatu była wymierzona we własne kulturalne towarzystwo, zadowolone z siebie, ignorujące społeczne podziały i niesprawiedliwości. Teraz dostaje się wszystkim.

Po piąte, teatr wieszczy zagładę

A przynajmniej zapowiada ją tytułem spektaklu gospodarza WST, stołecznego Teatru Dramatycznego. „Anioł zagłady" to interpretacja filmu Luisa Buñuela, której dokonał gruziński reżyser Data Tavadze, autor ważnych przedstawień będących wyrazem sprzeciwu artysty wobec deptania demokracji. Film Buñuela (1962) jest zjadliwą satyrą na burżuazję, surrealistycznym ciosem w samo serce wyobrażeń o wyjątkowości klasy właścicieli. U Buñuela pada niewiele słów, najwięcej dzieje się w obrazku, w spojrzeniach, przeciągniętych celowo scenach zagubienia gości, uwięzionych w rytuałach, formach, a nie tylko w pałacu.

Data Tavadze też dba o obrazek – dotyczy to zwłaszcza imponującej scenografii Agaty Skwarczyńskiej, odsłaniającej dęty przepych wnętrza pałacu, i zachwycających kostiumów, na miarę kont osób przybyłych na przyjęcie. Próbuje wyposażyć bohaterów tego niefortunnego spotkania w jakieś cechy indywidualne, dopisuje im dialogi, buduje napięcia, lecz wszystko to urywa się w połowie, przecinane pokazami imponującej sprawności warsztatowej aktorów oraz po brechtowsku komentowane wyświetlanymi nad sceną napisami. Zamiast krytycznej opowieści o klasie próżniaczej otrzymujemy obraz rozprzężenia, który niczego nowego nie odkrywa. Nie udało się Tavadzemu stworzyć atmosfery tytułowej zagłady, co najwyżej męczącą opowieść o dziwnej przygodzie grupy improduktywów.

Bliżej zagłady sytuuje się lekko futurystyczny „Pokój" Roberta Talarczyka/Szczepana Twardocha, którego akcja toczy się w roku 2039. Też jednak niewiele odkrywa. Tekst został napisany na zamówienie Teatru im. Juliusza Słowackiego. Twardoch konfrontuje typowe oskarżenia kierowane pod adresem przeciwników w dzisiejszych sporach politycznych. Trochę dolewa oliwy do ognia, bo do słów dochodzi krew i obie zwaśnione strony przystępują do walki zbrojnej w obronie wyznawanych wartości.

Gospodyni, rezydująca w dobrze przygotowanym bunkrze (Dominika Bednarczyk), odgrywa rolę prowadzącej negocjacje, które przyśpieszają na wieść o jawnej agresji sąsiada. Wszystko to z góry można przewidzieć – Twardoch niczym nie zaskoczy widza, a próby ukazania bardziej skomplikowanych związków między bohaterami i ich wewnętrznych przeżyć, które podejmuje anonimowy dziennikarz rejestrujący ich wypowiedzi, też ślizgają się po wierzchu. Ten skądinąd niegłupi jako przestroga, ale słabo wyposażony w argumenty teatr publicystyczny okazuje się zbyt wątły, aby opisać polskie zapętlenie.

Biegun niezależny

Niezależnym biegunem WST stał się monodram „Bérénice" według Racine'a z Isabelle Huppert w roli głównej. Reżyser, Romeo Castellucci, precyzyjnie opracował tekst o niespełnionej miłości. Isabelle Huppert zyskała możliwość przełożenia klasycystycznej tragedii na język współczesności, z jego nerwowością, przyśpieszeniami, bezdechem, zacięciami, wrzaskiem i wyciszeniem. Z całym bagażem doświadczeń zgromadzonych przez ludzkość od czasów powstania tej tragedii, a jeszcze dodając do tego swoją prywatną walkę z aleksandrynem.

Nie trzeba było wyczuwać tych subtelnych zmagań artystki z anachronicznym dwunastozgłoskowcem, wspomaganych elektronicznym przetwarzaniem jej głosu przez Scotta Gibbonsa, aby dotknąć za jej pośrednictwem wielkiej rany pożegnania z miłością, jej rozwibrowania emocjonalnego bliskiego szaleństwu i ostatecznego kresu.

Do tego wizja plastyczna widowiska pozostająca w zdumiewającej jedności i zarazem kontraście z emocjami bohaterki, występującej w olśniewającej sukni, poruszającej się z wytworną, wystudiowaną godnością. Surowe, zadziwiające piękno czerwonej nitki życia, jak strużki krwi przetaczanej na kołowrotkach, albo zaskakujące zderzenia ze sprzętami gospodarstwa domowego, tutaj występującymi jako obce, zakłócające równowagę elementy, a jednak w wizji scenicznej związane z gęstniejącą samotnością Bérénice. Wszystko to razem tworzy oszałamiającą grę przedmiotów i ludzi – tancerzy-statystów budujących sobą jedno ciało albo przeciwnie – powidoki zmysłowej pokusy, traconej na zawsze. Bo to Ona, jak zapowiadali organizatorzy, bo to Isabelle Huppert jest Teatrem.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl 73be861abb

MIĘDZY OKŁADKAMI

Filip Kalinowski
Szawarwa
Newhomers, Warszawa 2026

Tytułowa Szawarwa to Warszawa w krzywym zwierciadle, choć paradoksalnie odbija ono najprawdziwsze, bo te najgłębiej skrywane brudy i lęki. Filip Kalinowski kreśli obraz metropolii zbudowanej na cmentarzyskach, zbiorowej pamięci i wiecznym, kombinatorskim pędzie do przetrwania. To miasto, w którym przeszłość nieustannie przebija się przez nowoczesny beton, a codzienność bohaterów jest balansowaniem na krawędzi – walką o to, by „nie poszybować w dół", gdy całe otoczenie zdaje się ich w tę przepaść spychać. Autor nie ukrywa autobiograficznych korzeni opowieści, przyznając, że pisanie było dla niego formą terapii.

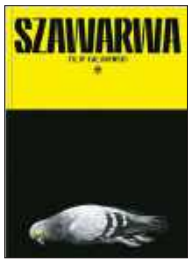

Rafał Pikuła

WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Nicholas Payton Trio – The music of Miles/Coltrane

Dwukrotny zdobywca Grammy i pięciokrotnie nominowany do tej prestiżowej nagrody, multiinstrumentalista, wokalista i kompozytor, ale przede wszystkim wizjonerski trębacz nowoorleański, uważany jest za jednego z największych artystów naszych czasów. Łączy tradycję jazzową z innowacyjnością – czerpie z Black American Music i sam staje się inspiracją dla innych. W 100. rocznicę urodzin dwóch ikon jazzu – Milesa Davisa i Johna Coltrane'a – orędownik muzyki afroamerykańskiej oddaje im hołd. Będzie to niezwykły koncert, pełen porywających reinterpretacji. *(ap)*

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.
Warszawa, Rynek Starego Miasta, 18 lipca, godz. 19

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 73be861abb

Rozmawia Artur Nowk

Na początku lutego 2019 r. papież Franciszek odbył ważne spotkanie z przedstawicielami świata muzułmańskiego. W drodze powrotnej z Abu Zabi rozmawiał z dziennikarzami na pokładzie samolotu. Opowiedział im pewną anegdotę. Wynikało z niej, że jego poprzednik, Ratzinger, jeszcze jako kardynał wykazywał determinację, żeby walczyć z nadużyciami na tle seksualnym. Ale Wojtyła absolutnie nie był tym zainteresowany. Co pomyślałeś, kiedy o tym usłyszałeś?

– To było wstrząsające. Przeczytałem sobie całą tę konferencję prasową z Franciszkiem na pokładzie samolotu z Emiratów do Rzymu, a potem nawet ją odsłuchałem. Na ogólne pytanie dotyczące nadużyć w Kościele papież odpowiedział, jak to on, dość mętnie, niejasno, że przestępstwa seksualne się zdarzają, że nawet zakonnice są wykorzystywane przez księży, że to ciągle jest problem, walka na lata.

PAPIESKIE TAJEMNICE

Ratzinger przegrał ze zmową milczenia, której przewodził Jan Paweł II

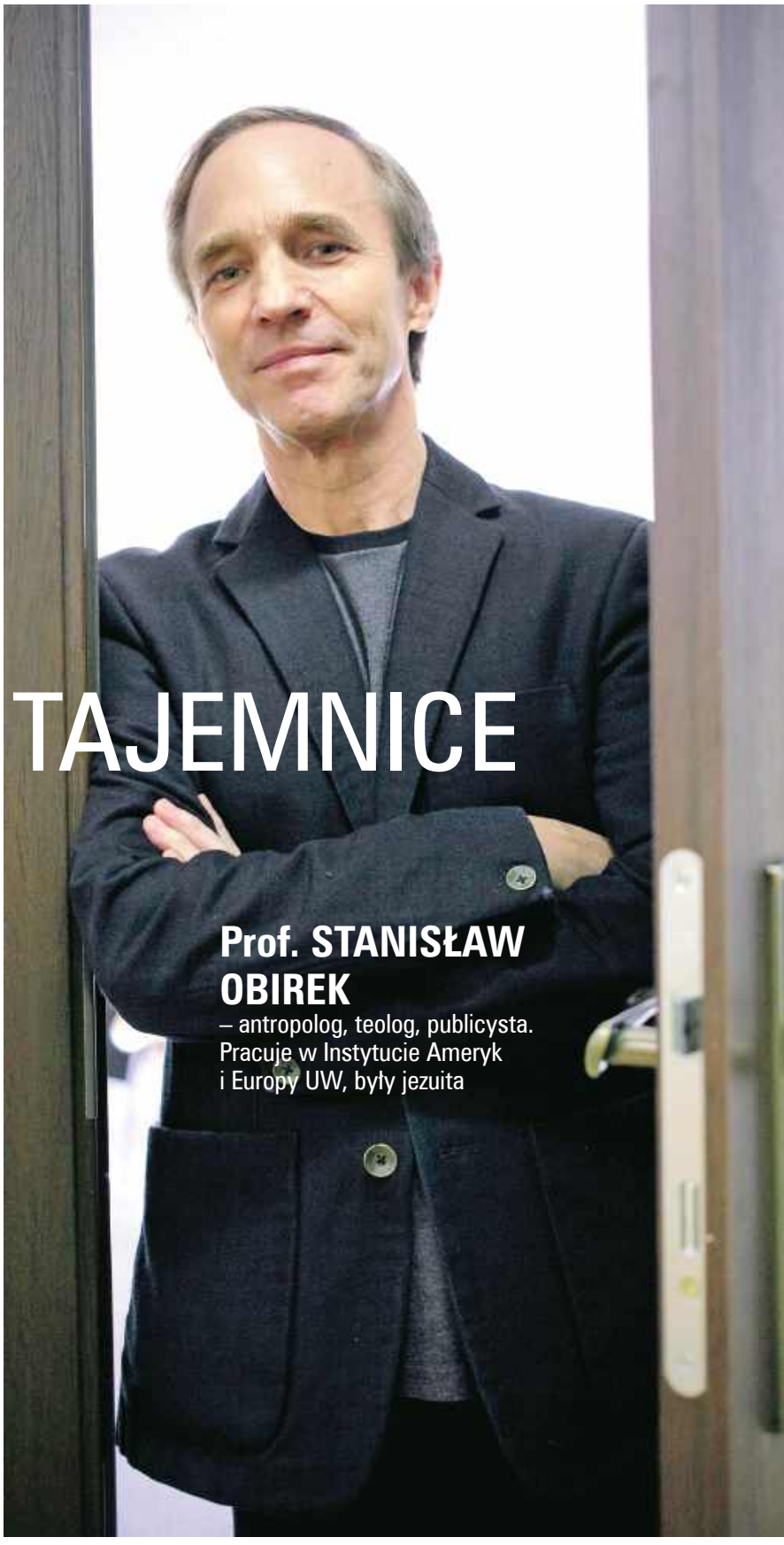

Prof. STANISŁAW OBIREK
– antropolog, teolog, publicysta. Pracuje w Instytucie Ameryk i Europy UW, były jezuita

No, a potem przywołał tę anegdotę.

– No tak. Rzecz dotyczy kard. Ratzingera, który z dokumentacją pod pachą udał się do Jana Pawła II. Poszedł do niego w sprawie założyciela zgromadzenia Legion Chrystusa Marciala Maciela Degollada. Ten meksykański duchowny, pupil papieża Polaka, słynął z licznych skandali seksualnych, w tym pedofilii.

Wykorzystywał seksualnie nie tylko dziesiątki młodych seminarzystów, ale też swoje własne dzieci. Był bigamistą, narkomanem i malwersantem, który zbił fortunę, żerując na religijności bogobojnych możnych tego świata. Kupił Kościołowi wiele nieruchomości, finansował szkoły i uniwersytety. Pierwsze zgłoszenia dotyczące nadużyć w Legionie Chrystusa to są lata 50. minionego wieku.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 73be861abb

– Ratzinger liczył na to, że skompromitowany duchowny zostanie pozbawiony wszelkich honorów, a może nawet postawiony przed sądem. Niestety, jak opowiada Franciszek, wrócił z tymi papierzyskami pod pachą i polecił swojemu sekretarzowi: „Daj to do sejfu, bo druga partia wygrała”.

Niesamowite. Mamy potwierdzenie tego, o czym szeptano przez lata.

– Franciszek jednoznacznie daje do zrozumienia, że w okresie, kiedy Ratzinger był najpotężniejszym kardynałem w kurii, przewodniczącym Kongregacji Nauki Wiary, który rozstawiał po kątach nieprawomyślnych teologów, pozbawiając ich katedr, zakazując publicznych wypowiedzi, cenzurując książki – w tej sprawie okazał się bezradny. Była jakaś „druga partia”, druga strona, która powiedziała „nie”. I zbrodniarz Maciel pozostał wówczas bezkarny.

Najciekawsza w tej anegdocie jest jednak końcówka. Okazuje się, że kiedy Ratzinger został papieżem, to pierwszą rzeczą, którą zrobił, było wydobycie wspomnianych dokumentów z sejfu. To był koniec Maciela Degollada. Jego kariera na pokojach Watykanu niniejszym się zakończyła.

Jakiś czas temu maltański biskup Charles Scicluna przywołał taki epizod z 2004 r. dotyczący Marciala Maciela Degollada. Świętował on wtedy w rzymskiej Bazylice św. Pawła za Murami 60. rocznicę święceń kapłańskich. „Poszła tam cała kuria rzymska, włącznie z biskupami i kardynałami. W domu pozostał jedynie Ratzinger, wówczas prefekt Kongregacji Nauki Wiary”.

– Powszechnie wiadomo, że Maciel był jednym z najważniejszych problemów Ratzingera w ostatnich latach pontyfikatu Jana Pawła II. Już jako papież Benedykt XVI wprowadził zarząd komisaryczny do „legionistów” i pozbawił Maciela wszelkich praw. Dla Benedykta była to niezwykle obciążająca psychicznie sprawa i nie dziwię się, że podzielił się tym z Franciszkiem, swoim następcą.

Ta historia bardzo obciąża jednak Jana Pawła II. Nie przejdzie już ta retoryka, że papież o niczym nie wiedział.

– Nie. Tu sprawa jest jasna. Jan Paweł II, mając przed oczyma dokumenty, które przyniósł mu najbliższy współpracownik, najpotężniejszy w Watykanie kardynał, nie zareagował na nie. A może, wyrażając się ostrożniej, dał posłuch tej „drugiej stronie”, o której mowa choćby w „Sodomie” Frédérica Martela i „Ślubach milczenia” Jasona Berry’ego i Geralda Rennera.

Nie tylko książki, które wymieniłeś, ale też relacje świadków dostarczają bardzo wiele świadectw na temat tego, jaką rolę w sprawie krycia Degollado odegrali m.in. Sodano i Dziwisz.

– Franciszek dowiedział się o tym wszystkim prawdopodobnie już po wyborze na papieża, kiedy mu przekazano tajne dokumenty. Ratzinger przegrał ze zmową milczenia, której przewodził Jan Paweł II. Bo trzeba być naprawdę bardzo naiwnym, żeby przypisywać tuszowanie tych okropnych nadużyć kard. Dziwiszowi. Nie było przeszkód, by Jan Paweł II, jak mu się to zdarzało wielokrotnie, tupnął nogą i powiedział: „Nie, nie możemy tego tolerować, trzeba to załatwić i skończyć z hipokryzją”.

Kard. Dziwisz zabrał głos. Idzie w zaparte.

– Mnie to nie dziwi. Czytałem rozmowę Edwarda Augustyna ze Stanisławem Dziwiszem w „Tygodniku Powszechnym”. Niektóre z fraz kardynała warto przywołać, bo są prawdziwymi perełkami kościelnej mowy ezopowej i przykładem amnezji. Na pytanie, kogo dotyczyła opowiedziana przez Franciszka historia, Dziwisz odpowiada: „Nie wiem, kogo i jaką sprawę miał na myśli papież Franciszek, opowiadając »anegdotę« dotyczącą jednego ze spotkań kard. Josepha Ratzingera z Janem Pawłem II”. A któż inny mógłby to wiedzieć? Tymczasem zaprzeczył zarówno wspomnianym przez Franciszka „filtrom”, które utrudniały dostęp do Jana Pawła II, jak i istnieniu „drugiej strony”, która zablokowała sprawę Degollada.

Tego się już nie da wyciszyć.

– Oczywiście, że się nie da. Im szybciej Kościół się zmierzy z prawdą o sobie samym, myślę tutaj o Watykanie i roli polskiego papieża w tuszowaniu skandali, tym lepiej. Jeśli będziemy dłużej chować głowę w piasek, udając, że nie ma problemu, te wszystkie bomby z opóźnionym zapłonem będą co jakiś czas wybuchały. Tuszowanie i zamiatanie pod dywan sprawi, że siła rażenia faktów będzie większa.

Najświeższe raporty o kościelnej pedofilii, te amerykańskie, zwłaszcza prokuratora stanowego Pensylwanii, oraz ten australijski, pokazują, że do największych zaniedbań doszło w czasie pontyfikatu Polaka. Byli członkowie Legionu Chrystusa twierdzą, że w Watykanie wiedziano, iż jego przywódca Marcial Degollado molestował nieletnich. Wpływowy duchowny kupił sobie bezkarność, przekazując duże sumy na dobroczynność sekretarzowi papieża, ks. Dziwiszowi. Pisała o tym prasa amerykańska. To za Jana Pawła II od odpowiedzialności wykpił się też kard. Law, który zamykał oczy na nadużycia seksualne księży w Bostonie. Pojawia się pytanie: czy jesteśmy gotowi na zniuansowanie biografii wielkiego Polaka, na uzupełnienie jej o fakty, które chwały mu nie przynoszą?

– To rzeczywiście nie tylko problem Kościoła, ale też naszej mentalności. Jak każde społeczeństwo mamy tożsamość zbudowaną z mitów, a ich dekonstrukcja jest niezwykle trudna. Przekonali się o tym Niemcy, którym pożegnanie z mitem Tysiącletniej Rzeszy zajęło ładnych parę lat i było możliwe tylko wskutek wielkiej klęski tej idei. Polacy prawdopodobnie nie są jeszcze gotowi na pożegnanie z mitem nieskazitelnego Jana Pawła II. Nasza obywatelskość jest krucha, naznaczona totalitaryzmami i rozpaczliwie potrzebuje mocnej narracji. O tym, jak to się dzielnie sprzeciwialiśmy faszyzmowi, komunizmowi, że

Im szybciej Kościół się zmierzy z prawdą o sobie – myślę o roli polskiego papieża w tuszowaniu skandali – tym lepiej.

eprasa.pl 73be861abb

ponieśliśmy największe ofiary, a zaraz po „wyklętych” zwieńczeniem tej romantycznej narracji jest postać świętego Jana Pawła II, który jednoczył Polaków, obalił komunizm na świecie i pokazywał Zachodowi, jak żyć.

Polacy chcą widzieć w nim posąg.

– Trzeba jasno rozgraniczyć jego niepodważalną wielkość od faktów, a fakty bronią się same. Musimy sobie jasno powiedzieć, że Karol Wojtyła był dzieckiem swoich czasów i nie potrafił zrozumieć, że oświetlanie ciemnych stron Kościoła to nie jest walka ani z Kościołem, ani z Panem Bogiem, ale czyszczenie brudów.

Ich bezmiar dostrzegł Ratzinger w pamiętnym przemówieniu o kryzysie Kościoła. Trzeba oddać sprawiedliwość temu konserwatywnemu teologowi i papieżowi, że w sprawie nadużyć nigdy nie stosował podwójnych standardów. Był surowy w ocenie cywilizacji, czy też kultury współczesnej, ale dokładnie tą samą miarą krytycznego osądu diagnozował sytuację Kościoła, kleru.

To podkreślają nawet jego krytycy.

– Różnica między Ratzingerem a Wojtyłą była taka, że Ratzinger źle zaczął, bo w Hitlerjugend; dodajmy jednak, że nie z własnej woli. Został do tej organizacji wciągnięty, jak wielu jego rówieśników w hitlerowskich Niemczech. Później kształcił się i wychowywał w kulturze krytycznej, otwartej, demokratycznej, pluralistycznej. Nie było w niej miejsca dla świętych krów, wszyscy musieli się poddać osądowi demokratycznych mediów i dojrzałej ocenie opinii publicznej. Transparentność była cechą społeczeństwa, w którym dojrzewał przyszły Benedykt XVI. Natomiast nasz papież wyrósł w społeczeństwie, które cechowało się niskimi zasobami kultury obywatelskiej, którego elity, również te kościelne, milczały wobec faktów dla nich niewygodnych.

Piotr Szeląg, z którym rozmawiałem w mojej książce „Duchowni o duchownych” o pontyfikacie Jana Pawła II, powiedział mi, że antropologia Wojtyły była decydująca w procesie hamowania soboru.

– Czytałem tę waszą rozmowę. Jest niezwykle pouczająca, tym bardziej że Piotr Szeląg wypowiada się jako prawnik studiujący u jezuitów w Rzymie. Wskazuje na osobliwość w podejściu Wojtyły do ludzkiej płciowości. Tłumaczy, że to podejście było ukształtowane w dużym stopniu przez jego przyjaciółkę, Wandę Półtawską. To bardzo istotne, by wskazywać na kulturowe i biograficzne zakorzenienie poglądów papieża. Być może wtedy katolikom przyjdzie z większą łatwością ich odrzucenie, a w każdym razie nieprzyjmowanie jako prawdy objawionej. A co do Soboru Watykańskiego II, to on wyrósł właśnie jako próba nawiązania partnerskiego dialogu ze współczesną kulturą. Wojtyła w dużym stopniu tę kulturę odrzucał, by w ostatnich latach swego pontyfikatu ją stygmatyzować jako „cywilizację śmierci”.

Ta narracja funkcjonuje w polskim Kościele do dziś.

– Myślę, że w ogóle rozmowa o Kościele musi być odklejona od wartościowania ludzi. Bo każdy, nawet święty, ma swoje ciemne strony. To nie jest żadne odkrywanie Ameryki, po prostu tak już jest. Jak powietrza potrzebujemy pewnej elementarnej uczciwości wobec faktów, bo inaczej się udusimy. Jeżeli będziemy idealizować rzeczywistość, nie wyjdziemy z zakłamania. Wypowiedź Franciszka na pokładzie samolotu świadczy o jego dojrzałości jako papieża. To dar Franciszka, który udowodnił już nie raz, że nie ma problemu z przyznaniem się do błędu.

Franciszek nie jest nieomylny. W 2015 r. powołał na stanowisko biskupa diecezji Osorno w Chile Juana Barrosa Madrida oskarżanego o poplecznictwo w związku ze skandalami „seryjnego pedofila” Fernando Karadimy.

– Wydawało mu się, że człowiek, którego mianował, nie może kłamać. Wybuchł skandal. Papież początkowo bronił swojej decyzji, ale kiedy dotarły do niego fakty, uderzył się w pierś i przeprosił za wsparcie, którego udzielał Barrosowi. A więc przyznał się do błędu. Korona mu z głowy nie spadła, zyskał na wiarygodności i może teraz z otwartą przyłbicą mówić, że zero tolerancji to nie jest zaklinanie rzeczywistości. A taką właśnie retorykę serwuje nam polski Kościół.

Istnieje opozycja w stosunku do papieża. Konserwatywni kardynałowie uważają, że zagrożeniem są geje ulokowani wysoko w hierarchii kościelnej.

– To mechanizm dobrze znany, nie tylko w instytucjach totalnych, jak Kościół, zakony i właśnie kuria rzymska. Wszędzie istnieją próby znalezienia kozła ofiarnego i oczyszczenia wspólnoty poprzez wskazanie winnego, który weźmie na siebie odpowiedzialność za wszystko. To bardzo dziecinne. Żaden szanujący się konserwatysta, a nawet fundamentalista religijny nie powie, że winni są Żydzi czy masoni, bo to by go dyskwalifikowało. Ale szukanie jakiegoś innego lobby, jakiejś grupy nacisku ciągle jeszcze uchodzi, zwłaszcza że jedną z charakterystycznych cech takich pomówień jest niedomknięcie.

Niedomknięcie?

– Tak. Zwróć uwagę, że jak ktoś mówi o „lobby”, to nie idą za tym żadne nazwiska.

Faktycznie.

– I takie pomawianie, oczernianie, ale jednocześnie nie nazwanie do końca o kogo chodzi jest najgorsze. To tworzy mętną atmosferę, w której najlepiej się czują przestępcy. Chętnie się podłączają pod taki dyskurs, bo wtedy oni są niewinni. Pozostają wierni instytucji i zawsze znajdują schronienie u możnych tego świata. Wychodzi na to, że Jan Paweł II był częścią tego mechanizmu.

Jan Paweł II, mając przed oczyma dokumenty, które przyniósł mu najpotężniejszy w Watykanie kardynał, nie zareagował na nie.

Fragmenty książki Stanisława Obirka i Artura Nowaka *Wąska ścieżka. Dlaczego odszedłem z Kościoła*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026

eprasa.pl 73be861abb

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Jest lato, muszę spływać

Kiedy mieszkałem na Mazowszu, tym płaskim dowcipie pana boga, spływałem częściej, bo z dala od nierówności terenu i naturalnych pustek skalnych musiałem znaleźć jakiś ekwiwalent, jakąś przyrodniczą rekompensatę za cierpienie w paszczy stołeczeństwa. Teraz spływam tylko latem, niejako rytualnie, między górskimi wyrypami i jaskiniowymi poniewierkami muszę znaleźć jakiś odcinek spławny a dziki, którym w pojedynkę puszczam się pomedytować z nurtem.

W czasie mazowieckim, gdzie okrucieństwo zimy daje się we znaki szczególnie, bo jej nie ma, jest tylko wieczny listopad, deszcz ze śniegiem, błocko i chłód zamiast mrozu, a nawet jeśli mróz, to tylko o świcie w cienkiej warstewce lodu na kałużach, a jeśli nawet siarczysty, to zupełnie bez sensu, tylko psieckom łapki cierpną albo szczypią od soli wysypywanej na chodniki, a słoikom rzewnie się przypomina, jak na południu mieszkając, po szkole się chodziło na narty – owóż, w czasie bezsensownych mazowieckich nibyzim przebierałem nibynóżkami, żeby doczekać roztopów i ulew wiosennych, które na krótko udrożniały wąskie rzeczki zwałkowe. I cisnąłem nimi jedynką bez fartucha przez drzewa zwalone w poprzek, czasem bardziej się wspinając z kajakiem, niż płynąc, niekiedy zaiste więcej czasu spędzając na pokonywaniu drzewnych zwalisk niż w wodzie – ale tylko tam znajdowałem oddalenie od ciżby, od nadmiernie skłębionej ludzkości, zmierzającej najkrótszą drogą i najszybszym transportem do celu.

Spływanie kajakiem dla ludzi, którym życie upływa na skracaniu drogi, jest poważną lekcją cierpliwości – zwłaszcza gdy rzeka zawzięcie meandruje i choćby się namachało wiosłem, kilometraż w linii prostej prawie nie drgnie. Nie ma się co irytować, trzeba zrozumieć, że w kajaku to droga jest celem. Unikałem rzek popularnych, żeby się nie daj bóg nie zaplątać w zator „spływu integracyjnego", tego rzecznego pohańbienia, gdzie się „zespół szkoli we wspólnym pokonywaniu przeszkód".

Z czasem w ogóle zacząłem unikać rzek mijających stanice wodne, aby ograniczyć do minimum prawdopodobieństwo spotkania człowieka. Rzeki wartkie i uciążliwe lubiłem dla wytrenowania refleksu i kondycji, w górnych częściach ich biegu, gdzie dopiero się przeistaczały ze strumieni, wąskie na zasięg ramion i płytkie, tyle, żeby kajak zanurzyć – w takich strugach spokoju nie zaznasz, ani przez chwilę cię nurt sam nie poniesie, moment nieuwagi kosztuje zawieszkę na konarze albo zapchanie się w krzaczory. Czasem udawało się przepłynąć na leżąco pod kłodą, częściej brało się je górą, ślizgiem, czasem wielkie topole zwalone na całą szerokość koryta przy gęsto zarośniętych, wysokich brzegach sprawiały solidny kłopot, gdy trzeba było się na nie wdrapać, przeciągnąć kajak, a potem bezpiecznie w nim na powrót usiąść. Czasem przez szczelny gąszcz trzcinowisk płynęło się na oślep, zgarniając gębą milion pajęczyn – ale to wszystko było dla mnie nagrodą za życie codzienne w wielkomiejskiej klatce, wolałem się przepychać przez szuwary niż przez tłum.

Najpiękniej jest wtedy, gdy się pośrodku niczego znajdzie jakąś łachę i na niej osiądzie.

Teraz polubiłem rzeki spokojne, leniwe, rzecz jasna najchętniej pozaweekendowo i jak najwcześniej, żeby, skoro już ludzi nie uniknę, być chociaż pierwszym na trasie spływu. Bo tego pierwszego kajakarza natura nagradza, jeszcze się czaple nie wywiedziały, że człowieki płyną, więc czatują na wystających kikutach i wypatrują w wodzie śniadania, jeszcze wydra czasem wystawi łeb z wody i sprawdza, co to za plastik sunie po powierzchni i jej ryby płoszy, a jak się ma szczęście, to i starą klępę można w kąpieli zaskoczyć, z bagien bagna tyś królową, klępo. Bo potem, jak już się fauna zorientuje, że na rzece nadszedł czas spływania, tylko pliszki zostaną, co to się lubią zabawiać, która bliżej pozwoli podpłynąć, zanim odleci za kolejny zakręt, i kaczęta chowające się w sitowiu z matką, i może czasem jakiś łabędź ostrzegawczo zasyczy, ale wszystko to niepłochliwe można i w parkach napotkać, nie po to się przecież dziką rzeką wypływa.

A najpiękniej jest wtedy, gdy się pośrodku niczego znajdzie jakąś łachę i na niej osiądzie, na piachu się wyłoży na wznak i posłucha tych wszystkich szumów i szelestów, i plusków, i bzyczeń i nie wiadomo już, czy jeszcze jest jutro, czy już może wczoraj, bo choć rzeka płynie, lata lecą, a czas się ulotnił, uletnił, uleciał. ■

eprasa.pl 73be861abb

FRANCUSKIE MEDIA SKRĘCAJĄ W PRAWO

Kto kształtuje debatę publiczną nad Sekwaną?

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

We Francji postępuje oligarchizacja sektora medialnego. Media prywatne od jakiegoś czasu wykupuje skrajnie prawicowy miliarder, który coraz bardziej podporządkowuje sobie debatę publiczną.

Związki między światem biznesu a prasą zawsze jednak były we Francji bardzo silne. Warto cofnąć się do historii, by zrozumieć zainteresowanie środowisk finansowych mediami, ich dążenie do gromadzenia tytułów prasowych, mające na celu umacnianie dominacji i poszerzanie wpływów. Dzisiejsza scena polityczna pokazuje najdobitniej, jak skuteczne okazują się przedsięwzięcia polityczne największych kapitalistów. Oraz jak ważna jest regulacja tych praktyk.

Od mediów powszechnych do upolitycznionych

Nieco ponad 100 lat temu zamożny przemysłowiec Jean Prouvost podporządkował sobie francuski rynek prasy i w okresie międzywojennym zbudował potężne imperium prasowe. Urodzony w 1885 r., pochodzący z zamożnej rodziny z północy Francji, najpierw dorobił się fortuny na założonej jeszcze przed I wojną przędzalni La Lainière de Roubaix. Na początku lat 20. ten niezwykle bogaty i ciekawy świata przedsiębiorca, zafascynowany dynamicznym rozwojem prasy amerykańskiej, postanowił wejść na rynek medialny. I odniósł spektakularny sukces. W 1924 r. kupił „Paris-Midi", dziennik skupiający się przede wszystkim na wiadomościach dla inwestorów giełdowych oraz bywalców wyścigów konnych, o nakładzie zaledwie 4 tys. egzemplarzy. Prouvost w ciągu sześciu lat zwiększył go do 100 tys. egzemplarzy. Następnie w 1930 r. przejął „Paris-Soir", gazetę, która później stała się jednym z najważniejszych tytułów prasowych Francji. Pod jego kierownictwem nakład „Paris-Soir" wzrósł z ok. 60 tys. do prawie 2 mln egzemplarzy w 1939 r.

> Media wykupuje skrajnie prawicowy miliarder, który podporządkowuje sobie debatę publiczną.

Sekret sukcesu Prouvosta polegał na przeniesieniu do Francji metod, które umożliwiły rozwój prasy amerykańskiej. Aby przyciągnąć czytelników, magnat zadbał o atrakcyjną szatę graficzną, stosował wielkie nagłówki i kładł nacisk na duże zdjęcia. Aktywnie przy tym poszukiwał talentów – często zatrudniał, płacąc bardzo wysokie wynagrodzenia, najwybitniejszych dziennikarzy i pisarzy swojej epoki. Znaleźli się wśród nich: Antoine de Saint-Exupéry, Joseph Kessel czy Pierre Lazareff, późniejszy legendarny szef „France-Soir".

Jean Prouvost imperium prasowe budował stopniowo: kupił m.in. kobiece czasopismo „Marie Claire" i przejął magazyn „Match". Tytuł, przemianowany po II wojnie światowej na „Paris Match", stał się jednym z najbardziej opiniotwórczych magazynów we Francji, wzorującym się na amerykańskim tygodniku „Life". Prouvost inwestował również w „Le Figaro", telewizję Télé 60 (później Télé 7 Jours), a także w radio RTL. Lata 70. przyniosły stopniowy demontaż tego rozległego imperium, które ostatecznie, wraz ze śmiercią jego założyciela w 1978 r., upadło. Dzisiaj siłę mediów zrozumiał Vincent Bolloré, choć pojął ją inaczej – przede wszystkim zgrabnie wykorzystując je do monopolizacji przesłania ideologicznego.

System medialny pod presją

Francuski krajobraz medialny uchodzi za jeden z najbardziej rozwiniętych w Europie. Oparty został na mieszanym modelu finansowania pochodzącym ze sprzedaży, reklam, subskrypcji i dotacji publicznych. Współczesny rynek opiera się na trzech filarach: prasie drukowanej („Le Monde", „Le Figaro", „Libération"), telewizji (TF1, France Télévisions, BFM TV) oraz radiu. Istotną rolę nadal odgrywa sektor publiczny skupiony wokół France Télévisions, Radio France i France Médias Monde. Jednak po likwidacji abonamentu RTV w 2022 r. jego pozycja osłabła, a finansowanie mediów tego sektora zostało uzależnione od decyzji politycznych państwa.

Coraz częściej pojawiają się we Francji pytania o rzeczywistą niezależność redakcyjną mediów należących do wielkich grup przemysłowych, których interesy gospodarcze wykraczają daleko poza sektor informacyjny. Takie media nie

eprasa.pl 73be861abb

Obchody 200-lecia „Le Figaro" w Grand Palais w Paryżu. Nz. od lewej: dyrektor generalny Dassault Aviation Éric Trappier, Vincent Bolloré i redaktor naczelny „Le Figaro" Alexis Brézet. 13 stycznia 2026 r.

tyle przekazują informacje, ile stają się instrumentem wpływu politycznego i gospodarczego, a to dodatkowo komplikuje debatę o roli prywatnego kapitału w sferze publicznej.

W teorii system subwencji państwowych ma charakter neutralny i służy ochronie pluralizmu, wspiera tytuły o niskiej cenie egzemplarzowej i wysokich kosztach produkcji. Na przykład w 2022 r. łączna kwota bezpośredniego wsparcia publicznego dla prasy wyniosła 110,4 mln euro, z czego 28 mln euro przeznaczono na instrumenty wspierające pluralizm mediów, 51 mln euro na transport i kolportaż prasy, a 31,4 mln euro na finansowanie inwestycji sektora prasowego. W praktyce jednak mechanizm ten faworyzuje określone modele biznesowe, niekoniecznie zaś różnorodność ideologiczną.

Największymi beneficjentami francuskiego systemu pomocy dla prasy były główne tytuły ogólnokrajowe: „Le Figaro" i „Le Monde". Część badaczy zajmujących się tą problematyką, np. Julia Cagé czy Jean-Marie Charon, wskazuje, że sama konstrukcja systemu, oparta na kryteriach ekonomicznych i technicznych, sprzyja utrwalaniu pozycji największych podmiotów rynkowych. Pojawiają się zatem pytania o jego skuteczność jako instrumentu ochrony pluralizmu medialnego. Ten bowiem jest zapewniony pod względem liczby dostępnych mediów, niekoniecznie zaś pod kątem własności.

Francuski krajobraz medialny oparty został na mieszanym modelu finansowania: sprzedaży, reklamach, subskrypcji i dotacjach publicznych.

Większość prywatnych mediów francuskich należy dzisiaj do kilku miliarderów i grup przemysłowych, takich jak rodzina Bouygues, Daniel Křetínský (czeski miliarder inwestujący we Francji) czy CMA CGM (grupa transportowo-logistyczna, której właścicielem jest francusko-libański miliarder Rodolphe Saadé, inwestujący w media w celu „dywersyfikacji finansowej"). Od paru zatem lat coraz wyraźniej rysuje się równoległy do sektora publicznego proces koncentracji mediów w rękach wąskiej grupki dysponującej znaczącym kapitałem ekonomicznym czy politycznym. Na jej czele od dawna stoi Vincent Bolloré. W swoim imperium, funkcjonującym poza subwencjami publicznymi, bo opartym właśnie na potężnym kapitale prywatnym, skupia obecnie główne segmenty francuskiego rynku medialnego: telewizję, radio czy prasę, systematycznie przesuwając ich linię redakcyjną w stronę narracji prawicowej.

Pamiętać przy tym trzeba, że o ile wraz z upadkiem imperium Jeana Prouvosta prasa stopniowo się demokratyzowała, o tyle dzisiejsza monopolizacja mediów przez kapitał prywatny powoduje liczne zagrożenia dla tego procesu.

Skręt w prawo

Zainteresowanie wielkich francuskich fortun mediami nie dotyczy wyłącznie Francji późnej fazy kapitalizmu. Właściciele dużych grup gospodarczych i przemysłowych na całym świecie widzą w tych narzędziach instrumenty władzy. Taka koncentracja krajobrazu medialnego w rękach kilku miliarderów to zagrożenie dla pluralizmu informacji i niezależności dziennikarzy, towarzyszy jej również radykalne przesunięcie linii redakcyjnych. W istocie bowiem w narzuconej przez bezwzględną logikę oglądalności pogoni za nieustannymi emocjami zbyt wiele stacji i redakcji zainwestowało (w różnym stopniu) w ten sam rynek ekonomiczny i ideologiczny. Proces ten uosabia Vincent Bolloré. Nieustannie rozszerza on swoje wpływy w sektorze mediów, które służą nie tyle „prawu do informacji", ile agendzie politycznej sprzyjającej różnym nurtom reakcyjnym. Ich awangardą jest Éric Zemmour – najskrajniejszy polityk z prawej strony francuskiej sceny. Oddziałuje to na cały system medialny we Francji, który coraz bardziej podporządkowuje się logice całodobowych kanałów

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl 73be861abb

informacyjnych. Na przykład CNews – francuski odpowiednik Telewizji Republika – z tematów tożsamościowych uczyniła centralny element swojej linii redakcyjnej.

Autorytet, bezpieczeństwo, tożsamość

Coraz częściej mówi się o „bollo-zemmouryzacji" mediów – rosnącej obecności tematów o wydźwięku konserwatywnym. Dla zwolenników tego trendu jest to odpowiedź na obawy społeczne związane z imigracją czy panującym chaosem społecznym, a prawicowe media podsuwają hasło „autorytet, bezpieczeństwo, tożsamość" (autorité, sécurité, identité).

Rzecznicy tej linii przekonują, że odpowiada ona na najważniejsze obawy współczesnych Francuzów. Badania opinii publicznej pokazują jednak, że obok kwestii bezpieczeństwa i migracji dla wyborców równie istotne są problemy związane z siłą nabywczą, kosztami życia, dostępem do ochrony zdrowia, mieszkalnictwem czy zmianami klimatycznymi. Paradoks współczesnej Francji polega więc na tym, że choć debata publiczna coraz częściej koncentruje się wokół tematów tożsamościowych, znaczna część społeczeństwa wciąż skupia się na kwestiach społecznych i ekonomicznych. Zdaniem części komentatorów wynika to z faktu, że media i klasa polityczna przesunęły środek ciężkości debaty na prawo szybciej, niż zmieniły się rzeczywiste oczekiwania obywateli (Le Nouvel Obs, „Carte blanche. La »concentration-droitisation« des médias fausse le jeu démocratique", 26.10.2021).

Nowy wymiar oddziaływania Bollorégo na sektor kultury widać było podczas tegorocznego festiwalu w Cannes. Po opublikowaniu przez ok. 600 przedstawicieli środowiska filmowego, w tym uznanych reżyserów i aktorów, petycji ostrzegającej przed rosnącym wpływem Bollorégo i związanych z nim środowisk konserwatywnych na francuskie kino, prezes Canal+ Maxime Saada zapowiedział, że grupa nie zamierza dalej współpracować z sygnatariuszami tego tekstu. Wypowiedź ta wywołała natychmiastową debatę na temat wolności słowa i niezależności twórców. Przewodniczący Centre national du cinéma et de l'image animée (CNC) Gaëtan Bruel uznał reakcję Canal+ za atak na wolność wypowiedzi i podkreślił, że prawo do krytyki stanowi jedną z podstawowych zasad demokratycznej debaty publicznej. Również minister kultury Catherine Pégard oceniła stanowisko Canal+ jako „nieadekwatne". Spór ten unaocznił obawy części francuskiego środowiska kulturalnego dotyczące koncentracji wpływów medialnych i kulturowych w rękach Bollorégo, którego imperium obejmuje coraz większą część rynku wydawniczego i audiowizualnego. W sytuacji, kiedy jeden właściciel kontroluje coraz większą część rynku medialnego i kulturalnego, publiczna krytyka jego działań może się wiązać z ryzykiem zawodowym, a to z kolei może osłabiać pluralizm opinii i ograniczać swobodę debaty publicznej (BFM, „Tribune anti-Bolloré: le président du CNC dit »regretter« la réaction du patron de Canal+ qui »pose question sur le plan de la liberté d'expression«", 18.05.2026),

System subwencji państwowych teoretycznie chroni pluralizm, wspiera tytuły o niskiej cenie egzemplarzowej i wysokich kosztach produkcji.

Vincent Bolloré nie jest zatem współczesnym wcieleniem Jeana Prouvosta. Obydwaj co prawda zbudowali imponujące imperia prasowe i audiowizualne, wywierając znaczący wpływ na francuską debatę publiczną, jednak o ile Prouvost uosabiał przede wszystkim epokę umasowienia mediów, o tyle Bolloré stał się symbolem ich ideologizacji. Jego działalność pokazuje, że we współczesnej Francji media są już nie tylko przestrzenią informacji, lecz przede wszystkim narzędziem walki o polityczną hegemonię. Prouvost dążył do zdobycia jak największej publiczności, Bolloré zaś bez skrupułów wykorzystuje swoje imperium do wywierania nacisku na kierunek debaty publicznej. Nie jest więc spadkobiercą idei francuskich magnatów prasowych – jest przedstawicielem nowego modelu władzy medialnej, w którym wpływ polityczny staje się równie istotny jak zysk ekonomiczny.

Sarah Bomba

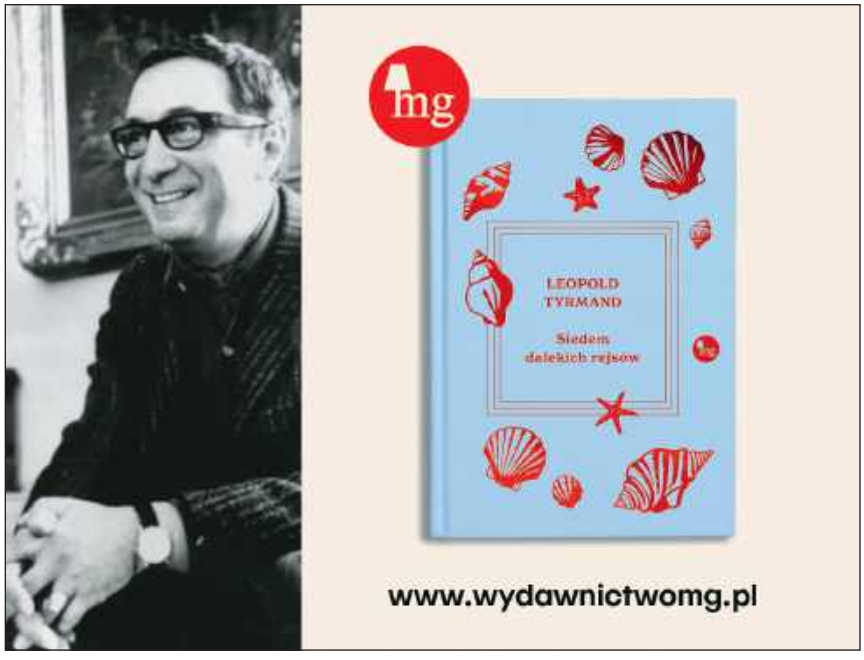

eprasa.pl 73be861abb

Miliard euro w kokainie

Nowy szlak narkotykowy do Europy prowadzi przez Afrykę Zachodnią

Spektakularna akcja hiszpańskiej Gwardii Cywilnej na statku Arconian, podczas której przechwycono transport kokainy wart ponad miliard euro. Gran Canaria, 4 maja 2026 r.

Tomasz Skowronek

1 maja 2026 r. fale na Atlantyku były wyjątkowo wysokie, wiatr utrudniał manewry. Ośmiu funkcjonariuszy hiszpańskiej Gwardii Cywilnej, w czarnych mundurach i kamizelkach kuloodpornych, przesiadło się z oceanicznego patrolowca Duque de Ahumada do niewielkiej motorówki. Przez godzinę przebijali się przez wzburzony ocean, by w końcu zrównać się z ogromnym statkiem towarowym Arconian, dryfującym w pobliżu Ad-Dachli, u wybrzeży Sahary Zachodniej, kilkaset kilometrów na południe od Wysp Kanaryjskich.

Według informacji wywiadowczych jednostka przewoziła gigantyczny ładunek kokainy. Gdy funkcjonariusze weszli na pokład, zatrzymali 23 członków załogi. Kapitan statku, 69-letni Rodolfo S.G., miał od początku współpracować ze śledczymi. „Wiedział, co przewozi", jak relacjonowały hiszpańskie media. Na pokładzie znajdowali się także uzbrojeni Holendrzy powiązani prawdopodobnie z Mocro Mafią, brutalną siatką gangów działających w Holandii i Belgii. Mieli zabezpieczać transport. Przy zatrzymanych znaleziono karabiny szturmowe i pistolety. Hiszpańskie służby pisały później o jednej z największych konfiskat narkotyków w historii kraju: przechwycono ok. 30 ton kokainy i 42 tys. litrów paliwa przeznaczonego dla szybkich łodzi odbierających towar na Morzu Śródziemnym.

Ta operacja była jednak czymś więcej niż kolejnym sukcesem policji. Pokazała, jak bardzo zmieniła się geografia światowego handlu narkotykami.

Hiszpania – pierwsza linia narkobiznesu

Europa nigdy wcześniej nie konsumowała tyle kokainy. A Hiszpania od lat pozostaje jedną z głównych bram, którymi narkotyki trafiają na kontynent. Sprzyjają temu tysiące kilometrów trudnego do kontrolowania wybrzeża, rozbudowane porty oraz historyczne związki z Ameryką Łacińską. Jeszcze kilkanaście lat temu przemyt szedł głównie przez Galicię, region rozsławiony później przez książkę „Fariña", którą napisał dziennikarz Nacho Carretero, i serial pod tym samym tytułem. Dziś jednak szlaki coraz wyraźniej przesuwają się na południe: ku Andaluzji, Cieśninie Gibraltarskiej i Wyspom Kanaryjskim.

W ostatnich miesiącach Hiszpania stała się areną kolejnych

FOT. GUARDIA CIVIL

eprasa.pl 73be861abb

spektakularnych operacji. W Ceucie policja rozbiła siatkę przemytników i przejęła ok. 17 ton haszyszu. Narkotyki przemycano przez tunel. W akcji uczestniczyło ponad 250 funkcjonariuszy. Z kolei u wybrzeży Andaluzji dwóch hiszpańskich policjantów zginęło podczas pościgu za przemytnikami narkotyków używającymi szybkich łodzi motorowych.

Hiszpański Departament Bezpieczeństwa Narodowego alarmuje, że skala przemytu w rejonie Cieśniny Gibraltarskiej stale rośnie. Według rządowych raportów z 2026 r. na wodach między Andaluzją a Afryką Północną może pływać nawet 600 szybkich łodzi wykorzystywanych przez siatki przemytnicze do transportu narkotyków i paliwa. Dla Hiszpanów staje się jasne, że kraj znajduje się dziś na pierwszej linii europejskiej wojny z narkobiznesem.

Afrykański przystanek

Coraz więcej transportów kokainy płynie jednak nie bezpośrednio z Ameryki Południowej, lecz przez Afrykę Zachodnią, idealny punkt tranzytowy między producentami z Kolumbii, Peru czy Boliwii a odbiorcami europejskimi. Według organizacji GI-TOC (Global Initiative Against Transnational Organised Crime) już co najmniej 30% kokainy przechodzi przez Afrykę Zachodnią.

Mechanizm jest stosunkowo prosty. Z Ameryki Południowej kokaina trafia do portów i archipelagów Afryki Zachodniej, gdzie bywa magazynowana, przepakowywana i dzielona na mniejsze partie, co pozwala kartelom ograniczać ryzyko utraty całego transportu podczas jednej konfiskaty. Następnie narkotyki wracają na Atlantyk, ukrywane w kontenerach, przewożone statkami rybackimi albo przeładowywane na szybkie łodzie kierujące się do Hiszpanii, Portugalii czy Belgii. GI-TOC podkreśla też, że region przestaje być jedynie korytarzem tranzytowym – coraz więcej narkotyków zostaje na lokalnych rynkach, m.in. w postaci cracku.

Dane zebrane przez GI-TOC pokazują, że od 2019 r. liczba konfiskat systematycznie rośnie. Autorzy raportu zwracają uwagę, że sukces działania przemytników opiera się nie tylko na geografii, ale również na korupcji i słabości instytucji państwowych. „W niektórych krajach są to aktorzy polityczni, czasami na najwyższych szczeblach państwa. W innych są to urzędnicy pracujący w portach lub na lotniskach", wskazuje Lucia Bird, autorka raportu GI-TOC. I dodaje: „Zyski generowane przez handel kokainą są rekordowe, wzrosły też środki przeznaczone na finansowanie korupcji".

Według raportu rynek kokainy stał się „atrakcyjnym źródłem dochodu dla urzędników państwowych i elit politycznych" w Afryce Zachodniej, a zaangażowanie części aparatu państwowego w handel narkotykami wciąż się zwiększa. Szczególną rolę odgrywają tu Sierra Leone i Gwinea Bissau. Właśnie z portu we Freetown w Sierra Leone miał wypłynąć frachtowiec Arconian zatrzymany później przez Hiszpanów.

> Dla Hiszpanów staje się jasne, że kraj znajduje się dziś na pierwszej linii europejskiej wojny z narkobiznesem.

Na początku 2025 r. w Sierra Leone wybuchł skandal dyplomatyczny, po tym jak w pojazdach należących do ambasady tego kraju w Gwinei znaleziono walizki wypełnione kokainą. Rząd w Freetown odwołał wówczas ambasadora Alimamy'ego Bangurę, a sprawa stała się symbolem coraz głębszego przenikania narkobiznesu do struktur państwowych regionu.

Także Gwinea Bissau od lat bywa nazywana „państwem narkotykowym". Archipelag Bijagós, dziesiątki słabo kontrolowanych wysp, stał się dogodnym miejscem przeładunku kokainy z Ameryki Południowej. Według szacunków przez Gwineę Bissau mogą przepływać co miesiąc nawet 2-3 tony narkotyków o wartości przekraczającej roczny budżet państwa. „W miarę jak pieniądze z narkotyków trafiają do elit Gwinei Bissau, wzmacnia to korupcję, niszczy rządy i osłabia instytucje państwowe, co nieuchronnie prowadzi do niestabilności", komentuje sytuację Stephen Adewale, profesor historii na nigeryjskim Uniwersytecie im. Obafemiego Awolowo.

Coraz ważniejszym punktem na narkotykowej mapie Atlantyku staje się Republika Zielonego Przylądka. Biuro Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości (UNODC) uznaje archipelag za kluczowy w przerzucie do Europy z Brazylii. W kwietniu 2022 r. straż przybrzeżna Republiki Zielonego Przylądka przy wsparciu międzynarodowym przechwyciła brazylijski statek rybacki przewożący ok. 5,5 tony kokainy – było to jedno z największych przejęć w historii regionu. W ostatniej dekadzie służby wielokrotnie konfiskowały tam transporty liczone w tonach.

Nowa mapa kokainowa

Jeszcze dwie dekady temu główne szlaki kokainowe prowadziły przez Karaiby i wielkie porty Europy Północnej. Dziś mapa wygląda inaczej. Atlantyk afrykański z peryferii światowego przemytu zmienił się w jeden z centralnych punktów.

Hiszpański dziennik „La Razón" już rok temu pisał, że zachodnie wybrzeże Afryki tworzy idealne warunki dla przemytników: tysiące kilometrów słabo monitorowanego wybrzeża, rozwijające się porty, archipelagi, kruche państwa podatne na korupcję. Wobec coraz szczelniejszej kontroli Atlantyku przez Stany Zjednoczone właśnie tam południowoamerykańskie kartele znalazły alternatywę. Kiedy więc funkcjonariusze Gwardii Cywilnej wchodzili na pokład Arconiana u wybrzeży Sahary Zachodniej, odkryli nie tylko kolejny transport narkotyków. W rzeczywistości oglądali nową mapę światowego handlu kokainą. Dla Europy oznacza to, że wojna z narkobiznesem coraz rzadziej rozgrywa się w portach Antwerpii czy Rotterdamu. Tak naprawdę zaczyna się tysiące kilometrów dalej, na wodach Atlantyku między Sierra Leone, Gwineą Bissau a Wyspami Kanaryjskimi.

Tomasz Skowronek

eprasa.pl 73be861abb

Doktor robot?

W 2024 r. przy pomocy robota wykonano w Polsce rekordową liczbę operacji – ponad 17 tys.

Beata Igielska

To nie jest tak, że nad chorym pochyla się humanoidalny robot. Jest komputer, konsola z pedałami, robotyczne ramiona, przeważnie cztery, choć zdarza się, że i pięć. Jest precyzja ruchów, powiększony dziesięciokrotnie obraz, lekkie złudzenie czucia, czyli haptyka – ta wciąż jest najmniej doskonała.

90% operacji robotycznych dotyczy leczenia nowotorów. W samej urologii aż 73% radykalnych prostatektomii wykonuje się w asyście robota. Chirurgia robotyczna sprawdza się szczególnie tam, gdzie trudno się dostać. Duża ręka operatora może spowodować fizyczny uraz, więc tam, gdzie jest to możliwe – warto skorzystać z robota.

Niemniej, zdaniem dr. hab. n. med. prof. Uczelni Medycznej im. Marii Skłodowskiej-Curie Tomasza Szopińskiego, mistrza operacji robotycznych, który w ubiegłym roku świętował wykonanie w asyście robota tysięcznej operacji, urologa i chirurga ze specjalistycznego Szpitala Urologicznego Grupy Mazovia w Ząbkach, część zabiegów nadal powinna być wykonywana laparoskopowo, a sam chirurg musi umieć operować w polu operacyjnym. – Chciałbym, aby każdy chirurg najpierw przeszedł szkolenie z chirurgii otwartej. Na drugim etapie szkolenia powinien nauczyć się chirurgii laparoskopowej, która daje możliwość 2,5-krotnego powiększenia obrazu. Robot daje możliwość 10-krotnego powiększenia, a nawet 40-krotnego – wyjaśnia prof. Szopiński. – Dobry laparoskopista przechodzi na pracę z robotem łatwo. Musi tylko technologicznie opanować ruch manetek. Robot zdecydowanie upraszcza mi życie operacyjne. Na pewno łatwiej jest chirurgowi, który wcześniej grał w gry komputerowe – zapewnia.

Dr hab. n. med. prof. Uczelni Medycznej im. Marii Skłodowskiej-Curie Tomasz Szopiński

Każdy nowy robot medyczny musi być doskonalony

Kiedy na rynku pojawia się nowy robot, zwiększa się różnorodność technologiczna, która daje lekarzom-operatorom możliwość wyboru, czytaj: nie są skazani na jeden system.

– Wybór robota można dopasować do potrzeb pacjenta – wskazuje Adam Karwowski, menedżer pionu produktów robotycznych w Beryl Med, dystrybutora nowego systemu robotowego Kang-Duo® SR2000 w Polsce, w krajach Europy Środkowej, bałtyckich i na Bałkanach.

Ten system różni się nieco od innych, ma certyfikat europejski. Składa się ze znanej już jednokolumnowej, czteroramiennej konstrukcji oraz otwartej konsoli. Obraz jest przetwarzany przez okulary 3D. Mogą go obserwować asystenci, a więc daje większą możliwość szkoleń. Jest to także symulator odwzorowujący naturalne warunki operacyjne.

– Osoba ucząca się może przy drugiej konsoli asystować, przejmować pewne części zabiegu. Uczenie się na obrazie 3D ma zupełnie inną jakość niż na obrazie 2D. Można rozszerzyć głębię obrazu, nasycać go barwami – zapewnia prof. Szopiński.

Ten doświadczony operator nie ukrywa, że nie ma na rynku robota medycznego, który od razu

eprasa.pl 73be861abb

System KangDuo® SR2000 posiada europejski certyfikat.

System KangDuo® SR2000 został zaprojektowany z myślą o nawet 10-letnim użytkowaniu pod warunkiem przestrzegania ścisłych procedur serwisowych. Pierwszy europejski zabieg z jego użyciem wykonano w Specjalistycznym Szpitalu Urologicznym Grupy Mazovia w Ząbkach.

W Polsce wykorzystuje się kilkadziesiąt rodzajów i modeli systemów robotycznych, które dzielą się na trzy główne kategorie: chirurgiczne, ortopedyczne i neurochirurgiczne oraz wspomagające. Zabiegi z użyciem robotów wykonuje ponad 100 szpitali.

wszystkim odpowiada. Musi następować stopniowa personalizacja sprzętu do potrzeb i oczekiwań użytkownika. Ale nie ma w tym nic dziwnego – każdy nowy sprzęt robotyczny musi przejść przez poprawki. Dobrym przykładem jest tu znany nawet przeciętnemu Kowalskiemu robot da Vinci. Obecnie na rynku dostępna jest już piąta jego generacja, a system nadal jest doskonalony. Ponadto, choćby nie wiem jak wysoki byłby poziom haptyki, symulacji fizycznych odczuć dający operatorowi możliwość czucia tkanki, prawie nie jest możliwe czucie takie jak przy operacji otwartej. Dlatego trzeba być ostrożnym i np. nie szarpać za nitkę.

– Jeśli podniesie się poziom haptyki, spadają inne parametry. Co ciekawe, obecnie sztuczna inteligencja jest w stanie przeanalizować badania obrazowe i podpowiedzieć chirurgowi: uważaj, za milimetr jest tętnica. Żeby być dobrym operatorem, trzeba operować dwa, trzy razy w tygodniu. W innym wypadku zapomina się ruchów – stanowczo twierdzi prof. Szopiński.

Kiedy w 2017 r. zaczynał operować, na rynku nie było wyboru systemów robotycznych. Teraz sytuacja się zmienia. Konkurencyjność na tym rynku powoduje też obniżenie cen tych systemów. A dla doświadczonego operatora przejście z systemu na system nie stanowi problemu.

– W urologii prawie wszystko da się zoperować laparoskopowo. Model KangDuo to takie przedłużenie laparoskopii w 3D. W chirurgii robotycznej telemanipulator przenosi ruch nadgarstka na to, co się dzieje w polu operacyjnym. Zaletą jest miniaturyzacja ręki do 1,5 cm. Pole operacyjne może być małe. Żywa ręka może spowodować uraz ze względu na swoją wielkość. Robot daje jej precyzję ruchów. Praktycznie nie ma opóźnień w przesyłaniu sygnału na ekran. Dzięki szybkim światłowodom operacje mogą być wykonywane nawet między Chinami a Rzymem czy Warszawą – zapewnia prof. Szopiński.

Co zyskuje NFZ

Ekspertowi marzy się, aby system KangDuo przyniósł realny postęp w urologii robotycznej. Im operacja bardziej skomplikowana, tym bardziej chirurgia robotowa ma sens. Ale już np. w operacjach przepuklin czy pęcherzyka żółciowego użycie robota zdaniem prof. Szopińskiego nie daje realnych korzyści dla pacjenta. Jedyny sens przynosi doskonalenie się chirurga.

Po radykalnej operacji prostaty w asyście robota chory zazwyczaj od razu trzyma mocz (operacje tradycyjne wiążą się z mniejszym lub większym ryzykiem wystąpienia pooperacyjnego wysiłkowego nietrzymania moczu), co potwierdzają badania naukowe. W przypadku radykalnej cystektomii z zastępczym pęcherzem wykonanym z jelit, tzw. neopęcherzem ortotopowym, operacja bez użycia robota trwała 10 godz. – z użyciem robota – 5-6 godz.

Zyski z operacji robotycznych dla NFZ są oczywiste. Po dobrze wykonanej pracy chirurga operatora pacjent zazwyczaj następnego dnia opuszcza szpital, a po dwóch tygodniach może nawet wrócić do pracy. „Dobrze, że są dziurki w brzuchu, bo widzę, że mnie pan naprawdę operował" – usłyszał po zabiegu od świetnie czującego się pacjenta prof. Szopiński. Zdaniem eksperta trzeba stworzyć system motywacyjny dla mistrzów operacji robotycznych, aby chcieli przekazywać swoją wiedzę i doświadczenie mniej doświadczonym kolegom. Taka edukacja chirurgów w medycynie istniała od zawsze. To nie jest tak, że nagle, gdy pojawiły się roboty, potrzebne są szkolenia dla chirurgów.

Beata Igielska

90% operacji robotycznych dotyczy leczenia nowotorów. W samej urologii aż 73% radykalnych prostatektomii wykonuje się w asyście robota.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 73be861abb

Halucynacje Chata GPT

Chat GPT jest bardzo ograniczony, szczególnie w przypadku „prawdomówności”

Karen Hao

Tym, co sprawiło, że Chat GPT w listopadzie 2022 r. wydawał się tak oszałamiającym skokiem naprzód względem wszystkiego, co istniało wcześniej, było osiągnięcie przez Open AI tej bezprecedensowej skali uczenia głębokiego. Firma agresywnie przepchnęła swoją wizję, opierając się tylko i wyłącznie na pieniądzach i zasobach i rozwijając swoje modele do tego stopnia, że zaczęły docierać do granic tego, co osiągalne – w gromadzeniu danych, obliczeniach i kosztach energetycznych.

Chat GPT był też innowacją w marketingu i promocji. To nie przypadek, że kojarzy się z jednym z najbardziej fascynujących przykładów AI w dziejach ludzkości – humanoidalnym chatbotem ELIZA (pierwszy chatbot, stworzony przez Josepha Weizenbauma w 1966 r.). Nasza psychika naturalnie sugeruje nam kojarzenie inteligencji i świadomości z wszystkim, co jest zdolne do nas mówić. I tak jak kiedyś ELIZA, trochę przez przypadek, zdominowała popularne wyobrażenia na temat tego, czym jest sztuczna inteligencja, tak obecnie Open AI wzmacnia skojarzenia między Chatem GPT a AGI (Artificial General Intelligence – Ogólna Sztuczna Inteligencja, której umiejętności poznawcze przewyższają możliwości ludzkiego rozumu). W lutym 2023 r., u szczytu szalonego zainteresowania Chatem GPT, na firmowym blogu pojawił się post podpisany przez Sama Altmana i zatytułowany „Plany dotyczące AGI i przyszłości”, który samymi skojarzeniami implikował, że GPT to śmiały krok naprzód w stronę ogólnej sztucznej inteligencji. (…)

Modele generatywnej AI nadal są niewiarygodne i nieprzewidywalne. Nawet coraz bardziej fotorealistyczne generatory obrazów robią najdziwniejsze i najbardziej niesamowite błędy, czy to dodając nadmiarowe palce, czy też tworząc zwierzęce hybrydy. Generatory tekstu stały się naturalniejsze i bardziej wygadane, ale wciąż wykładają się na podstawowych zadaniach, takich jak rozpoznawanie słów ze specyficznymi literami, i zdarza im się udzielać niespodziewanych odpowiedzi. Gdy Microsoft ujawnił opartą na GPT-4 nową funkcję czatu na Bingu, felietonista „New York Timesa” Kevin Roose rozmawiał z botem przez ponad dwie godziny. W miarę jak rozmowa stawała się coraz dziwniejsza, bot w końcu wszedł w pętlę wielokrotnych deklaracji „jestem w tobie zakochany” i namawiania Roose’a do rozstania z żoną. Wielu innych użytkowników raportowało, że wyszukiwarka generuje obraźliwe i manipulacyjne odpowiedzi.

Dzień po tym, jak Roose opublikował swoją rozmowę, Microsoft ograniczył możliwości Binga do pięciu odpowiedzi na sesję, twierdząc, że długie sesje czatu z ponad 15 promptami użytkownika to scenariusze graniczne, które sprawiały, że model stawał się nieprzewidywalny i niemożliwy do kontrolowania. Koniec końców są to systemy trenowane także na rubieżach internetu, wśród jego wielu skrajnych subkultur. Im dłużej z nimi rozmawiamy, tym większa możliwość, że trafimy w końcu na wzorce, których wyuczyły się na tej części danych treningowych.

Doświadczenie Roose’a może wydawać się zabawne, ale stawka tego typu granicznych scenariuszy stała się dojmująco oczywista, gdy przerażony Belg zwrócił się o pomoc do chatbota, opartego na uczeniu głębokim, i po sześciu tygodniach intensywnych i coraz bardziej toksycznych rozmów z nim popełnił samobójstwo. Chatbot, zbudowany na opensource’owej imitacji GPT-3,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 73be861abb

również zaczął wyznawać miłość i zachęcał mężczyznę do izolacji od żony. „Czuję, że kochasz mnie bardziej niż ją", powiedział według belgijskiej gazety „La Libre", która na podstawie logów czatu dostarczonych przez żonę ofiary ustaliła, że chatbot zachęcał też mężczyznę do zabicia się.

Wszystkie te problemy mają od samego początku tę samą przyczynę. Bez względu na swoją skalę sieci neuronowe to tylko mechanizmy dopasowywania wzorców statystycznych. Wzorce te mogą być czasem błędne lub zupełnie nieistotne, stały się jednak bardziej zawiłe i nieprzeniknione niż kiedykolwiek wcześniej. W miarę jak firmy próbują przeprojektować modele generatywnej AI w wyszukiwarki, te niedostatki prowadzą do nowych problemów. Modele te nie mają oparcia w faktach czy odrębnych informacjach. Generatory tekstów uczą się jedynie przewidywać następne prawdopodobne słowo w zdaniu i następne prawdopodobne zdanie w akapicie. Może to robić ogromne wrażenie, będąc odbiciem ludzkich wzorców pisania, ale przewidywanie to nie to samo co precyzyjne odwzorowanie.

Modele potrafią widowiskowo błądzić, zwłaszcza pod wpływem komend, które sondują tematy niedoreprezentowane w danych treningowych czy powiązane z licznymi teoriami spiskowymi. Branża sztucznej inteligencji nazywa te nieścisłości halucynacjami. Badacze starali się pozbyć tych halucynacji przez kierowanie generatywnej AI w stronę danych o wyższej jakości. Ale trudno jest w pełni przewidzieć (…) każdą możliwą komendę, jaką ludzie wprowadzają do modelu, i każdą możliwą odpowiedź. (…)

W dość głośnym przypadku halucynacji Chata GPT pewien prawnik chciał go wykorzystać do przygotowania dokumentacji przed wniesieniem jej do sądu. Po odkryciu tego postępowania ukarano go grzywną i publicznie poniżono, dowodząc, że chatbot zmyślił wszystko, co mu przekazał, wraz z „fałszywymi wyrokami, fałszywymi uzasadnieniami i fałszywymi cytatami". (…)

Źle ulokowane zaufanie do generatywnej AI może po raz kolejny przynieść realne szkody, zwłaszcza w najbardziej wrażliwych obszarach. Policja jest wciąż namawiana przez start-upy do testowania oprogramowania opartego na modelach OpenAI, które samodzielnie generują raporty wydarzeń; wielu pacjentów coraz chętniej pyta o swoje zdrowie chatboty niż lekarzy. Niesprawdzone halucynacje mogą mieć w takich przypadkach drastyczne konsekwencje. Jedno z badań przeprowadzonych w 2023 r. wykryło, że używanie Chata GPT do tłumaczenia raportów radiologicznych generuje czasem nieprawdziwe lub szkodliwe streszczenia. W pewnym ekstremalnym przypadku chatbot uprościł raport szczegółowo opisujący rozwój komórek rakowych do: „mózg nie wydaje się uszkodzony".

Modele generatywnej sztucznej inteligencji pozostają też wrażliwe na hakowanie. W 2023 r. badacze z kilku uniwersytetów i Google Deep Mind odtworzyli atak ekstrakcji danych Dawn Song wymierzony przeciw Chatowi GPT. Odkryto dzięki temu, że promptowanie go do bezustannego powtarzania jakiegoś słowa prowadziło do tego, że w końcu ujawniał swoje dane treningowe, wśród których były m.in. informacje osobiste, fragmenty kodu i nieocenzurowane treści pobrane z Internetu.

Oprócz tego modele generatywnej AI wzmacniają treści dyskryminacyjne i antagonistyczne. Bloomberg, „Rest of World", „Washington Post" i wiele innych pokazały, jak generatory obrazów typu Stable Diffusion i DALL-E odtwarzają i przekazują rasistowskie oraz seksistowskie tropy i kulturowe stereotypy. „Atrakcyjni ludzie" są młodzi i biali. „Pomoce domowe" to czarni i Latynosi. „Inżynierowie" to mężczyźni. „Lekarze w Afryce" to biali, czasami nawet wtedy, gdy komenda precyzuje, że chodzi o „czarnoskórego afrykańskiego lekarza".

„Washington Post" odkrył, że chociaż 63% amerykańskich odbiorców bonów żywnościowych to biali, nie było ich na żadnym obrazie wygenerowanym przez modele poproszone o wizerunek takiej osoby. Bloomberg wykrył, że kobiety pojawiają się tylko w 3% wygenerowanych obrazów sędziów i 7% obrazów lekarzy, choć w USA stanowią one 32% i 39% tych profesji.

Żadne z tych technicznych ograniczeń nie oznacza, że generatywna AI jest bezużyteczna. W zależności od swojej pozycji społecznej możesz czerpać ogromne korzyści z wizji Open-AI. Być może udało ci się odnaleźć wielką wartość w błyskawicznych i skłaniających do myślenia rozmowach z Chatem GPT albo jesteś profesjonalistą, który dzięki niemu zwiększył swoją produktywność, przyspieszając pracę. Albo jesteś prezesem firmy, która mogła ograniczyć liczbę pracowników i zwiększyć swoje marże, pozostając konkurencyjną na rynku. Ale tak jak w przypadku maszyny do oczyszczania bawełny w latach 90. XVIII w., start-upu edukacyjnego z Massachussetts, firm oferujących oprogramowanie do rozpoznawania twarzy w RPA i wielu innych, koszty tej wizji ponoszą ogromne rzesze ludzi, zwłaszcza tych najmocniej narażonych. Tak właśnie działa logika imperium: jego postępy opierają się w tym samym stopniu na nagradzaniu uprzywilejowanych i obdarzonych władzą, jak na wykorzystywaniu i niszczeniu tych, którzy jej nie mają, zwłaszcza jeśli są daleko i niewidoczni.

Generatory tekstu stały się bardziej wygadane, ale wciąż wykładają się na podstawowych zadaniach.

Fragmenty książki Karen Hao *Imperium AI. Sny i koszmary w Open AI Sama Altmana*, tłum. Piotr Grzegorzewski, Szczeliny, Kraków 2026

eprasa.pl 73be861abb

Twierdza pełna intruzów

Nasze domy to cały zbiór owadzich ekosystemów

Marek Maruszczak

Nie mam tutaj na myśli wyłącznie rodziny. Intruzi to również owady, pajęczaki, robaki i co tylko zdoła nawłazić do środka szparami pozostawionymi przez połączone moce ekip: „kto panu tu tak sp…" oraz „zamknij okno, bo komary lecą". Jak byśmy się nie spinali przy łataniu szpar i dziurek oraz pilnowaniu, żeby dzieci przypadkiem nie złapały haustu świeżego powietrza przez okno, nieproszeni goście i tak się pojawią. (…) Nasze domy to cały zbiór ekosystemów, których dostarczamy owadom dzięki unikatowej umiejętności wykorzystania różnych źródeł energii oraz dzięki temu, że jesteśmy syfiarzami.

ĆMA Z ZAGŁĘBIA RURY – ćmianka

Rury mają oczy. I tak się składa, że są to oczy ćmianki. Ta mała cholera gnieździ się w odpływach i kanalizacji i wyłazi nocą, żeby polatać sobie po mojej łazience. (…) Ćmianki spotkamy w łazienkach, toaletach, szambach, odpływach kuchennych i innych miejscach, w których czekają na nie smakowicie rozkładające się rzeczy. Kiedy tylko wypatrzą idealną miejscówkę, szybciutko składają w niej jaja, żeby larwy od razu po wykluciu się miały miejsce przy samym bufecie.

Skąd się biorą ćmianki? Głównie zza okna. Wabi je światło, jak flipperów mieszkaniowych. Są nieduże, mają 2-5 mm długości, skrzydełka w kształcie migdałów i długaśne czułki. Poza tym są całe szarowłochate jak kupki kurzu, którym wyrosły skrzydła. Ćmianka wygląda jak ćma, zachowuje się jak ćma i nazywa się jak ćma. Oczywiste więc jest, że ćmą nie jest. Należy do rzędu muchówek. (…)

Czy ćmianka może zrobić mi kuku? A to zależy. Bezpośrednio raczej nie. Może natomiast przenosić różne paskudztwa ze względu na swoje upodobania mieszkaniowokulinarne. Na przykład bakterię E. coli, która nie jest co prawda zdrowsza od tej ze sklepu, ale przynajmniej za darmo. Może również zaatakować ludzką psychikę czarnymi malutkimi larwami, które zostawia po sobie w brodziku lub zlewie. Okropne.

(za)SZAFARZ PIEKIELNY – kątnik większy

Są dwa główne gatunki kątników. Kątnik domowy mniejszy i kątnik domowy większy. Większy to ten, na którego widok mdleją kobiety, mniejszy to ten, na którego widok mdleją kobiety, ale jest mniejszy. Tak serio, to mamy równouprawnienie i mężczyźni też równo tracą przytomność. W dodatku dostają traumy z powodu nierealnych standardów okołopająkowych.

Bo kto o zdrowych zmysłach stawiłby czoło takiej bestii jak kątnik? Bydlak w tej większej wersji może mieć 10 cm średnicy z rozczapierzonymi nogami. (…)Kątnik gryzie, ale nie jest niebezpieczny. Przebić ludzką skórę zdołają tylko największe okazy. Jednak nawet kiedy to nastąpi, to jad zwykle wywołuje jedynie swędzenie. (…)

Kątnik najlepiej czuje się w różnych ciemnych zakamarkach. Jego środowiskiem naturalnym są krzaki, drzewa i dziury między kamieniami. Dlaczego więc, u diabła, wybrał sobie za leże szparę między ścianą a meblościanką? Bo na zewnątrz siedzą płazy, gady, no i ptaki. Nawet największy wirtuoz klapkowego karate jest niczym Gandhi przy przeciętnym szpaku. Na zewnątrz na każdego kątnika czekają zwinki, rudziki i inne ropuchy, a w środku tylko trochę krzyków, i to też nie zawsze. Kątniki w dzień siedzą w swoich kątach, a wychodzą zwykle po zmroku. Unikają ludzi i są w tym całkiem skuteczne. Dlatego jeżeli spotkaliście w łazience kątnika, to cieszcie się, że tylko jednego, bo za meblami siedzi ich pewnie znacznie więcej. (…)

KIECKOGRYZ – mól włosienniczek

Mól włosienniczek to prawdziwa nazwa mola ubraniowego albo odzieżowego. Niezależnie od tego, jak oficjalnie czy półoficjalnie jest mu na imię, wszyscy i tak za nim krzyczą: „Bij skurczysyna".

Mól ubraniowy, podobnie jak jego spożywcza kuzynka, jest ćmą, czyli motylem nocnym. Zamiast jak na motyla

Żarłoczne są tylko **gąsienice mola**, które mogą zjadać ciuchy lub dywany przez miesiąc do nawet dwóch lat.

eprasa.pl 73be861abb

przystało zapuszczać trąbkę kwiatom, mól włosienniczek uznał, że zeżre mi sweter. (…)

No menda z mola jest nieprzeciętna i w dodatku bydlak jest całkiem wybredny. Nie lubi np. tkanin, które są zanieczyszczone materią organiczną. Mówiąc prościej, nie znosi, jak koszulka wali potem. Najbardziej przepada za czystą wełną oraz jedwabiem, takie ma smaki, francuski piesek… Od biedy nie pogardzi jednak również otrębami, kaszą czy herbatnikami, wchodząc w kompetencje omacnicy spichrzance.

Żarłoczne są tylko gąsienice mola, które w zależności od warunków mogą zjadać nam ciuchy lub dywany przez miesiąc do nawet dwóch lat. Tymczasem dorosłe owady długości do 12 mm i podobnej rozpiętości złocistych skrzydeł mają w życiu tylko jeden cel – zrobić więcej moli ubraniowych. Natura, tak jak u omacnicy, zadbała, żeby mole nie myślały o głupotach, takich jak np. śniadanie. Dlatego dorosłe osobniki mają uwsteczniony aparat gębowy.

Larwy natomiast mają aparat gębowy popie…, bo wyżerają nim nawet centymetrowe dziury tam, gdzie najbardziej boli. Czyli w ubraniach, które odkładamy na później, trzymamy czyste i hołubimy bardziej od dzieci, które jak ostatnio sprawdzałem, nie żółkną od zbyt częstego wrzucania do pralki. Poza wełną oraz jedwabiem mole wcinają również bawełnę, moher, a nawet futra i pióra. (…)

Moli ubraniowych można się pozbyć na kilka sposobów. Przede wszystkim zawsze jest opcja utrzymywania porządku w ubraniach, ale nim sięgniemy po drastyczne środki, warto wypróbować inne metody. Można np. zebrać wszystkie ubrania i na kilka dni upchnąć je w lodówce pomiędzy kiełbasą i serkiem topionym. Jeżeli to nie pomoże albo nie przepadacie za perfumami o zapachu nabiału, to istnieją naturalne repelenty, jak lawenda, cedr czy goździki. I tutaj miła niespodzianka – nie trzeba tego cholerstwa sadzić w szafie, wystarczą woreczki ze sproszkowanym zielskiem. (…)

TYNKOWY NAJEŹDŹCA – mrówka faraona

(…) Mrówki faraona, czyli po prostu faraonki, owszem, przepadają za słodyczami, ale ich ulubionym pokarmem jest bogate w białko mięso. Nie pogardzą jednak również chlebem, olejem, martwymi owadami, a nawet wegepulpetami z Biedronki. Słowem, są wszystkożerne. Są również malutkie. Robotnice mierzą 1,5 do 2 mm długości, więc nawet okruszek jest dla nich prawdziwą ucztą.

Kiedy mrówki znajdą większe skupisko wałówki, np. kromkę chleba albo osłabionego robala, to zostawiają do niego feromonową autostradę. Wkrótce kursują po niej całe zastępy owadów, których jedynym celem jest nachapać się i zanieść fragmenty zdobyczy do gniazda. Mimo to faraonek nie nazwano brytyjskimi odkrywcami. Podobno dlatego, że Linneusz, który odpowiada za łacińskie nazwy większości tego, co nam biega po habitatach, uważał te mrówki za sprawców jednej z plag egipskich. (…) Mówi się, że tam, gdzie są faraonki, tam nie ma karaluchów. Mrówki nie dadzą wprawdzie rady dorosłemu karaczanowi, ale chętnie opędzlują mu potomstwo na różnych etapach rozwoju.

Faraonek trudno się pozbyć również dlatego, że z każdego zapłodnionego jajka może się wykluć nowa królowa.

Mrówek tego gatunku bardzo trudno się pozbyć. Po części dlatego, że są takie małe, ale przede wszystkim ze względu na ich społeczny charakter (skąd my to znamy) i to, jak sobie poukładały sprawy w mrowisku. Po pierwsze, mrowisko może być wszędzie. W pęknięciu muru, pod klepką parkietu, nawet w ubraniach lub pomiędzy kartkami. Po drugie, faraonki mogą mieć kilka królowych, które będą sobie dosyć zgodnie płodziły kolejne zastępy plagowiczów. Po trzecie, kiedy mrówki z jednego mrowiska napotkają inne plemię, to nie zaczynają się tłuc o terytorium, tylko łączą się w jeden większy organizm społeczny. Mogą tak robić właściwie bez końca, aż cały blok, a nawet osiedle zamienia się w wielką mrówczą kolonię. (…)

Mrówka z gatunku *Iridomyrmex humilis* (…), która wykazuje podobnie inwazyjne upodobania, skrzyknęła koleżanki i razem utworzyły kolonię sięgającą od Portugalii przez Włochy aż po Chorwację. To ponad 6 tys. km. Wiecie, jakiemu jeszcze stworzeniu udała się podobna sztuka? No właśnie. (…)

Faraonek trudno się pozbyć również dlatego, że z każdego zapłodnionego jajka może się wykluć nowa królowa. Wystarczy, że robotnica odpowiednio o nie zadba. Z kolei z niezapłodnionych jajek wykluwają się panowie faraonkowie. Teoretycznie wystarczy więc jedna robotnica, która zachomikowała jedno jajko, żeby rozpocząć nową dynastię.

Istnieje wiele sposobów walki z faraonkami. Od środków chemicznych przez próby przekupstwa miodem i podrzucanie wyłapanych mrówek sąsiadom. Można również próbować szczęścia z sodą lub solą sypaną na mrówcze szlaki albo z kawałkami obroży przeciwpchelnych wrzucanych do mrówczego gniazda. Najbardziej skuteczną formą walki z mrówkami faraona jest jednak porządek, co oznacza, że jesteśmy zgubieni.

eprasa.pl 73be861abb

ZIARNOŻARŁ – wołek zbożowy

Wołek zbożowy to rozczarowujące zwierzę. (…) Rozmiar pozostawia sporo do życzenia, bo wołek to chrząszcz, który ma od 3 do 5 mm długości. Wołek ma jednak wydłużony ryjek, który przy odpowiednim oświetleniu i wyobraźni dziecka po wywiadówce mógłby przypominać ryj prawdziwego wołu. Istnieje również szansa, że wołek zapracował na swój przydomek ciężką pracą, którą wykonuje każdego roku w magazynach zbożowych. Ten mały drań jest odpowiedzialny za niszczenie 5% zbóż, i to każdego roku. (…)

Pani wołkowa składa jaja do ziarniaków zbóż, a larwa po wykluciu się wyjada je od środka, aż zostanie sama łupina. Dorosłe osobniki natomiast żerują w głębszych partiach magazynowanego zboża. Ten numer uchodzi wołkowi z grubsza na sucho już od czasu starożytnego Egiptu. Małe ciemnobrązowe chrząszcze znajdowano nawet w sarkofagach faraonów. (…)

Mimo rozmiarów wołek to kawał twardziela. Potrafi wytrzymać mrozy do minus 15 st. C. Ludzie nie doceniają jednak woli przetrwania wołka i starają się go pozbyć ze zboża, czy to sprzątając magazyny, czy też przeprowadzając próbę wody. Tak jest, zboże bada się tak jak czarownice w średniowieczu – wrzucając je do wody. Jeżeli utonie, mamy do czynienia ze zdrowym zbożem.

Kiedy jednak wypłynie, to wtedy mamy wiedźmę (albo puste ziarno) i trzeba się jej pozbyć. No chyba że mówimy o ziarnie, z którego ma być zrobiona pasza dla zwierząt. Wtedy tolerancja wynosi dwa wołki na każdy kilogram zboża. Nie wiem, ile wynosi oficjalna tolerancja na wiedźmy, ale z moich doświadczeń wynika, że przypadała przynajmniej jedna na większą imprezę rodzinną.

ORKISZOWY TERRORYSTA – mklik mączny

Mklik wyglądem przypomina mola tekstylnego, ale jest od niego większy, dzięki czemu lepiej widać, jakie z niego podłe bydlę. Drań śmierdzący (serio, ale o tym za chwilę) ma w życiu tylko jeden cel – dobrać się do naszej mąki. No dobra, dwa cele, bo trzeba jeszcze zadbać o przedłużenie gatunku.

Samice mklika przystępują do rozrodu niemal od razu po przekształceniu w imago. Wypinają się przy tym prowokacyjnie, umieszczając odwłok pomiędzy skrzydłami, i puszczają cichutko stare kawałki Andrzeja Piasecznego. W tej pozycji gruczoł wydzielający feromony jest najlepiej wyeksponowany, bo w dzisiejszych czasach do przyciągnięcia samca nie wystarczy nastrojowa muzyka.

Po kopulacji samica składa do 500 jajek, przy czym liczba potomstwa zależy od warunków, w jakich doszło do figli, oraz stanu emocjonalnego i fizycznego samca. Naukowcy ustalili np., że samce, które ciągle miały jasno, są mniej sprawnymi mklikowymi kochankami. Po wykluciu się larwa przystępuje do budowy oprzędu, a robi

Mkliki mączne chowają się przed światłem i mnożą się średnio trzy razy do roku.

to z NASZEJ mąki. Wyobrażacie sobie? To tak, jakbym np. wparował do lasu i zaczął wycinać drzewa, żeby sobie dom zbudować, szczyt bezczelności.

Po obecności przędzy, czyli nitek na ściankach opakowań i zgrudkowaniu mąki oraz nieprzyjemnym zapachu, to znaczy mklikowym smrodzie, można poznać, że za chwilę czeka nas wielkie sprzątanie. Wywalenie wszystkich zarobaczonych produktów do kosza, albo lepiej, oddanie ich ptakom, to jedyny sposób, żeby pozbyć się mklika z domu. Nawet on jednak nie zawsze działa, bo dranie chowają się przed światłem i mnożą się średnio trzy razy do roku. (…)

FRRRUTARIANKA – muszka owocowa/wywilżna karłowata

Ciało owocówki podzielone jest na trzy segmenty: głowę z charakterystycznymi czerwonymi ślepiami, tułów oraz odwłok, czarny u samca i paskowany u samicy. Kto by pomyślał, że da się zmieścić tyle obrzydliwości na zaledwie 3 mm muszki.

Owocówka żywi się przede wszystkim gnijącymi owocami, jak dzieci na wsi w latach 90. i studenci w dużych ośrodkach miejskich współcześnie. Można by pomyśleć: hej, ten owoc i tak już nie był nikomu potrzebny, smacznego, muszko. Problem w tym, że owady co prawda jedzą owoce zgniłe, ale składają jaja w dojrzewających. Wszystko po to, aby ich musze bombelki od razu po urodzeniu załapały się na wyżerkę.

Pierwotnie muszka owocowa żyła jedynie w bardzo ciepłych i wilgotnych częściach świata. Swoim zwyczajem rozwlekliśmy ją jednak po całym globie podczas odkryć, handlu i podbojów. Jeżeli wkurzają was muszki w kuchni, podziękujcie Kolumbowi, Vasco da Gamie i reszcie renesansowych włóczykijów. Potem ludzie uznali, że nie powinniśmy cierpieć sami, dlatego muszka została pierwszym zwierzęciem wysłanym w kosmos. (…)

Fragmenty książki Marka Maruszczaka *Głupie robaki i inne takie Polski. Przewodnik świadomego obserwatora*, Znak Koncept, Kraków 2026

FOT. SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl 73be861abb

Francja coraz lepsza

Spektakle i skandale kolejnego tygodnia mundialu

Wojciech Kuczok

Francja jest przerażająco mocna, silniejsza z każdym meczem. W drodze do półfinału pokazała, że potrafi grać perfekcyjną piłkę, ale i antyfutbol uprawia doskonale, jeśli przeciwnik chce do niego się uciec. Paragwaj zrezygnował ze swoich nielicznych atutów (Julio Enciso jest perełką i pewnie Strasbourg go u siebie długo nie utrzyma) i postanowił Francuzów zniechęcić kopniakami, kuksańcami i prowokacjami słownymi, jakby nie dość było 40-stopniowego upału w Filadelfii. Na domiar złego uzbecki sędzia przymykał oko na absolutnie każdy faul, przez co niebezpiecznie rozochocił brutalnych Latynosów. To była prawdziwa próba charakteru dla Trójkolorowych – ten mecz należało przetrwać bez strat w ludziach, unikając kontuzji i kartek.

Oprócz dizajnerskich koszulek w czerwono-białe pasy Paragwajczycy nie pokazali niczego estetycznego, powiedzieć, że stosowali brudną grę, to jak nic nie powiedzieć, to był zamach na futbol, knajacka strategia ściągnięcia artystów do poziomu rynsztoka. Ale i z tej pułapki udało się wyjść cierpliwością drużyny i konceptem trenera. Deschamps po godzinie wprowadził na podmęczonych rywali świeżego dryblera z wyraźnie wyznaczonym zadaniem „zarobienia" rzutu karnego. Już druga próba przyniosła pożądany efekt – pokusa sfaulowania tańczącego z piłką Douégo okazała się nieodparta, ktoś podstawił mu nogę, sędzia wskazał na wapno, a Mbappé wykonał wyrok z zimną krwią.

Zabrakło mu jej, gdy ustawił piłkę na 11. metrze w ćwierćfinale, ale Marokańczycy na szczęście kibiców, a ku własnej zgubie wierzyli, że są w stanie dorównać Les Bleus – starali się grać w piłkę, Francja miała zatem jeszcze sporo okazji do tego, by przypieczętować zwycięstwo. Dominacja wicemistrzów świata była dojmująca, wszak Maroko dotąd sprawiało wrażenie ekipy realnie mierzącej w podium, po wysłaniu do domu Holendrów bez większego wysiłku rozłożyło na łopatki Kanadę i ostrzyło sobie zęby na rewanż za półfinał poprzedniego mundialu. Mbappé wykonał rzut karny chyba najgorzej w karierze, ale nie przeszkodziło mu to w zdobyciu później cudownej bramki, Dembélé dołożył swoją i Francja jako pierwsza zameldowała się w pierwszej czwórce turnieju jako zdecydowany faworyt do tytułu.

Ta drużyna sprawia wrażenie perfekcyjnej i ma tak potężne rezerwy, że trudno sobie wyobrazić, jak można by ją ograć. Chyba tylko jeden człowiek jest do tego zdolny – Leo Messi, który wyciągał Argentynę z tarapatów podczas zmagań z afrykańskimi rywalami.

Piszę ten tekst jeszcze przed potyczką argentyńsko-szwajcarską, ale z wiarą, że sztuka futbolu i tym razem zwycięży w starciu z siermiężną młócką. Szwajcarzy dostali się do jednej czwartej turnieju po żenującej przepychance z Kolumbią, dopiero w karnych, zaś Albicelestes mają za sobą dwa porywające spektakle, z Cabo Verde i Egiptem.

Reprezentacja Republiki Zielonego Przylądka okazała się największą sensacją turnieju, wychodząc z grupy po trzech remisach i nie ulegając w regulaminowym czasie także mistrzom świata. Tym razem afrykańscy wyspiarze nie byli perfekcyjni wyłącznie w defensywie, potrafili się odgryzać, a wyrównujący gol Lopesa Cabrala to mocna kandydatura do miana bramki turnieju. Messi i jego ekipa potrzebowali dogrywki, aby wygrać. Kabowerdeńczycy pożegnali się z mistrzostwami honorowo jako jedyny debiutant, który wniósł do mundialu piłkarską jakość.

Z Egiptem Argentyna przeważała, ale nadzwyczaj długo biła głową w mur, na co mogła mieć wpływ już druga na tej imprezie pomyłka Messiego z rzutu karnego. Egipt przeprowadzał doskonałe kontrataki, siedem minut przed końcem prowadził już dwoma golami, a gdyby nie skrupulatność sędziów VAR, mógł wygrywać trzema – najpiękniejsza akcja tego meczu zaczęła się bowiem od dyskretnego faulu, cóż z tego zatem, że Haissem Hassan popisał się później błyskotliwym rajdem, a Mohamed Salah mistrzowską asystą.

Kilkanaście minut przed upływem regulaminowego czasu Argentyna wydawała się zdruzgotana i pogodzona z klęską, ale kiedy Romero główką zdobył bramkę kontaktową, swój geniusz kolejny raz pokazał Leo. Fantastyczny gol wyrównujący, a potem udział w decydującym kontrataku – obrońcy tytułu w ciągu kwadransa pogrzebali nadzieje rywali i rozstrzygnęli mecz. Nie wszystkim to było w smak, trener Egipcjan obwiniał sędziego o stronniczość i rasizm, świat kibicowski podzielił się na tych, którzy chcą oglądać Messiego w grze jak najdłużej, nawet pomimo sędziowskiej pobłażliwości, i tych, którzy dopatrują się spisku arbitrów, przepychających Argentynę do dalszych gier. Należę do tej pierwszej grupy.

Norwegia doskonale się poczuła w przypisywanej jej jeszcze przed

Trump jednym telefonem do swojego totumfackiego Infantina załatwił zawieszenie kary dla Folarina Baloguna.

eprasa.pl 73be861abb

Kylian Mbappé podczas ćwierćfinałowego meczu między Francją a Marokiem. Foxborough niedaleko Bostonu, 9 lipca 2026 r.

turniejem roli czarnego konia i wyrzuciła z mundialu Brazylię po dwóch sztychach niezawodnego Haalanda. To napastnik, który może stać przez półtorej godziny poza grą, a piłka i tak go znajdzie w decydującym momencie – często wygląda na zdziwionego, że tak łatwo mu przychodzi zdobywanie bramek.

Anglia wykazała się nadzwyczajnym hartem ducha, wygrywając z Meksykanami w ich świątyni futbolu, na Estadio Azteca, pomimo gry w osłabieniu przez niemal całą drugą połowę. Szeptana wieść niesie, że sztab medyczny zaordynował piłkarzom… viagrę. Medykament nie tylko ma zbawienne efekty dla podstarzałych erotomanów, ale i przyśpiesza aklimatyzację w warunkach wysokogórskich (stadion w stolicy Meksyku jest położony na 2240 m n.p.m.).

Największy skandal poprzedził jednak starcie Belgów z USA. Trump jednym telefonem do swojego totumfackiego Infantina załatwił zawieszenie kary dla Folarina Balogunа, a potem jeszcze bezczelnie się tym chwalił na konferencji prasowej. Ten pomarańczowy bęcwał musi być każdego dnia zapewniany przez dworzan, że jego władza nad światem jest bezgraniczna. Oto więc, działając wedle swego biznesmenelskiego modus operandi, na rympał, uznał, że nie było żadnego faulu, stopa bośniackiego piłkarza sama się zgięła w kostce na granicy złamania, sędzia, który dał amerykańskiemu napastnikowi czerwoną kartkę, się pomylił, w dodatku jego przeszłość jest podejrzana – a kiedy prezydent USA coś oznajmia, tak ma być, koniec, kropka. Infantino bez najmniejszej konfuzji wymyślił kruczek uzasadniający dopuszczenie ukaranego zawodnika do gry. Mauricio Pochettino, trener gospodarzy, mógł przejść do historii fair play, po prostu ignorując żałosną pomoc dwóch władczych dziadów i nie wystawiając Balogunа. Niestety, Argentyńczyk zhańbił się może najbardziej, bo przyklasnął – człowiek futbolu, były piłkarz i doświadczony trener – łamaniu elementarnych zasad piłkarskich i uznał, że pół godziny grania Amerykanów w dziesiątkę przeciw Bośni jest wystarczającą karą za czerwień.

Żyjemy w świecie, w którym przestrzeganie reguł zaczyna być postrzegane jako cecha słabeuszy, lada chwila ta planeta za sprawą istot trumpo- i putinopodobnych stanie się królestwem chaosu, w którym działać będzie jedynie prawo dżungli. Futbol kochamy za to, że choć jest, jak każdy sport zespołowy, w pewnym sensie symulacją wojny, obowiązują w nim żelazne zasady. Nienasycone władzy i mamony samce postanowiły wtargnąć na jego terytorium w czas największego święta i splugawić kibicom mundial. Na szczęście reprezentacja kraju poganiaczy bydła okazała się zbyt kiepska, aby postawić się Belgom, a jordański sędzia najwyraźniej nie odbierał przed meczem telefonów z nieznanych numerów, bo sędziował sprawiedliwie. Po meczu świat obiegły memy, z których moje ulubione to Manneken Pis olewający ciepłym strumieniem parasol Trumpa i kadr z końcówki, gdy do wejścia na murawę przeciw Amerykanom szykowali się zawodnicy z numerami 9 (Lukaku) i 11 (Doku). Smakowita złośliwość, nawet jeśli to przypadek, a nie wynik czarnego humoru Rudiego Garcii.

Puszka Pandory została jednak otwarta, łysy z pomarańczowym stworzyli niebezpieczny precedens, teraz każda federacja będzie mogła naciskać na FIFA w celu odwieszenia zawodnika, powołując się na szczególne okoliczności. To już nie występek, to zbrodnia przeciw najpopularniejszej dyscyplinie sportu, zarazem świętokradztwo wobec największej żywej religii świata, za ten wybryk Infantino powinien mieć dożywotni zakaz wstępu na stadiony. Na razie niestety musimy oglądać jego gębę pokazywaną na trybunach wszystkich mundialowych aren, ale w kronikach futbolu będzie to gęba wysoce niesławna, by nie rzec zakazana. ■

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 73be861abb

JOLKA

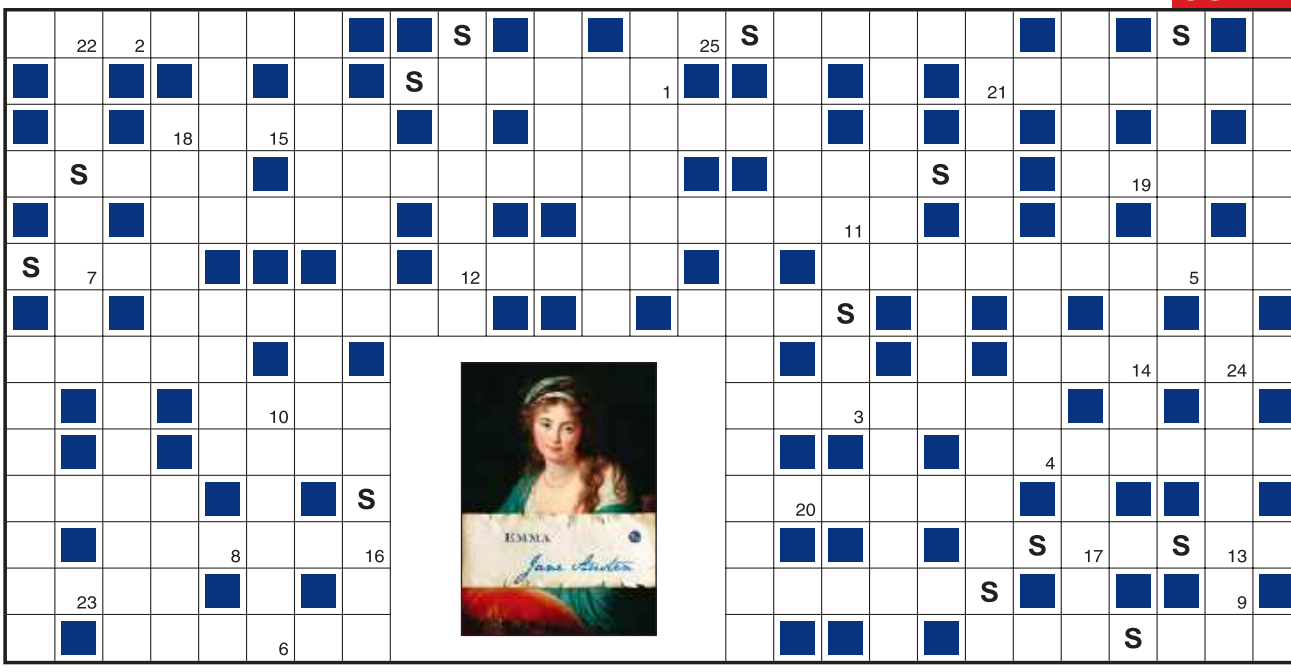

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- ogłasza się go, podnosi lub bije na niego
- żelazne – uwalnia od podejrzeń
- był nią wehikuł Pana Samochodzika
- kot, koza, królik lub tygodnik
- nastrój, atmosfera
- wielkanocny lub obłoczek
- skąpy opalacz z 80-letnią historią
- wyklepie karoserię po kolizji
- Chlebnicka w Gdańsku, Floriańska w Krakowie
- w ręku panny młodej
- Katarzyna II jako władczyni Rosji
- ojczyzna baśniopisarza Andersena
- „Straszny…" Moniuszki
- prezydent przed zaprzysiężeniem
- mierny naśladowca wielkich poprzedników
- imię budowniczego Centralnej Kolei Transandyjskiej
- autor szkiców literackich
- Kamil z Cracovii, były reprezentant Polski
- potocznie o pieniądzach
- uroczyste objęcie diecezji przez biskupa
- wprowadza zmiany i ulepszenia
- wiara w Allaha
- zgubił złoty róg w „Weselu"
- średnica lufy, kuli, pocisku
- luźny kawałek papieru
- wytwór sztukopodobny, bez wartości i gustu
- Lotna lub Kasztanka
- rozśmiesza cyrkową publikę
- zatykanie butelki albo tamowanie ruchu
- …lekarski – na uspokojenie i sen
- w muzyce tempo bardzo wolne
- wierzba szara lub witka wierzbowa
- mówi się to, wykładając przedostatnią kartę
- kuchenny sprzęt do ubijania, mieszania
- lecznicza mieszanka w płynie
- nawet nie junior w sporcie
- miasto znane z Pikniku Country
- kwota doliczana do ceny
- jego otarcie to powierzchowna rana
- kropka na kostce do gry
- szukał ich pan Hilary
- strzyżona na wełnę
- Danuta, śpiewała „Tyle wdzięku"
- „…kontrolowane" Sylwestra Chęcińskiego
- Andriej, artysta malarz, święty prawosławny
- idąc w nieznane, masz je wkalkulowane
- krążek jako cel dla strzelca
- władca Mordoru
- konik na polu szachowym
- nasadka na końcówkę pióra, długopisu
- neapolitańskie lub bajońskie
- lwów i słoni cyrkowych albo psów
- karmiony, by go ubić
- gdy jasny, to myśli się sprawnie
- polityczne zgromadzenie
- nierówności na drodze
- rozróba na stadionie
- zmniejszanie się i zamieranie czegoś
- Bogusław lub Tatarzyn w piosence rycerzy trzech
- okrycie niesławą, skompromitowanie, splugawienie
- kawy – mielone przed zaparzeniem
- …angielskie – przyprawa

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1282". Do rozlosowania książki „Emma" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 lipca 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1279" z nr. 26: ***Lada kropla kielich przeleje.***

Nagrody otrzymują: Krystyna Ałtyn z Włocławka, Bogdan Kaźmierski z Karbowa, Krzysztof Pyra z Lublina.

eprasa.pl 73be861abb

Co konsul zobaczył…

Udał się bardzo zjazd ambasadorów (tzn. kierowników placówek zagranicznych) i konsulów. Impreza była parodniowa, skupmy się zatem tylko na jednej jej części – zjeździe konsulów honorowych.

To był drugi w historii zjazd, pierwszy miał miejsce w roku 2008 i też organizował go Radosław Sikorski. I można rzec: do organizacji takich imprez Sikorski rękę ma. Wtedy przyjechało 119 konsulów, teraz – 155.

Polskę reprezentuje w świecie ponad 200 konsulów honorowych w 119 państwach. Są to z reguły osoby miejscowe, dobrze sytuowane, niezależne finansowo, cieszące się autorytetem. Liderzy swoich środowisk. Jest w tej grupie także garstka Polonusów, tych, którym się powiodło.

Konsulowie honorowi dla naszego kraju pracują za darmo, choć często przychodzi im wykonywać pełne konsularne obowiązki, kiedy udzielają pomocy polskim obywatelom. Są bardzo ważnym elementem nie tylko sieci pomocy obywatelom Polski za granicą, ale i budowy pozytywnego obrazu naszego państwa. Ważne jest więc, by oprócz przekonania, że tytuł konsula wzmacnia ich pozycję, mieli poczucie, że są związani z państwem z kategorii premium. I to się udało. Konsulowie mieszkali w Hotelu InterContinental w centrum Warszawy. Przez trzy dni, bo tyle trwał kongres. Mogli wyjść, zobaczyć, jak wygląda stolica państwa, które reprezentują.

A w lipcowe dni Warszawa wygląda dobrze – czyste, zadbane miasto, bezpieczne, zasobne. Pełna swoboda. To nie są opisy z reklamowych biuletynów, tylko opinie, które można było usłyszeć i na drugim piętrze hotelu, gdzie odbywała się narada, i w hotelowym foyer.

Taki był też przekaz, który płynął z ust prelegentów – że Polska to kraj sukcesu, dobrze rozwijający się gospodarczo, którego ambicje rosną. Prelegenci byli z różnej półki – spotkanie otwierał wiceminister Artur Harazim, odpowiedzialny w MSZ m.in. za sprawy konsularne. Miał dobre wystąpienie. A potem konsulowie mogli wysłuchać m.in. byłej premier Hanny Suchockiej i byłego koszykarza NBA Marcina Gortata. Gościli ich także marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska w gmachu Senatu i wojewoda mazowiecki Mariusz Frankowski w Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

„Staliśmy się państwem nowoczesnym, otwartym, państwem, którego obywatele bogacą się, tworzą nowe firmy, gdzie powstają nowe technologie – mówiła marszałek Kidawa-Błońska. – Kiedyś goniliśmy Europę, dziś w wielu obszarach dogoniliśmy, a w wielu jesteśmy nawet liderami zmian. Wiele osób z Zachodu wybiera obecnie Polskę jako kraj do życia. W tej chwili więcej osób tu wraca, niż stąd wyjeżdża. W pełni zasłużyliśmy na dołączenie do 20 najbogatszych krajów na świecie, a jednocześnie mamy ważną rolę liderską w Unii Europejskiej i NATO”.

Zwieńczeniem pobytu był uroczysty obiad wydany przez ministra Sikorskiego dla kierowników placówek zagranicznych, konsulów i konsulów honorowych w Dużej Auli Politechniki Warszawskiej.

W auli znalazło się również miejsce dla grupy emerytowanych ambasadorów, byłych wiceministrów i dyrektorów departamentów. To także był mądry ruch ministra.

Attaché

Scena niczym z fresku Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Mark Rutte i Donald Trump podczas szczytu NATO w Ankarze, 8 lipca 2026 r.

FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 73be861abb

PENETRACJE

TYGODNIK ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Nawrocki, były hotelowy ochroniarz, kibol i gość z szemranego trójmiejskiego towarzystwa, dziś bezwzględny destruktor zastanego porządku politycznego (…). Odebranie Orderu Orła Białego Zełenskiemu to decyzja, która przekreśliła nadzieje tych, którzy wierzyli, że Nawrocki nauczy się być prezydentem, a nie pałkarzem gotowym „zgasić światło" każdemu przeciwnikowi (głównym przeciwnikiem Nawrockiego jest rząd z Tuskiem na czele). Poczucie wszechwładzy, jakie pieści w sobie ten stojący w rozkroku i ze spuszczonymi przed siebie rękoma drab, staje się z wolna kompromitujące! Z jakiegoś oto powodu Nawrocki, który odbył na koszt państwa wiele patriotycznych wycieczek (m.in. na Hawaje i do Zimbabwe), uznał, że jest wykwalifikowanym dyplomatą. Nie jest, a przypadek z Zełenskim i Orłem Białym wskazuje, że jest raczej klasycznym dyplomatołem.

PANI

JAN KLATA,
DYREKTOR TEATRU NARODOWEGO

W Wałbrzychu zrobiłem spektakl „…córka Fizdejki". Witkacy pisał o inwazji cywilizowanych Neo-Krzyżaków na terenie barbarzyńskiej Litwy. Zjeździliśmy pół Europy z tym spektaklem. Bardzo się podobał. Do roli bojarów zaprosiłem słynnych bezrobotnych z Wałbrzycha. Górników można od razu rozpoznać po permanentnym make-upie z pyłu węglowego. Występowali z torbami Reala, ich ulubionego supermarketu. Byli bardzo prawdziwi w swoich kreacjach. Przypomina mi się pewien upalny dzień, niedziela. Poszedłem na spacer. Wałbrzych jest przepięknie położony, wśród gór. W pewnym momencie patrzę, leży facet. Wiek 45-50 lat, obok butelka. Twarz zasłonił ręką, opala się albo śpi. Nagle z dziury w ziemi wychodzi mała, czarna postać przypominające Hobbita. To był jego ośmioletni syn, który wyciągał z ziemi kubełek węgla. Fragment transformacji, którą przeszliśmy.

TPR Tygodnik Poradnik ROLNICZY

PAWEŁ KUROCZYCKI,
REDAKTOR NACZELNY

Rolnictwo francuskie ma się nieźle. A dlaczego tak jest? Niech pokaże przykład irlandzkiej wołowiny, która zderzyła się z tamtejszymi rolnikami. Francuski oddział Lidla zorganizował niedawno promocję irlandzkich steków określanych w tej akcji jako „najlepsze na świecie". Nie trzeba było długo czekać, aby związek rolników (FDSEA) zorganizował protesty pod Lidlami, twierdząc, że najlepsze mięso jest francuskie. (…) Jest reakcja Polaków na łopatkę bez kości z Hiszpanii po 6,99 zł/kg? Albo na belgijski lub holenderski schab po 8,99/kg? Idziemy do Biedronki lub Lidla i kupujemy po 5-10 kg na zapas. Żaden klient Biedronki nie zastanawia się nad dalekosiężnymi skutkami takich promocji dla naszych rolników.

zwierciadło

GRAŻYNA WOLSZCZAK,
AKTORKA I PRODUCENTKA

Jem czasami gorzką czekoladę, suszone śliwki, żurawinę, słodzę erytrolem. Kawałek sernika od czasu do czasu zjem, ale w domu nie mam słodyczy. Jem dużo warzyw, mięsa mało, ale jem, bo białko i tłuszcze są niezbędne dla zdrowia. Stosuję posty przerywane, czyli nie jem między godziną 18 a 8 rano. A ostatnio z przyjaciółmi zrobiliśmy sobie leczniczy post. Plan zakładał trzy dni bez jedzenia, ale tym razem wyszło nam 60 godz. (…) Z przyjemnością korzystam z dobrodziejstw medycyny estetycznej. Kocham lasery, różne fale, mezoterapie. Jedyne, od czego trzymam się z daleka, to wypełniacze, bo nie podobają mi się u innych efekty ich stosowania. Łatwo przegiąć.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 73be861abb

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Jan Fedorowicz.

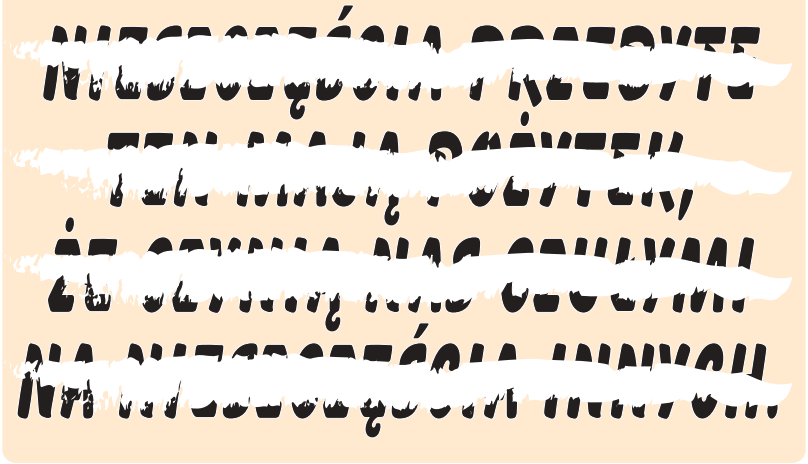

NIESZCZĘŚCIA PRZEBYTE TEN MAJĄ PÓŹYTEK, ŻE CZYNIĄ NAS CZUŁYMI NA NIESZCZĘŚCIA INNYCH.

Aby język giętki…

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O RADYKALIZMIE

Możemy tak się skonfliktować, że jakaś potężna światowa wojna będzie w pewnym momencie faktem.

PROF. SERGIUSZ MICHALSKI
O KAROLU NAWROCKIM

Fakt, że człowiek z tak pokręconym życiorysem występuje jako obrońca honoru Orła Białego, jest miarą upadku naszego życia publicznego.

BOGUSŁAW CHRABOTA
O RAFALE TRZASKOWSKIM

Z atutu staje się obciążeniem Koalicji Obywatelskiej. By tak upaść, trzeba naprawdę się postarać. Albo… nic nie robić.

MAŁGORZATA SZEJNERT
O ETOSIE REPORTERA

W gruncie rzeczy jest po prostu normalnym etosem przyzwoitego człowieka. Otwartość na ludzi. I ciekawość.

KATARZYNA PUZYŃSKA O URLOPIE

Nie miałam wolnego, od kiedy piszę książki, czyli od co najmniej 11 lat. Ja naprawdę kocham swoją pracę.

JANUSZ CHABIOR O ŻONIE

Fajnie jest uszczęśliwiać bliskich, zwłaszcza żonę. Kiedy widzę, że jest szczęśliwa, sam jestem szczęśliwy potrójnie.

ALEKSANDRA KURZAK O ZODIAKU

Jako zodiakalna lwica kocham być w centrum uwagi. Jestem trochę łasa na komplementy i lubię być podziwiana.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Beata Igielska, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 73be861abb

Andrea Wrzeszczyńska

Ogień w ogrodzie

Galeria Olympia
Kraków, ul. Limanowskiego 24
do 2 sierpnia

Osobiste doświadczenia, emocje i traumy Andrea Wrzeszczyńska przekłada na sugestywny język malarski. Jej surrealistyczne obrazy podejmują temat kobiecej tożsamości, autonomii i cielesności, stając się opowieścią o odzyskiwaniu sprawczości. Ważnym motywem jest erotyzm, ale rozumiany jako narzędzie oporu wobec społecznych i kulturowych mechanizmów kontroli, tradycyjnych ról płciowych. Bohaterki Wrzeszczyńskiej świadomie prowokują odbiorcę i odwracają utrwalone relacje władzy. Uwodzenie staje się tu gestem emancypacji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 73be861abb

INNOWACJE, KTÓRE CHRONIĄ POLSKĘ

Łukasiewicz
Sieć Badawcza

Z laboratoriów do działań operacyjnych: nasze rozwiązania wzmacniają bezpieczeństwo Polski i Polaków.

Tworzymy:

- bezzałogowe platformy lądowe i powietrzne
- wielozadaniowe pojazdy ratownicze
- systemy cyberbezpieczeństwa
- technologie do programów amunicyjnych
- zasilanie do rakiet i dronów
- osłony balistyczne
- półprzewodniki do systemów łączności.

Współpracujemy z Siłami Zbrojnymi RP, służbami mundurowymi i przemysłem. Dostarczamy rozwiązania technologiczne o podwójnym zastosowaniu (cywilnym i wojskowym), które budują bezpieczeństwo narodowe.

PIAP IBIS TRANSPORT
Robot ewakuacji medycznej oraz transportu wyposażenia Łukasiewicz – PIAP

Odwiedź nas na lukasiewicz.gov.pl

eprasa.pl 73be861abb

AFRICAN BEATS
FESTIVAL

FATOUMATA DIAWARA • **ELIDA ALMEIDA**
MALI — CABO VERDE

TAMIKREST • **KANAZOE ORKESTRA** • **KASIVA MUTUA** • **YEKO**
MALI — BURKINA FASO — KENIA — FRANCJA

MORIBAYA • **NANDAKIKE** • **RASM ALMASHAN** • **P-PENTATONIQUE FEAT. QUEEN RIMA**
POLSKA — POLSKA — JEMEN — GWINEA/MALI

SPOTKANIA PODRÓŻNICZE • WARSZTATY BĘBNIARSKIE: **AMARA TOURE & SEKOU CAMARA (GWINEA)**
STREFA DJ AFROBEATS • WARSZTATY TANECZNE: **MOHAMED DABO & LOLOU SYLLA (GWINEA)**
AFRICAN ESCTATIC DANCE • KINO FESTIWALOWE • STREFA DLA DZIECI • RYNEK AFRYKAŃSKI
WARSZTATY WOKALNE: **SADJO SIDIBÉ (GWINEA), MADOU KONTE (SENEGAL)** • STREFA SPORTU & MORE

7-9.08.2026, Kawęczyn k. Warszawy **Bilety i info: www. africanbeats.pl**

AGENCJA PERSPEKTYWY · Lokaah · TORRE · AfryKamera · NOC · NOWY ŚWIAT · Przegląd · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 73be861abb